

Druga książka autora  
„Co się wydarzyło w Madison County”

**ROBERT JAMES WALLER**



**ZALOTY W CEDROWYM  
ZAKĄTKU**



Prószyński i S-ka

*Waller Robert James*

*Zaloty w Cedrowym Zakątku*

*Opowiada o wykładowcy uniwersyteckim - niezwykle zdolnym, chodzącym własnymi drogami oryginalnie, który na środku pełnego książek pokoju parkuje motocykl. Pewnego dnia w miasteczku pojawia się ona - razem z mężem i tajemnicą z przeszłości. Mąż nosi eleganckie garnitury, jest nudnawy i nieco konformistyczny. Para bohaterów powoli zbliża się do siebie. Pewnego dnia dziewczyna znika - ucieka do Indii. On jedzie za nią, by odkryć tajemnicę jej przeszłości i, być może, zdobyć ją samą.*

## *Rozdział pierwszy*

Trivandrum Mail przybył na czas. Wyłonił się z dżungli i z łoskotem wtoczył na stację Villupuram. Południe Indii i południe rozprężonego dnia. Trzecia osiemnaście. Kiedy dobiegł pierwszy odległy jeszcze gwizd, ludzie od razu ruszyli ku skrajowi peronu. Tych, którzy nie mogli iść, zarówno niemowlęta, jak i starców, niesiono lub wieziono na ruchomych łózkach czy wózkach, jakich używają tragarze na bazarach. Michael Tillman podniósł się z miejsca, gdzie siedział oparty o usmarowaną sadzami ceglana ścianę, i zarzucił plecak na lewe ramię. Z pociągu usiłowało wysiąść dobre sto osób, a drugie tyle walczyło, by dostać się do środka. Przypominało to dwie rzeki płynące w przeciwnych kierunkach. Trzeba płynąć z prądem lub pozostać z tyłu. Jakaś ciężarna kobieta potknęła się, Michael złapał ją za ramię i podsadził na stopień, a następnie sam wskoczył do wagonu drugiej klasy. Pociąg właśnie ruszał. Koła się obracały, silnik pracował pełną parą, ciągnąc wagony z prędkością czterdziestu mil na godzinę skrajem Villupuramu. Miejsc siedzących nie było, właściwie nie było nawet gdzie stać. Kiedy pociąg zjeżdżał z brązowych wzgórz w krainę zielonych pól ryżowych, Michael, uczepiony uchwyty nad głową, wyciągnął z kieszeni na piersi zdjęcie Gali Braden, żeby jeszcze raz przypomnieć sobie, dlaczego się tu znalazł.

Dziwne to wszystko. Niesamowite. Mężczyzna z Iowy, tylko z plecakiem, w samych trzewiach Indii, poszukujący kobiety. Gala Braden... Gala... należąca do innego. Ale Michael Tillman pragnął właśnie jej. Pragnął bardziej niż następnego oddechu, pragnął na tyle mocno, by ruszyć w świat na jej poszukiwanie. Historia, w którą się wplątał, przypominała mu piosenkę, jakiej słucha się późną nocą z radia. Jak to się właściwie zaczęło? I czemu tak potoczyło? Nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Może odpowiedzi trzeba by szukać u Darwina. Było to coś pierwotnego, coś z bardzo zamierzchłej przeszłości. Coś z głębi krwi, kości i genów.

Ta jedna jedyna.

Otworzyły się kuchenne drzwi pewnego domu gdzieś w Iowie, i podobnie stało się z Michałem Tillmanem, bo wkroczyła przez nie Gala w czterdziestej wiosnie swego życia. Tak, tak to się właśnie zaczęło.

Jesienne przyjęcie u dziekana inaugurujące rozpoczęcie nowego roku akademickiego 1980-81. Michael właśnie wrócił z Indii, gdzie przebywał na zaproszenie fundacji Fulbrighta i na dobrą sprawę jeszcze nie rozprostował nóg po wyjściu z samolotu. Stał oparty o lodówkę popijając swoje drugie tego popołudnia piwo. Spoglądał nie widzącym wzrokiem na twarze, które patrzyły na niego, a może na kogoś, kogo brały za niego, odpowiadał na nudne pytania o Indie umęczony nieustającym szumem akademickiej paplaniny, spowijającej go niczym ciężki obłok.

Pałeczkę w kwizie na temat Indii przejęła żona księgowego. Michael poświęcił jej 38,7 procent swojej uwagi, gdyż układał w myślach plan rejterady, popijając dużymi haustami piwo.

- Czy świadomość wszechobecnej biedy nie była zbyt trudna do wytrzymania?

- Jakiej biedy? - Teraz myślał o Josephie Conradzie, ponieważ właśnie dotarł do połowy „Jądra ciemności”; czytał tę książkę już po raz trzeci.

- W Indiach. Podobno panuje tam straszliwa bieda.  
- Nie. Byłem na południu i ludzie tam wyglądali, przynajmniej na oko, na nieźle odżywionych. Oglądałaś pewnie te programy w telewizji o dobrych, zapracowanych katolickich siostrach, tkwiących do usranej śmierci w okolicach Kalkuty.

Podskoczyła na słowo usranej, jakby go nigdy wcześniej nie słyszała, a może po prostu nie lubiła o nim myśleć.

- Widziałeś jakieś kobry?

- Tak, zaklinacz węży na rynku trzymał jedną w koszyku. Miała zaszyty pysk, żeby nikomu nie zrobić nic złego.

- W jaki sposób jadła?

- Wcale. I wreszcie zdechła. Wtedy zaklinacz poszedł na pole, znalazł następną i ją również zaszył. Samo życie.

- Mój Boże, to okrutne, chociaż brzydzę się węży.

- Warunki pracy wszędzie się pogorszyły. Z drugiej jednak strony bardzo to przypomina uniwersytet. Tyle tylko, że my używamy grubszej nici, to wszystko.

Żona księgowego wpatrywała się w niego, jakby ujrzała wariata. Po chwili spytała:

- Widziałeś może tych nagich mężczyzn, pomalowanych białą farbą? Czyż nie wyglądają dziwnie?

- Nie widziałem ani jednego. Przypuszczam, że można na nich natrafić na północy. W Benares czy, jak to dziś nazywają, Varanasi, w takich miejscach. A czy to jest dziwaczne, czy nie, trudno mi powiedzieć.

Wszystko zależy od spojrzenia na świat i planów zawodowych.

- Gala Braden także była w Indiach. - Starszy wykładowca ekonomii porównawczej żabim skokiem dołączył do żony księgowego, przyciągając uwagę Michaela.

- Kto?

- Żona Jima Bradena. Tego nowego gościa, którego zatrudniliśmy na wydziale ekonomicznym. Przyjechał z Indiany. - Michael usłyszał odgłos zatraskiwania drzwiczek samochodu na podjeździe. Jego rozmówca odwrócił się i wyjrzał przez okno. - O, właśnie przyjechali. To urocza para.

Braden? Braden... Braden... Braden? A tak, Jim Braden. Odbył z nim spotkanie kwalifikacyjne sześć miesięcy temu, przed samym wyjazdem do Indii. Nigdy nie widział jego żony. Gdy mąż starał się o przyjęcie do pracy, ona pojechała z pośrednikiem oglądać domy. W miejscu na opinie o Jimie Bradenie Michael miał wielką ochotę napisać: standardowy produkt, więcej niż przeciętnie gorliwy i nudny. Ale zamiast tego ograniczył się do stwierdzenia: Jim Braden doskonale spełnia wymagane kryteria. Co właściwie znaczyło to samo.

James Lee Braden wszedł do kuchni dziekana cały w uśmiechach, ściskając wszystkim dłonie i przedstawiając się nieznanym. Gala Braden także się uśmiechała. Była w jasnoniebieskim kostiumie z dopasowanym żakietem, który zakrywał jej biodra, oraz spódnicy sięgającej do kolan i czarnych pantoflach na niewielkich obcasach. Subtelna Gala Braden.

Ale nie dość subtelna. Potrafił ją ocenić na pierwszy rzut oka. Zimna arystokratyczna twarz, która mogła być jedynie produktem z najwyższej półki w magazynie genów, włosy czarne jak noc i zdrowa skóra. Ciało, jakie starzy Francuzi określali mianem *rondeur*, grzeczni pisarze nazwaliby wspaniałym, a na którego widok fotograficy pism poświęconych nagości oszaleliby z zachwytem. Szare oczy wbijające się w człowieka jak strzały wypuszczone z łuku i pewność siebie w kontaktach z mężczyznami, wskazująca, że ta kobieta wie, co potrafią, a czego nie. Gdzie zdobyła wiedzę na ten temat, trudno było w pierwszej chwili powiedzieć, ale wystarczyło pobyc trochę koło Jima Bradena, by się przekonać, że nie on był źródłem owej wiedzy.

Pracownicy wydziału oraz reszta doborowego towarzystwa szybko rozprawili się z Indiami i przeszli do następnego dyżurnego tematu. Tym razem zainteresowanie skupiło się na Bradenach. Michael stał samotnie, oparty o lodówkę i przyglądał się Gali. Nowo przybyłych zarzucono gradem konwencjonalnych pytań:

- Jak wam się podoba w Cedrowym Zakątku?

- Które zajęcia będziesz prowadził, Jim?

- Gała... co za interesujące imię.

W kuchni pojawiła się żona dziekana.

- Cześć, Michaelu.

- Witaj, Carolyn, co słychać?

Zawsze dobrze dogadywał się z Carolyn, chociaż starszek dziekan marzył tylko, żeby Michael wyniósł się gdzie indziej. Dokądkolwiek. Przede wszystkim dlatego, że trzeba mu było wypłacać wysoką pensję, ponieważ siedział już na uniwersytecie od piętnastu lat. Arthur Wilcox wolałby znaleźć na miejsce Michaela kogoś nieco tańszego, a za to znacznie łatwiejszego w sterowaniu.

Ale Carolyn zawsze stawiała po stronie Michaela. Lubili ze sobą rozmawiać. Jednym z ich ulubionych tematów było zanikanie romantycznych uczuć. Kilka lat temu zdarzyło jej się porządnie upić w czasie gwiazdkowego przyjęcia. Wtedy właśnie powiedziała mu:

-Michael, ty jesteś ostatnim facetem z jajami. Cała reszta to prawdziwe eunuchy.

Objął ją i wyszeptał do ucha:

- Wesołych świąt, Carolyn.

Ponad jej ramieniem Michael zobaczył, że przygląda im się główny księgowy uniwersytetu. Buchalter ścisnął w garści szklanę z jakimś niealkoholowym drinkiem i miał w klapie zieloną gwiazdę z czerwonym napisem:

„Cześć! Jestem Urodzony w Czepku Larry”.

Michael uśmiechnął się do niego.

Przez jakiś czas przezywał Carolyn „Dziekanicą”. Spodobało jej się to na tyle, że zamówiła taki napis na podkoszulku, który włożyła na jesienny piknik, kiedy to pracownicy wydziału mieli grać w siatkówkę i w ten sposób lepiej się poznać. Dziekan obraził się i zabronił jej wkładać tę koszulkę.

Kiedy opowiedziała o tym Michaelowi, powiedział:

- Pieprz go.

Carolyn zaśmiała się.

- Nie ma mowy. Arthur jest wiktoriański do szpiku kości, cały pozbierany w sobie.

Wiara Michaela, że wszystko ułoży się dobrze, obumarła na te słowa. Carolyn miała pięćdziesiąt trzy lata, ale jak to mówią: w starym piecu diabeł pali, a do tego pieca musiał podrzucać wyjątkowo dużo drewna. Tak przynajmniej Michael podejrzewał. Uważał też, że to cholerna strata - żona dziekana była naprawdę świetną kobietą. Jak to się u licha dzieje, dumiał, że ludzie dobierają się tak niewłaściwie?

Teraz pogadał z Carolyn przez kilka minut. Ale przez cały czas patrzył poza nią, na tył głowy Gali, i zastanawiał się, czy jej włosy są naprawdę tak grube, jak wyglądają, i jakie byłoby to uczucie, gdyby złapał je dłonią i pociągnął kobietę na stół w kuchni dziekana w tej właśnie chwili. Miał dziwne wrażenie, że roześmiałyby się i położyła bez sprzeciwu.

Carolyn Wilcox podążyła wzrokiem za spojrzeniem Michaela.

- Poznałeś już Galę Braden? - zapytała.

- Nie.

Chwyciła za rękaw młodą kobietę, wyciągając ją z bagna jałowości, w którym ta się powoli zanurzała. Zonom dziekanów wolno robić to, na co mają ochotę, a one korzystają bez skrępowania z tego przywileju. Tym razem w wyniku manipulacji Carolyn niewielki krąg ludzki pozostał z oczami wbitymi głupawo w puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał obiekt ich zainteresowania. Akcja została przeprowadzona z taką maestrią, że powinna się znaleźć w uniwersyteckiej księdze roku.

Gala Braden odwróciła się.

- Gala, chciałabym, żebyś poznała Michaela Tillmana. Jeśli na wydziale jest coś niereformowalnego, to tylko on. Prawdę mówiąc, jest też prawdziwym niekoronowanym władcą naszego małego królestwa.

Gala wyciągnęła dłoń, którą Michael ujął.

- Co czyni pana niepoprawnym, doktorze Tillman?



- Po prostu Michael, jeśli nie masz nic przeciwko. Nie lubię tytułów - powiedział lekko. Skwitowała uśmiechem lekceważenie, z jakim odrzucił coś, co zdobywał przez dziewięć lat na różnych uniwersytetach. - A poza tym uważam, że jestem niezwykle uległym człowiekiem. Tylko Carolyn i cała reszta mają odmienne zdanie.

Zona dziekana klepnęła go w ramię i odeszła. Gala Braden patrzyła na niego.

- Przypominam sobie, że Jimmy mówił o tobie, kiedy przyjechaliśmy tutaj pierwszy raz. Ktoś na wydziale powiedział mu, że jesteś ekscentrykiem czy coś takiego.

- Może raczej powiedział, że jestem złośliwy. Wiele osób myli to nieraz z ekscentrycznością.

- O ile dobrze pamiętam, mój mąż po tym spotkaniu twierdził, że jesteś prawdziwą kopalnią pomysłów. Później któregoś dnia znowu do tego wrócił i powiedział, że bardzo się cieszy na pracę z tobą. Nic z tego nie kojarzy mi się ze słowem „złośliwy”.

Michael miał wrażenie, jakby jakaś obręcz ścisnęła mu klatkę piersiową; z trudem zaczerpnął tchu.

- Podobno siedziałaś trochę w Indiach.

- Tak. - Zauważył, że szare oczy umknęły w bok, jak to się dzieje, gdy ludzie podczas rozmowy uciekają na chwilę do swego prywatnego świata. On też tak robił. Często.

Indie. Samo brzmienie tego słowa przywoływało jej na pamięć zapachy i obrazy, zawsze te same zapachy i obrazy - woń jaśminu niesioną nocnym wiatrem w Bengali, ciemne dłonie na jej piersiach, zapach mężczyzny, który unosi się nad nią, a potem w niej zagłębia. I jego słowa:

*...czy już kiedyś śpiewałem tę pieśń? ...nie w życiu, które pamiętam. ...czy zagram ją raz jeszcze? ...nie w dniach, które mnie czekają.*

- Właśnie stamtąd przyjechałem - powiedział.
  - Pierwsza wycieczka? - Gala powróciła do rzeczywistości. Odwróciła się, żeby postawić szklanekę na kuchennym blacie.
  - Druga. Byłem już w Indiach w siedemdziesiątym szóstym.
  - Widocznie je lubisz. - Uśmiechnęła się i przechyliła na bok głowę. - Widzę, że masz w kieszeni papierosy. Czy wolno tutaj palić?
  - Ależ skąd! Ale możemy wyjść na dwór i puścić dymka na dziekańskim podjeździe. Zawsze go to wścieka, więc staram się przynajmniej raz podczas każdej wizyty to zrobić.
- Ktoś mniej pewny siebie niż Gala Braden wykręciłby się od tego zaproszenia. To, co proponował Michael, pachniało złymi manierami, a nawet pewną arogancją, szczególnie w wypadku żony nowego pracownika wydziału. Ale Gala już szła do drzwi.
- Dobrze - powiedziała.
- Kuchnia była teraz prawie pusta, ponieważ dziekan rezydował w salonie i wymagał obecności innych, chyba że miało się zwolnienie lekarskie. Usiedli na schodkach prowadzących do ogrodu.
- Kiedy byłeś w Indiach - zapytał częstując ją papierosem - i jak długo?
  - Jakiś czas temu. Trzy lata.
- Najwyraźniej nie chciała podać dat. Zastanawiał się dlaczego.
- W jakiej części?
  - Głównie na południowym wschodzie. Pondicherry.
  - Nigdy tam nie zawędrowałem, ale słyszałem o nim. Stare francuskie miasto, zgadza się?
  - Tak - wydmuchnęła dym prosto na azalie dziekana i nie powiedziała nic więcej.
  - Podobało ci się? - zapytał, ale zaraz sam sobie odpowiedział. - Głupie pytanie. Musiało, jeśli spędziłaś tam trzy lata.

- Bywało różnie. Zazwyczaj bardzo dobrze. Pojechałam, bo zbierałam materiały do pracy magisterskiej z antropologii, i chyba złapałam bakcyła Indii. Pracy nigdy nie skończyłam.

- Zdarza się. Jeśli chodzi o Indie, ludzie dzielą się na dwie kategorie: albo uwielbiają ten kraj, albo go nie znoszą. Ja należę do pierwszej grupy.

Spojrzała na Michaela.

- Ja też - powiedziała.

- Jak się spotkaliście, ty i Jim?

- Kiedy wróciłam z Indii, kręciłam się koło Bloomington, chociaż nie chodziłam na zajęcia. Udało mi się załatwić pracę sekretarki na wydziale ekonomicznym. Jimmy obronił właśnie doktorat, papiery jeszcze lśniły świeżością. Zawsze był dla mnie bardzo grzeczny, poza tym elegancko się ubierał, pisał ezoteryczne artykuły, których w ogóle nie rozumiałam, ale za to sumiennie przepisywałam. Kiedy mi się oświadczył, nie potrafiłam wymyślić rozsądnego powodu, żeby powiedzieć nie, więc powiedziałam tak.

Michael słuchał, co mówiła i jak mówiła. Wyszła za Jima Bradena, ponieważ nie umiała wymyślić powodu odmowy. To dziwny sposób podejścia do małżeństwa. Siedziała tak blisko i nie spuszczała z niego swych szarych oczu. Znowu wyobraził ją sobie na stole dziekana. Ale tym razem widział ją nagą. Następnie rozebrał w myślach samego siebie i już na tym etapie przeniósł ich oboje na Seszele, lotem pierwszej klasy, gdzie pograżyli się w lubieżnej nirwanie. Był absolutnie przekonany, że Gala Braden z egzotycznym czerwonym kwiatem we włosach, stojąca przy wodospadzie w dżungli, wyglądałaby wspaniale.

- Jak dawno to było? Chodzi mi o twoje małżeństwo. - W chwili gdy wyrwały mu się te słowa, głos w głowie jęknął: Ty głupi osle. Po co to mówiłeś? Wcale nie musisz tego wiedzieć, a przynajmniej jeszcze nie teraz, dopiero co spotkałeś tę kobietę. - Podniósł się i wdeptał niedopałek w żwir na podjeździe. W każdym innym miejscu zgasiłby papierosa

na ziemi, a potem schował do kieszeni, ale nie tutaj. Michael zachowywał się jak stary pies, obsikujący swoje terytorium. Musiał zostawić coś do niuchania Arthurowi.

Podeszła do swojego samochodu i wrzuciła niedopałek do popielniczki.

- Jimmy będzie się wściekał. Nie pozwala mi palić w domu w swojej obecności. W powrotnej drodze czeka mnie wykład. Poza tym na pewno odświeży powietrze w samochodzie, kiedy tylko ruszymy. Wozi taki specjalny dezodorant. - Spojrzała na Michaela i zagryzła lekko dolną wargę. - Jestem jego żoną od dziesięć ciu lat. Chyba powinniśmy już wrócić do środka.

Michael zaczął rozwiązywać krawat.

- Idź. Ja wracam do siebie. Jestem umówiony z Josephem Conradem.

- Cieszę się, że cię poznałam - powiedziała Gala Braden.

- Ja też. Do zobaczenia wkrótce. Uśmiechnęła się.

- Jasne.

Michael pomyślał, że wodospad na Seszelach byłby naprawdę w sam raz. Piętnaście miesięcy później jechał Tri-vandrum Mail na południe Indii, w okolice, gdzie nigdy nie był. W poszukiwaniu Gali.

## *Rozdział drugi*

Pełnia lata roku 1953, odległe miejsce zwane Dakotą i gorący wiatr, od którego mokre ubranie lepi się do ciała. Michael Tillman ma piętnaście lat. Pochyliła się nad maską samochodu Elmore'a Nixona, bankiera z Pierwszego Narodowego w Custer. Podkoszulek podjeżdża mu na grzbiecie do góry, a palcami nieledwie dotyka cementu, wsłuchując się w nierówną pracę ośmiozaworowego silnika. Ustawia gaźnik i nasłuchuje teraz już równej pracy motoru.

- Mickey, załatwiłeś drania. Mamy jeszcze trzy do zrobienia. - Jego ojciec łązi naokoło, butelka whisky wystaje mu z tylnej kieszeni kombinezonu. Na zewnątrz, przy dystrybutorach, matka ocierając ramieniem pot z czoła napełnia bak ciężarówki z kontenerem pełnym ziarna. Dwudziesty siódmy lipca, czwarta po południu na stacji Texaco u Tillmanów. Świat ciężkich zapachów oraz łuszczącej się zielonej i białej farby. Hałas samochodów przejeżdżających szosą numer szesnaście, która biegnie tuż obok; turyści z walizkami przytroczonymi do dachów samochodów śpieszący zobaczyć twarze na Rushmore\*.

Michael prostuje się, zdejmując szmatę ze zderzaka olds-mobila i uderza dłonią w maskę. Wyprowadza samochód

**\* Rushmore - szczyt w południowej Dakocie, w paśmie Czarnych Wzgórz, na którym wyryte są twarze Waszyngtona, Lincolna, Jeffersona i Roosevelta (przyp. tłum.).**

z tej części stacji, która służy jako warsztat, i parkuje go na poboczu. Przez chwilę stoi wycierając dłonie w szmatę. Ubrany w kowbojskie buty Siuks z Lakoty, niski facet o spalonej dziobatej twarzy, czeka na skraju drogi na coś czy na kogoś, a może po prostu na czasy lepsze od tych, w których przyszło mu żyć.

Michael idzie do chłodziarki, wyciąga z mieszaniny lodu i wody puszkę coli. Przykłada ją najpierw do jednego policzka, potem do drugiego. Następnie wkłada pod koszulę na piersi, wzdrygając się w chwili zetknięcia rozgrzanego ciała z zimnym metalem. Nie padało już od wielu tygodni, diabelska kurczawka przetacza się wzdłuż drogi.

- Cholera, Mickey...

Głos ojca jest rozmazany i odbija się echem wewnątrz stacji. Chłopak nie otwiera puszek, odkłada ją z powrotem do chłodni.

Michael zrezygnowany siada za kierownicą następnego samochodu i wprowadza go na teren warsztatu. Kartka z odręcznym napisem wykonanym przez jego matkę informuje: „smarowanie i wymiana oleju”. Chevrolet niemiłosiernie skrzypiąc wjeżdża na podnośnik, Michael odkręca zawór oleju w samochodzie, który należy do adwokata Dengena. Podczas gdy zużyty olej ścieka do wiaderka, chłopak spogląda na szosę numer szesnaście. Wystarczy jedna dobra droga, myśli.

Podchodzi do motocykla o dumnej nazwie Vincent Black Shadow zaparkowanego na tyłach stacji i dotyka rączek kierownicy. Ojciec przyjął tę wielką angielską maszynę w ramach płatności i powiedział, że Michael może ją zatrzymać, jeśli dokona naprawy i nauczy się z nią obchodzić. Zrobił to i teraz był prawdziwym właścicielem, zarówno w znaczeniu materialnym, jak i duchowym. Wystarczy jedna dobra droga, a jego Black Shadow, jego Czarny Cień pojedzie z nim, kiedy Michael nauczy się wszystkiego, co się tylko da o zaworach, kółkach i o tym, dokąd prowadzi ta droga. Michael już teraz ćwiczy nocami, wyciskając z Cienia naj-

wyższe obroty na Czarnych Wzgórzach, chociaż jest za młody na prawo jazdy.

W długie zimowe wieczory, kiedy Cień czekał na nadejście wiosny, pozostawały jeszcze rzuty do kosza w sali gimnastycznej miejscowej szkoły średniej. Ludzie zwrócili uwagę na chłopaka Ellisa Tillmana; mówiło się, że jest dość dobry, by reprezentować szkołę. Kiedy zdobył pięćdziesiąt trzy punkty przeciwko Deadwoodowi ze starszej klasy, nie mieli już żadnych wątpliwości.

Na dziewczynskich prywatkach chichotało się i rozmawiało o chłopcach. Ze Michael Tillman ma smutne piwne oczy i smar na dłoniach, którego nie da się zmyć. Ze jest nieśmiały, ale świetnie zbudowany i dobrze wygląda w stroju do koszykówki. Że ma miły uśmiech, ale rzadko można go na nim przyłapać, i że pewnie skończy na prowadzeniu stacji benzynowej swego ojca, a wtedy już na pewno smar nigdy nie zniknie z jego dłoni. Od czasu do czasu zabierał którąś z dziewczyn do kina w Rapid City, ale zazwyczaj trzymał się na uboczu życia towarzyskiego. Pracował na stacji, latem łapał pstrągi, ćwiczył rzuty do kosza w parku miejskim, aż stał się prawdziwym mistrzem. Motocykl, koszykówka, algebra i geometria euklidesowa - wszystko to należało do eleganckiego świata, uzupełniało się, a on był w tym dobry. Nie był aż tak dobry w kontaktach z dziewczynami czy w ogóle z ludźmi, szczególnie w dużej grupie. Ani w lekcjach angielskiego, gdzie na okrągło maglowano wiersze, aż nie pozostawało w nich za grosz poezji.

O udział w dużych zebraniach towarzyskich nie dbał. Poezję mógł zostawić na później. Ale nie potrafił nie myśleć o dziewczynach, które stawały się kobietami. Gdzieś w tym świecie istniała ta, z którą będzie się kochał po raz pierwszy w życiu. Jak do tego dojdzie? Co to w ogóle znaczy być z kobietą? Miotaly nim wątpliwości. Ale nie potrafił przestać o tym myśleć. Czy da jej rozkosz i jak w ogóle taki ni to chłopiec, ni to mężczyzna ma wiedzieć, co właściwie robić. Nurtowała go niepewność. Zastanawiał się nad tym drząc

wewnętrznie i czytając książkę „Co chłopcy i dziewczęta powinni wiedzieć o sobie nawzajem”, którą matka podłożyła mu dyskretnie na półkę. Ani ona, ani ojciec nigdy o tej książce nawet nie wspomnieli. Jak we wszystkich innych sprawach sam musiał znajdować odpowiedzi. Nikomu nikt nigdy nie pomagał, przynajmniej takie było jego doświadczenie. Chyba że pomocą można nazwać położenie tej cienkiej broszurki, o której nigdy nie wspomniano i która wydawała się taka nieromantyczna. Koszykówka zaprowadziła Michaela dalej niż mógł go zawieźć Cień. Pewnej grudniowej nocy 1960 roku Ellis Tillman siedział z uchem przy swoim przenośnym zenicie, kręcąc gałką, żeby złapać stację z Omaha w Nebrasce. Głos spikera co chwila zanikał: „Dla... informacje... miejscowy agent biura farmerskiego”. Sygnał z daleka dochodził bardzo słabo. W Custer o godzinie dziewiątej było czternaście stopni poniżej zera, termometr ustawiony w porywistym wietrze wskazywał minus dwadzieścia. Tę informację usłyszał prawie wyraźnie. Ellis klął na radio. Ruth Tillman spojrzała ponad kuchennym stołem na męża.

- To tylko mecz koszykówki, żaden koniec świata. Czy powiedzieli coś o kolanie Michaela?

- Nie. Ale nic mu nie będzie. To twardy chłopak. - Ellis Tillman pociągnął łyk old granddad i nachylił się nad odbiornikiem. Był dumny z syna. Na niebie pokazały się gwiazdy i nagle głos spikera rozległ się dwa razy głośniejszy:

„Teraz przyszedł czas Wielkich Czerwonych. Siedzą na karku Szokerów z Wichity. Mamy czterdzieści trzy do siedemdziesięciu ośmiu, a zostały już tylko cztery minuty do końca meczu. Tillman przy piłce, ciągle kuleje z powodu kolana, przez które nie brał udziału w pierwszej połowie. Piłka do LaRoux, Tillman przejmuje ją... Nad połową boiska panują Czerwoni. Tillman robi zwód w lewo, biegnie w prawo, kryje go aż dwóch graczy drużyny przeciwnej, LaRoux i Kentucky Williams...”



- Dalej, Mickey! - Ellis wciska stopy w żółte linoleum i uderza pięścią o blat stołu, aż radio podskakuje. Ruth wpatruje się w swoją robótkę i powoli kiwa głową, zastanawiając się nad mężczyznami i nad tym, co ich popycha do takiego szaleństwa.

Czteryście mil dalej, w Lincoln: zapach potu i prażonej kukurydzy, i rozwrzeszczany tłum, i trener, który pokazuje, że już czas na to, co nazywa specjalnością Tillmana, a ty biegniesz w prawo i wbijasz lewy łokieć w twarz skurczybyka, który łapie cię za koszulkę, i przebijasz się przez podwójne krycie LaRoux'a i Kentucky'ego, z boku dopada cię błysk flesza, a twoje kolano jest spuchnięte jak bania... i tak jak robiłeś to milion razy wcześniej... więcej niż milion... dzięki sile twoich nóg i ramion, zwinności ruchów już jesteś wysoko w powietrzu, w kołysce lewej dłoni trzymasz piłkę ponad głową, a prawą ręką wypychasz ją w długi łagodny łuk, który prowadzi wprost do obręczy, gdzie spod pomarańczowej farby wyłazi srebrny metal... i piłka wpada prosto w obręcz, i zsuwa się w siatkę dokładnie tak samo, jak to się działo na podwórku za twoim domem w Południowej Dakocie, i tłum wrzeszczy jeszcze głośniejsze, a ty lądujesz na kolanie, które rozpada się w drobny mak i leżysz na podłodze, a na ciebie pada Kentucky Williams zawracający na środek boiska...

*a ty leżysz*

*i wiesz, że już po wszystkim, i czujesz ulgę, a czteryście mil na północ twoja matka zwiesza głowę.*

Dwa dni później Ellis Tillman dostał pocztą swój egzemplarz „Orły Krainy Wichita”. Prenumerował pismo od czasu, kiedy Michael zaczął grać w koszykówkę, ale teraz postanowił, że przestanie je zamawiać. Na sportowej kolumnie wielkie litery obwieszczały:

*SZOKERZY ULEGLI NEBRASCE 91 : 89. KONTUZJA ULLMANA,  
KTÓRY ZDOBYŁ 24 PUNKTY, KOŃCZY JEGO KARIERĘ.*

Ellis przez chwilę zastanawia się, czy nie wyciąć artykułu i nie powiesić go na stacji wśród innych wycinków, w których pisano o Michaelu. Ale Ruth Tillman nie chce nawet o tym słyszeć.

Michael miał tak słabe oceny, że ledwie dostał się na uniwersytet, ale kiedy go przyjęto, od pierwszej chwili zaczął ciężko pracować.

Katorżnicza harówka - przez sześć lat, w tym dyplom. W Berkeley wyhodował sobie brodę i po raz pierwszy się zakochał. Nazywała się Nadia, nosiła czarne skarpetki i długie spódnice, pochodziła z Filadelfii, gdzie jej ojciec był działaczem związków zawodowych. Michael mieszkał z nią przez dwa z tych szalonych lat sześćdziesiątych, kiedy to Berkeley stało się centrum wszystkiego, co się liczyło, a przynajmniej oni w to wierzyli.

Nadia wstąpiła do Korpusu Pokoju i uważała, że Michael powinien zrobić to samo.

- Trzeba coś dać z siebie - powtarzała.

Otrzymał stypendium doktoranckie i chciał z niego skorzystać.

- Dam coś z siebie innym razem - odparł.

Zgolił brodę. Nadia spakowała się i wyprowadziła. Zawiedziona, ale nie zagniewana i już myśląca o przyszłości.

- Pewnie tak będzie lepiej - powiedziała. - Jesteś jedynakiem i z tego, co opowiadałeś o swoim życiu, oraz z tego, co widziałam, mieszkając z tobą, sądzę, że jedynacy skazani są na samotność. A w każdym razie ty. -

Popatrzyła na niego łagodnie. - Dobrze mi było z tobą, Michaelu.

Uśmiechnął się.

- Było nam dobrze. Naprawdę tak myślę, Nadiu. Wiele mnie nauczyłaś.

Będziemy w kontakcie. - Pocałował ją na pożegnanie, potem patrzył, jak dwa lata jego życia odjeżdża-

dżają Greyhoundem, a następnie poszedł na wydział ekonomii zanosząc pismo, że przyjmuje stypendium. Wrócił do mieszkania, w którym wciąż unosił się zapach Nadi, siedział patrząc na plakaty, które powiesiła na ścianach, podobizny Lenina, Einsteina i Twaina. Już za nią tęsknił, ale miała rację, lubił samotność i był do niej przyzwyczajony. Tylko w dzieciństwie da się ją zrozumieć do końca i nauczyć się na całe życie, jak ją znosić.

### *Rozdział trzeci*

Trivandrum Mail zwolnił i wreszcie stanął. W oknach pojawiły się dłonie podające owoce i herbatę, a odbierające rupie. Tą samą drogą dostawały się komary, które z kolei odbierały należną sobie daninę krwi. Michael czuł, jak po plecach, piersi i twarzy spływa mu pot. Znowu wyciągnął fotografię Gali Braden i zapatrzył się na nią. Ludzie na polach pracowali przy ryżu, woły ciągnęły drogą wozy z drewnem, ptaki podlatywały tuż do pociągu, a potem odfruwaly. Przejazdom przez każdą kolejną wioskę towarzyszył gwizd lokomotywy.

Nad ramieniem Michaela pojawiła się czyjaś twarz. Mężczyzna uśmiechnął się patrząc na Galę.

- Bardzo ładna. To miła pani?

Micheal powiedział, że bardzo miła. W wagonie zakotłowało się, każdy, kto stał nie dalej niż o dziesięć stóp, chciał od razu zobaczyć fotografię. Podawali ją sobie pieczołowicie z rąk do rąk, przekazywali jeden drugiemu kiwając głowami i obdarzając Micheala uśmiechami:

- Twoja pani? - zapytał któryś.

Nigdy nie myślał o niej w ten sposób, więc przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie bąknął:

- Może, sam nie wiem.

Pociąg z późnego popołudnia wtoczył się w fiolet wieczoru. Po dwóch godzinach jazdy zwolniło się miejsce. Ruszył w tamtą stronę, ale wtedy zauważył kobietę w ciąży, tę sa-

ma, której pomagał wsiąść do pociągu. Wskazał jej wolny kawałek ławki. Pochyliła głowę z wdzięcznością i z wyraźną ulgą usiadła. Niedługo potem poczuł, jak ktoś ciągnie go za rękaw. Dwóch Hindusów przesunęło się, robiąc Michaelowi miejsce w samym rogu wagonu. Powiesił plecak na haku nad głową i wcisnął się na ławkę.

Zaczęli rozmawiać, głównie na migi, ale jakoś szło. Hindusi byli rolnikami i wracali z targu do domu. Zadawali proste pytania, chcieli się dowiedzieć, czym Michael się zajmuje. Kiedy odpowiedział, w ich oczach odbił się podziw. W Indiach szanuje się bardzo nauczycieli, okazuje im uznanie i wdzięczność.

- Najwyższe powołanie - powiedział jeden z mężczyzn po angielsku, choć z silnym akcentem, pozostali zgodzili się z nim, z uśmiechem potakiwali głowami. Może mają rację, pomyślał Michael. Łatwo stracić dystans i stać się cynikiem, jeśli od dziesiątków lat przebywa się z ludźmi uprawiającymi ten zawód. Człowiek zaczyna zwracać uwagę na złe strony, zapominając o pięknie tego, co jest tak blisko.

Rozpoczął studia wiedziony wręcz bolesną potrzebą zostania uczonym i nauczycielem, wtedy i on uważał to za najwyższe powołanie. Mając niewiele ponad dwadzieścia lat wyobrażał sobie bystrych studentów, których będzie prowadził przez meandry teorii ekonomii. Może nawet majaczyła mu nagroda Nobla. Ale później, sam właściwie nie wiedział jak, lata studiów, a następnie pracy na uczelni zniszczyły te marzenia. Było to w pewien sposób związane z systemem kształcenia, z wymagającym ciężkiej harówki zbieraniem danych, a następnie ich analizą. Miało coś wspólnego z tym, że socjologowie próbowali udawać przedstawicieli nauk przyrodniczych, jakby z coraz bardziej skomplikowaną rzeczywistością można było postępować tak samo jak przy badaniu natury. A także ze studentami, którym zależało tylko na otrzymaniu należytego przygotowania do zawodu, więc żądali „trzymania się tematu” i zupełnie nie interesowali się abstrakcjami, które jemu wydawały się takie piękne, że wyobrażał je

sobie jako chłodne górskie strumienie przepływające przez mózg.

„Nie ma nic bardziej praktycznego niż rozpracowanie dobrej teorii” - powtarzał im. Ale nie chcieli mu wierzyć.

Kiedyś wygłosił krótkie przemówienie na spotkaniu wydziału ekonomii.

„Najwyraźniej interesuje nas nie tworzenie, ale zachowanie... zachowanie naszego wygodnego, godnego pozazdrosczenia życia. Gdyby płatnicy podatków dowiedzieli się, co my tu właściwie robimy, zorganizowaliby marsz protestacyjny. Postępujemy tak samo jak ci cholerni studenci, a studenci naśladują nas, głupich matołów: zgnilizna idzie z góry na dół i z dołu do góry”.

Dwie głowy spośród stu trzydziestu siedmiu skinęły z aprobatą, w stu trzydziestu pięciu kołatała się jedynie myśl, że najwyższy czas, by dziekan przejął ster spotkania w swoje ręce i omówił pensje na następny rok. Potem już nigdy Michael nie wygłaszał żadnych mów.

W ten sposób jego marzenia skorodowały. A on sam zajął się tylko tymi sprawami, które wydawały się istotne, nie przejmując się zdaniem innych. Próbował odzyskać dawny entuzjazm, zachwyt, jaki kiedyś odczuwał, pogrążając się w rozmyślaniach nad zasięgiem czasu i przestrzeni. Wtedy, gdy zastanawiał się nad magią tej szczególnej ewolucji, która postawiła właśnie jego, a nie kogoś innego w tym akurat czasie i miejscu.

Ludzie uważali, że trzyma ich na dystans, i tak właśnie było. Ale jednocześnie - całkiem niesłusznie - widzieli w nim aroganta. Po prostu postanowił podążać wybraną przez siebie ścieżką. Ludzie często mylą nieśmiałość i skłonność do samotności z butą. Etykietka przyczepiana przez tych, którym wygodnie jest dostrzegać tylko pozór, nic poza tym. Rozumiał to, więc pozwalał im wierzyć we wszystko, w co wierzyć chcieli.

Uczył bez zaangażowania, ale skutecznie. Dobrzy studenci lubili go, średni bali się. Najślabi unikali jego zajęć. Nie

był łagodnym belfrem ani nie zamierzał mm byc, lecz szanował pracowitość i upór, więc z tymi, którzy naprawdę chcieli zrozumieć jego wykłady, potrafił spędzać długie godziny. Pogardzał natomiast utalentowanymi, leniwie przemykającymi się z roku na rok.

„Trzeba robić to, czego wymaga, i wtedy jest wszystko w porządku”. -

Tak go określił jeden z absolwentów. Potem dodał: - „Czasami łązi po sali wykładowej na bosaka, ale w głowie ma dobrze poukładane”.

Studenci, których proszono, by ocenili Tillmana jako wykładowcę, pisali o nim zarówno dobrze, jak i źle:

„Testy są zbyt trudne. Zupełnie nie rozumie, że ktoś miał ciężkie dzieciństwo”.

„Jest nieco przerażający, ale po wykładach poświęca wiele czasu, żeby mi pomóc w zrozumieniu problemów. Kurs, który prowadzi, jest trudny”.

„Jego koncepcje zmieniły moje rozumienie świata”.

„Czasami wydaje się bardzo arogancki, jakby nikt nie mógł być taki mądry jak on”.

„Podoba mi się jego podejście”.

„Przydałoby mu się strzyżenie, a czasami używa imienia Bożego nadaremno”.

„Dobre wykłady, ale poza wyznaczonymi godzinami trudno go zastać.

Pracuję w Kmart, żeby spłacić pożyczkę na samochód, i mój plan dnia nie pasuje do jego planu”.

„Zna się na rzeczy, ale żyje w innym świecie”.

„Świetny nauczyciel. Jeden z dwóch najlepszych, jakich miałem w życiu”.

Michael ukończył studia w ekspresowym tempie. Dzięki opublikowanym dwudziestu sześciu artykułom i doktoratowi otrzymał w 1970 roku tenurę\*, a stopień pełnego profesora dostał w 1978 roku, na tydzień przed czterdziestymi urodzinami. Po tym starał się wyrwać z marazmu i poczuć dawną magię. Ludzie nadal wydzwaniali i pytali, co z tym

**\* Dożywotnie stanowisko na uczelni (przyp. tłum.).**

czy innym oryginalnym tematem, którym się Michael dotąd pasjonował.

- Nic - odpowiadał. - Zająłem się czym innym.

- Czym? - dopytywali się. Odpowiadał enigmatycznie:

- Bawię się wczesnymi pracami Jeremy'ego Benthama na temat kalkulacji impulsów przyjemność-ból i ich zastosowania przy problematyce współczesnej demokracji.

To zazwyczaj zamykało im usta. W słuchawce zapadała cisza.

- Rozumiem - padała wreszcie odpowiedź. - Wielka szkoda, że nie pracujesz nad poprzednimi projektami, mogłeś dojść do czegoś ciekawego.

I tak to się toczyło. Jego życie było nieustabilizowane, ale przyjemne, ogólnie wszystko niby w porządku, a samotność stanowiła zarówno zadkę, jak i powód do radości. Miał swoją pracę i swój motocykl. Od czasu do czasu spotykał się z jakąś kobietą. A potem zjawiała się Gala Braden. I teraz jechał Trivandrum Mail na południe najprawdziwszych Indii, gdzie żyło się tak samo jak przed wiekami.

.Pociąg wjechał do Madurai o godzinie dziesiątej. Michael zapytał, gdzie znajdzie nocleg, i konduktor wskazał mu hotelik niedaleko stacji.

- Bardzo czysty, bardzo przyjemny - powiedział. Michael zaufał mu.

Po jego przybyciu aktywność w hotelu wzrosła o kilka stopni. Większość małych pensjonatów w Indiach nastawiona jest na ludzi podróżujących na sposób hinduski i rzadko przy blacie recepcji widzi się białą twarz.

Recepcjonista najwyraźniej był bardzo rad, że Michael wybrał właśnie ich hotel, i natychmiast wyznaczył trzech boyów, by pomogli gościowi, mimo że miał ze sobą tylko jeden plecak.

Jeden z chłopców pobiegł przodem, przejechał poślizgiem po podłodze i zatrzymał się dokładnie przed drzwiami pokoju Michaela, które zamasyście otworzył. Drugi mó-



wił trochę po angielsku i poinformował, że restauracja hotelowa jest zamknięta, ale z największą przyjemnością pobiegnie do sklepu i przyniesie coś do jedzenia.

Michael wiedział, że może liczyć na naleśnik. Poprosił chłopca, żeby mu go przyniósł, wraz z chlebem, herbatą, serem i jogurtem. Dwadzieścia pięć minut później boy wrócił niosąc zamówienie; placek z trzech jaj polany był ostrym sosem. W tej chwili nie warto się było dowiadywać o pochodzenie jajek. Poza tym Michael nigdy w Indiach nie prowadził tego typu śledztwa.

Po jedzeniu najpilniejszą potrzebą był sen. Następnego dnia rano, o pierwszym brzasku, jeden z boyów - zgodnie z prośbą gościa - zastukał do drzwi. Michael wziął zimny prysznic, zjadł w restauracji płatki na kozim mleku, do tego grzanekę i herbatę, a następnie zaczął się rozglądać, gdzie by tu znaleźć samochód, który zawiózłby go w miejsce zwane Thekkady, w górach rozciągających się na zachód od miasteczka.

Kierownik hotelu z radością zgodził się go zawieźć i już po półgodzinie pod hotelem stał biały premier, jeden z małych, wszechobecnych w Indiach sedanów.

- Mam prawo jazdy na całe Indie - oznajmił kierownik.

Michael nie bardzo wiedział, jakie to ma znaczenie, ale postanowił potraktować ten fakt jako dobry omen. Kierownik machnięciem szczotki oczyścił tylne siedzenie i ruszyli szlakiem Gali Braden.

i Vazajutrz po tym, jak Michael spotkał Galę na przyjęciu u dziekana, ktoś gdzieś odtrąbił jesienną odprawę podróżnych i podstarzały statek kosmiczny o nazwie uczelnia zerwał się do lotu. Zajęcia Michaela zajmowały mu trzy dni w tygodniu, od wtorku do czwartku, ale przyszedł na uniwersytet, mimo że był poniedziałek. Pokręcił się trochę, przejrzał korespondencję, która nadeszła w czasie jego nieobecności, ustalił godziny dyżurów, dostosował je do tych studentów, którym inne zajęcia kolidowały z jego wykładami.

Pocztą pantoflową wśród studentów krążyła informacja: „Tillman wie, jak sobie radzić z biurokracją, jeśli potrzebujesz pomocy, wal prosto do niego”.

Nie przestawał myśleć o Gali Braden. Już od długiego czasu żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Może nigdy. Nie, nawet nie może... po prostu nigdy. Był to częściowo pociąg fizyczny, ale także coś jeszcze. Spędził niespokojną noc dręczony konfliktem między pierwotnymi instynktami a nakazami moralnymi, lecz do niczego nie doszedł.

Wtorek rozpoczął swoim zwykłym wykładem „Złożoność i ograniczenia polityki”, wprawiając studentów w oszołomienie wymyślnymi przykładami kombinatoryki. Typowe pierwsze spotkanie, by zrozumieli, że nie pójdzie im tak łatwo. Większość wykładowców po prostu rozdawała plan zajęć, a potem szła na kawę. Ale on wkroczył na salę wykładową, rozejrzał się po studentach i oświadczył:

- Zaczniemy od systemów złożonych, by sprawdzić nasze ograniczone możliwości intelektualne w kontekście nieograniczonych możliwości wszechświata.

Po czym odwrócił się w stronę czarnej tablicy i uśmiechnął pod wąsem, gdyż zebrani zaczęli wyciągać notesy i długopisy, których nie spodziewali się używać pierwszego dnia. Michael Tillman, seryjny morderca zbiorowości klasowych.

W czwartek, zgodnie z wywieszką na drzwiach, głosząca:

*Tillman*

*wtorki i czwartki, godz. 14.00-16.00 w innych terminach po wcześniejszym umówieniu*

siedział na dyżurze.

Ponieważ był to początek semestru, studenci jeszcze się nie pojawiali. Na razie zajmowali się piciem piwa i nie myśleli poważnie o zaglądaniu do książek. Niech no miną trzy tygodnie, a ruch się zwiększy, by osiągnąć szczyt przed sesją egzaminacyjną.

Siedział rozparty w fotelu, z nogami na blacie stołu, otwarte drzwi biura blokowała książka sławiąca reaganowską ekonomię autorstwa jednego z ekonomistów ich uniwersytetu. Książki służące do przytrzymywania drzwi wybierał starannie i co jakiś czas je wymieniał; było to coś w rodzaju oceny (na poziomie podłogi) czasów, w jakich przyszło mu żyć. Usłyszał ciche stukanie w otwarte drzwi i podniósł wzrok, by spojrzeć prosto w szare oczy: Gala Braden w obcisłych džinsach, czerwonym swetrze z wyłożonym na wierzch białym kołnierzykiem koszuli i solidnych butach, nadających się do pieszych wędrówek. Czarne włosy schowane pod okrągłą wełnianą czapkę.

W niedzielę niewystarczająco ocenił długość jej nóg. Spódnica i pantofle, jakie wtedy na sobie miała, ukrywały jej ciało od pasa w dół. Choć właściwie mógł się domyślić, wyrzucał sobie teraz.

Przez prawe ramię miała przewieszoną starą zieloną torbę z książkami.

- Cześć, Michaelu Tillmanie. Szłam właśnie do biura Jimmy'ego i zobaczyłam, że masz otwarte drzwi.

Zdjął nogi ze stołu i odrzucił pismo komputerowe.

- Witam cię, Galu Braden. To miło, że wpadłaś. Wejdz i siadaj, ten pokój to oaza palaczy.

- Dobrze. Zostało mi kilka minut, zanim Jimmy wróci z wykładu. -

Powiedziała to tak, jakby przyszła tylko dlatego, że nie miała akurat niczego bardziej interesującego do roboty, ale nie sądził, by taka była prawda.

- Galu, wyglądasz na, jak to nazywają ci z komisji egzaminacyjnej, rasową studentkę. Z tym plecakiem i w ogóle.

- I właśnie nią jestem. To znaczy studentką. Co do mojej rasowości zostawmy kwestię otwartą.

Już miał skomentować to, co postrzegął jako jej niekwestionowaną rasowość, ale się powstrzymał.

- Jakie zajęcia wybrałaś?

- Tradycje kulturowe Indian amerykańskich, naturalnych Amerykanów, jak ich teraz nazywanry. .Poza tym cho-

dzę na ćwiczenia z archeologii. Nie udało mi się jak dotąd znaleźć żadnej pracy, a na pewno nie będę przez cały dzień przesiadywała w domu oglądając telewizję. Czego uczysz w tym semestrze?

- Podejmowania decyzji (to dla studentów starszych lat) oraz metod ilościowych dla dyplomantów. Naprawdę świetne, powinnaś się zapisać.

- Myślałam, że jesteś ekonomistą?

- Jestem, w każdym razie czymś w tym rodzaju. Ale parę lat temu zainteresowały mnie tematy stosowane. Tak to się dzieje z wiekiem.

- Wszystko to brzmi dla mnie jakoś robaczywie. Założę się, że chodzi o robienie pieniędzy i nabijanie klientów w butelkę.

- Pieniądze, może - Michael roześmiał się. - Oszustwa nie.

- Jak rozdzielasz jedno od drugiego? Dla mnie to właściwie to samo.

- Punkt dla ciebie. Ale wolę o tym nie myśleć. Zachowuję się jak kiedyś twórcy bomby atomowej; ja tylko produkuję wiedzę, a co ludzie z nią zrobią, to już nie moja sprawa. Nie ponoszę za to odpowiedzialności. Oczywiście to bzdura, ale pozwala wytrzymać, kiedy za dużo myślę o tym, co właściwie robię.

- No cóż, przynajmniej jesteś uczciwy. Nie wkładasz na zajęcia garnitur i krawata?

- Nie. Kiedy zacząłem pracę na uczelni, tak rzeczywiście się ubierałem, ale ta cholerna kreta wchodzi w najlepszy materiał. Poza tym zbyt tu zimno, żeby nosić coś niepraktycznego. Nigdy nie czułem się dobrze w długich kalesonach pod spodniami w prążki. Krawcy mówią, że garnitury nie leżą na mnie najlepiej. Dzinsy i swetry bardziej mi odpowiadają. Co oczywiście irytuje dziekana, ale jeśli się już nad tym zastanowić, jego irytuje właściwie wszystko, co robię, umyślnie czy nie. - Michael postukał ołówkiem o biurko i uśmiechnął się. - Kiedyś nawet zaprojektowałem dla niego ubranie, ale pomysł nie przypadł mu do gustu.

Gala odpowiedziała uśmiechem.

- A jak miał wyglądać ten jego strój?

- Dres, a do tego specjalny makijaż twarzy, który nazwałem „kamouflażem kierownika” - w brązach i szarościach, by stapiał się z wystrojem sal wykładowych. Powiedziałem mu: „Arthurze, będziesz mógł chodzić wszędzie i słuchać, o czym ludzie mówią. Dopiero wtedy się upewnisz, że nie tańczymy w głównym holu z kwiatami we włosach”.

Uśmiech Gali wyglądał teraz bardziej jak grymas.

- I cóż on ci na to odpowiedział?

- Nic. Potrząsnął głową i odszedł. Jeszcze tylko zdążyłem za nim krzyknąć, że poza tym powinien przemieszczać się tak, by trzymać głowę na poziomie biurek, sugerowałem zmodyfikowany kaczycy chód. Zademonstrowałem go na korytarzu przed jego gabinetem i zagwarantowałem, że osiągnie szczyty, jeśli włoży ten strój i nauczy się chodu. Boję się, że nie załapał, o co mi szło. Ale Carolyn pomysł bardzo się spodobał.

Rozmowa o niczym. Od tego to się właśnie zaczęło. Gala nabrała zwyczaju wpadania do jego biura mniej więcej raz na tydzień. Ona i Michael przedzierali się ku sobie przez gąszcz niewiedzy, jaki zazwyczaj dzieli nieznajomych. Czasami czuł się podniecony już samą rozmową z nią i cieszył się, że obciste spodnie nic nie zdradzają. Oddalił się od Kościoła kilka lat temu, ale dobrze było czasem westchnąć cicho: „O Boże, daj mi Galę Braden; przecież możesz uczynić taki prosty cud zwykłemu człowiekowi”. Ta mantra nigdy nie opuszczała jego myśli.

Podczas jesiennego pikniku, urządnego w niedzielę w nadrzecznym parku, Michael zasiadł na drągu pośrodku dwuosobowej huśtawki i rozmarzony obserwował, jak reprezentacja księgowości bierze górę nad grupą marketingowców podczas meczu siatkówki zorganizowanego przez dziekana i jego sekretarkę. Sekretarka jeszcze mniej niż dziekan lubiła Tillmana, uważając go za impertynenta. Michael zastanawiał się nad tym zaciągając się dymem, choć wiedział, że palenie drażni władzę. Wniosek nasuwał się

sam: ciesz się, że masz tenurę. Cieszył się więc zarówno tym, jak i ciepłym wrześnieowym słońcem.

Księgowi niecierpliwie czekali na drugi mecz, podczas którego zamierzali dać łupnia marketingowcom. Rozgrywki były częścią schematu podwójnej eliminacji przygotowanej przez fanatyków sportu i mającej wpływ na działalność badawczą wydziału. Jakiś geniusz przy zastosowaniu wyższej matematyki stworzył skomplikowany wzór łączący w pary naukowców, wykorzystując równowagę przegranych i wygranych w meczu, a następnie naniósł to na czterobarwny diagram kolorowego monitora.

Dziekan, obejrzawszy diagram, osiągnął stan kompletnej nirwany i kazał każdemu zachwycać się „dobrą robotą”, jak sam to nazywał (Michael podejrzewał, że pensja pomysłodawcy skoczyła o dodatkowe dwieście dolarów). Zdaniem Michaela można to było porównać do wbijania małego gwoździka kilofem, czego nie omieszkał powiedzieć dziekanowi, który domagał się zachwytów nad błyskotliwością rozwiązania.

Dosłownie wyraził się tak: „Myślę, że ktoś tu marnuje błyskotliwą inteligencję na bzdury”.

Jezu, wszyscy pracownicy wydziału wyglądają jak bezkształtne bryły. Zwiotczałe ciała miotające się między drzewami, wpadające na siebie i upadające przy wtórze świstów dobywających się z gwizdka dziekana. Michael rozejrzał się, by sprawdzić, czy zespół opieki medycznej czeka w pogotowiu.

- Chcesz się pohuścić, Tillman-Michael? - Uśmiechnięta Gala szła ku niemu przez trawnik. Widział ją już od dobrej chwili. Zawsze gdy tylko znalazła się gdzieś w pobliżu, jego wewnętrzny radar zaczynał działać i przez cały czas podawał mu informacje o miejscu, w którym była. Ona i Jim zjawili się jakąś godzinę temu. Michael przyjechał na swoim Czarnym Cieniu, który wypuścił z siebie obłok spalin przypadkowo akurat w chwili, gdy mijał samochód dziekana. Pomachał do Carolyn. W tym roku nie miała na sobie koszulki z napisem „Dziekanka” i zrobiło mu się jej żal. Dla-

tego zamówił dla siebie podkoszulek z napisem „Kandydat na dziekana” i specjalnie włożył tego dnia.

- Niezły pomysł. - Przesunął się nieco w stronę skraju huśtawki, ale nie za bardzo, ponieważ był cięższy od Gali o dobre sześćdziesiąt funtów.

Następnie podał jej piwo z małej chłodziarki (obliczonej akurat na sześć butelek) spoczywającej u jego stóp.

- Co Jim na to, że jego żona siedzi obok obcego faceta?

- Zazwyczaj nie zwraca na takie rzeczy uwagi, ale czasami staje się bardzo drażliwy. W dodatku zupełnie bez powodu. Ale ciebie lubi i wie, że się przyjaźnimy, więc to zupełnie co innego. Zresztą, w tej chwili całkowicie pochłania go starcie na pył reprezentacji marketingu.

Łagodne światło jesiennego popołudnia czyniło ją jakby przezroczystą.

Jej piersi wznosiły się i opadały pod bawełnianą bluzką w rytm kołysania huśtawki. To było miłe. Dżinsy napinały się na biodrach i udach, obejmujących deskę huśtawki. Czy przynajmniej Najwyższy czerpie z jego cierpienia odrobinę przyjemności, zastanawiał się Michael.

- Nie grasz w siatkówkę? Wyglądasz na faceta w niezłej formie, a sądząc po żalostnej walce, jaka się tam rozgrywa, stałbyś się najważniejszym graczem.

Spojrzał w kierunku siatki i zobaczył Jamesa Lee Brade-na III, który w drucianych okularach, przepoczonej koszulce i za luźnych spodenkach wykonywał skok na rozkraczonych nogach rozgrzewając się przed drugim meczem. I w tej właśnie chwili Braden III znalazł się na ziemi, potknąwszy się o nogę dr Patricii Sanchez. Michael zdał sobie sprawę, że nie odpowiedział, i zobaczył, że Gala mu się przygląda. Wypił łyk piwa.

- Nie - odparł wreszcie. - Zaliczyłem swoje cztery mile o świcie. To wystarczy na jeden dzień. Poza tym mógłbym zapaść się w brzuszisko księgowego Kippermana i nie odnaleźć drogi powrotnej przed czwartkowymi zajęciami.

Gala Braden roześmiała się i dalej huśtali się w górę i w dół w to wrześnie popołudnie.

### *Rozdział czwarty*

Ukrainie na zachód od Madurai poranek wstał łagodny i miły, tak jak to bywa w Indiach, zanim zrobi się gorąco i podniesie się kurz. Szczególnie ten poranek wydawał się łagodny i miły, ponieważ jeśli wszystko potoczy się dobrze, Michael za kilka godzin spotka Galę. Powinna być w górach, w Ghatach Zachodnich. Może kolejny poranek nie okaże się równie miły i słodki. Może zupełnie niepotrzebnie jechał za tą kobietą. Wróciły stare wątpliwości, które męczyły go przez całą drogę. Zapomnij o tym, odrzuć te myśli - nakazał sobie. Gala miała jakieś problemy, nieważne jakie, ale on miał też swoje - niedługo skończy czterdzieści trzy lata, nieuchronnie dążąc do dnia, kiedy taki zryw duszy i ciała stanie się niemożliwy. Jeśli czekała go bitwa, Indie były równie dobrym miejscem, by ją rozegrać, jak każde inne, może nawet lepszym. Gala mogła go odesłać z powrotem i me będzie mu gorzej, niż kiedy siedział w Cedrowym Zakątku, wysłuchując plotek o Jimmym Bradenie, którego żona wyruszyła na jakąś egzystencjalną krucjatę.

Na święto Dziękczynienia w pierwszym roku swego pobytu w Cedrowym Zakątku Bradenowie zaprosili Michaela na obiad. Byli w mieście zaledwie od trzech miesięcy, ale Jimmy zdecydował, że wydadzą duże przyjęcie. Gala protestowała, twierdząc, że nie znają jeszcze tak wielu osób, a poza tym to święta rodzinne i dla bliskich przyjaciół. Jej



rodzice mieli przyjechać z Syracuse i to w zupełności by wystarczyło. Ale Jimmy przygotował listę, a potem patrząc na nią stwierdził, że jeśli dwie trzecie gości nie zawiedzie, będzie to całkiem pokazowa impreza.

Lista Jimmy'ego została starannie przygotowana, żadnych niespodzianek. - Zastanawiałem się nad zaproszeniem Michaela Tillmana - powiedział - ale wątpię, czyby przyszedł. On jakoś nie pasuje do przyjęcia z okazji Dnia Dziękczynienia. Z drugiej jednak strony Michael jest samotny, samotna jest również twoja przyjaciółka Ann Frazier, ta z socjologii. Oboje są dziwakami, może byśmy zorganizowali małe swaty nad indykiem?

Gala rozważyła w myślach ten pomysł. Wyobraziła sobie Michaela siedzącego przy obiedzie w jej domu. Dziwny, odmienny Michael Tillman, o szerokich barach i piwnych oczach, a włosach dłuższych niż aprobowano u wykładowcy wydziału ekonomii. Coś ponad przeciętność. Twarz spalona słońcem, prawie jak twarz robotnika, jakby z zadowoleniem odbierał co tydzień pieniądze po skończonej pracy przy maszynach. Wręcz widziała na jego długich, gładkich palcach leciutką warstewkę smaru, której nie mogło usunąć najmocniejsze szorowanie. Miesiąc wcześniej wracała z Jimmym z przedstawienia w miejscowym teatrze. Ciemne ulice były mokre od październikowego deszczu, i nagle, kiedy wjechali w plamę światła, koło nich pojawił się Michael. Siedział na motorze, który nazywał Czarnym Cieniem, i naciskał na gaz, zwiększając obroty silnika. Pamiętała, że w ich samochodzie Neil Diamond śpiewał „Cracklin'Rosie”, ale Jimmy polecił jej znaleźć inną stację, gdzie przez cały wieczór nadawali Beethovena. Ale to tamta melodia przyczepiła się do niej. Od tego czasu kiedy gdzieś usłyszała „Cracklin'Rosie”, przenosiła się myślami na ulice Cedrowego Zakątka i widziała Michaela siedzącego na ukochanym motorze.

Jimmy wychylił się z okna buicka i zawołał:

- Cześć, Michael!

Michael - z żółtą bandaną na głowie, w skórzanej kurtce, wysokich kowbojskich butach i džinsach - odwrócił się i pomachał Bradenom. Kiedy tylko zmieniło się światło, zniknął, wtapiając się w krajobraz. - Wydaje mi się, że jest zbyt chłodno i wilgotno, żeby jeździć na motocyklu, nie uważasz? - zapytał Jimmy.

Ale Gala nie słyszała go. Śledziła oddalające się światła Cienia. Zapragnęła być razem z Michaeliem Tillmanem, pojechać tam, gdzie już raz była, a teraz bała się trafić znowu. Zapragnęła wsiąść na tę czarną maszynę, czuć wibrowanie silnika i szum wiatru w uszach.

Musiała przyznać, że zawsze podobali jej się szczególnie mężczyźni, jakby niedopasowani do świata, w którym żyli (Jimmy to całkiem inna historia - lata z nim spędzone były dla niej czasem wyrównywania rachunków). I wyczuwała, że właśnie takim mężczyzną jest Michael Tillman. Jakby wielka siła sięgnęła w przeszłość i wyciągnęła stamtąd tego pijącego, mocno przeklinającego dziewiętnastowiecznego wilka morskiego, obdarzyła go inteligencją znacznie powyżej przeciętnej i powiedziała: „A teraz bądź grzeczny”, wątpiąc zresztą, czy posłucha. I oczywiście nie słuchał.

Upodobanie do tego typu mężczyzn miało pewnie coś wspólnego z genami, które odziedziczyła po swojej praprababce. Elsie była radykalną feministką w czasach, kiedy jeszcze uznawano za nieprzyzwoite, jeśli nie wręcz niemoralne, nawet myślenie o takich sprawach, a co dopiero branie udziału w marszach ulicznych. Elsa Markham zostawiła swego męża, związała się z radykalnymi socjalistami, wybierając drogę bojowniczką o prawa kobiet i wolną miłość. W rodzinie Markhamów nie mówiło się zbyt wiele o praprababce Elsie.

Gala przez długi czas ukrywała tę stronę swojej osobowości. Nie całkiem ją stłumiła, ale utaiła, upchnęła tak, by nie zniszczyć starannie zaplanowanego życia, które jej rodzice przygotowali dla swoich dwóch córek. Starsza siostra Gali Barbara wkroczyła w to starannie zaplanowane życie bez chwili wahania. Została nauczycielką w szkole podstawo-

wej, wyszła za mąż za dobrze prosperującego agenta ubezpieczeniowego i pozostała w rodzinnym Syracuse. Markha-mowie cieszyli się z wyborów Barbary; wszystko, co robiła, potwierdzało ich rozumienie świata.

Kiedy były dziewczynkami, Barbara zaczytywała się „Małymi kobietkami”. Gala twierdziła, że to zbyt przesłodzone, i sama czytała z zapalem „Madame Bovary”, którą to książkę z kolei Barbara miała za nic. A potem jeszcze powiedziała matce, że Gala chciałaby być Emmą Bovary. Matka zabrała egzemplarz książki Flauberta i przeczytała ją jednym tchem, koncentrując się na fragmentach podkreślonych przez córkę. Skutkiem tego był wykład o przyzwoitości, jednak dziewczyna wybroniła się jakoś twierdząc, że wcale nie chciałaby być taka jak Emma i że można przecież z tej książki wyciągnąć lekcję, jak nie należy żyć. A tak naprawdę chciała powiedzieć, że Emma nie poradziła sobie z sytuacją, ponieważ pieniądze się jej nie trzymały. Prawdziwa romantyczka skoncentrowałaby się na miłości i nie zastanawiała nad całą resztą.

Jeśli istotnie szaleństwo Elsy Markham spłynęło choć w części na Galę, było oczywiste, że jej życie potoczy się właśnie tak, jak się potoczyło. Po wczesnym eksperymencie z Indiami zapragnęła odpoczynku i akurat wtedy na horyzoncie pojawił się Jimmy. A ona właśnie marzyła o spokojnych wodach, zmęczona emocjonalnymi wzlotami i upadkami, jakie niesie przygoda. Jimmy wyglądał jak bezpieczna przystań i taki się okazał. Gala potrzebowała ciszy i ukojenia. Kiedy się jej oświadczył, powiedziała „tak” z powodów, których sama nie była pewna, ale niewątpliwie miały one coś wspólnego ze stabilnością, wygodą oraz spokojem.

Gala przez całe lata ciężko walczyła ze spuścizną po Elsie, ale ta nie dawała za wygraną. Pod powłoką dobrej żony wykładowcy uniwersyteckiego, ze skończonymi studiami antropologicznymi, kryła się kobieta wilka morskiego, która śniła, by przyciągnąć twarz Michaela do swej nagiej piersi i poczuć na sutkach jego usta.

Kiedy Jimmy pokazał jej listę zaproszonych na święto Dziękczynienia, zawahała się. W pierwszym odruchu chciała się zachować jak dobra, porządna żona. Ale w tym samym momencie Elsa Markham wzięła ją za rękę i obie u dołu listy dopisały „M. Tillman”.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Zapytaj, zobaczymy, co on na to powie.

W tym momencie zdecydowała, że jeśli Michael przyjmie zaproszenie, ona włoży czerwoną sukienkę z długimi szerokimi rękawami.

Michael Tillman nie obchodził świąt - żadnych - ale Dziękczynienie u Bradenów oznaczało możliwość przebywania w pobliżu Gali, a z tego nie potrafił zrezygnować. Jim powiedział, że przyjdzie jeszcze kilka osób, ale że on i Gala szczególnie liczą na obecność Michaela, a tak przy okazji, to oczywiście może przyprowadzić ze sobą jakąś przyjaciółkę, jeśli tylko ma ochotę.

Wrócił do domu po porannym biegu, nakarmił psa i kotkę, wypuścił je na dwór, potem przez chwilę czytał. Tuż przed pierwszą podniósł się, podszedł do szafy i wyciągnął szarą tweedową marynarkę i niebieską koszulę. Większość krawatów, jakie posiadał, już dobre tysiąc lat temu znalazła się na dnie szafy i ten stan rzeczy bardzo mu odpowiadał. Nawet te jedwabne były pogniecione i zakurzone. Ale jeden z ciemnoczerwonej wełny, ozdobiony dużym napisem „Ratujcie żółwie” i obrazkiem przedstawiającym te gady w basenie, chyba nadawał się do odzysku, oczywiście po dobrym wyszczotkowaniu. Michael wyciągnął parę wygniecionych grafitowych spodni i obejrzał je trzymając w wyciągniętej ręce. Malachi, collie nazwany tak na cześć ulubionego nauczyciela ze szkoły średniej, oparł łeb na łapach i cichutko zaskomlał.

- Masz rację, nie ma mowy.

Michael odwrócił się, pokazał spodnie kotce imieniem Casserole i zapytał:

- Co na to powiesz, Cass?

Kotka przymknęła na moment oczy, ziewnęła i ruszyła do salonu. Wobec takiego wyniku głosowania w sprawie spodni Michael przejrzał inne wieszaki, znalazł parę nieźle prezentujących się dżinsów i zakończył ćwiczenia z wątpliwej elegancji szarymi skarpetkami i starymi, solidnymi butami z kozłowej skóry.

Wziął butelkę czerwonego wina, którą kupił specjalnie na tę okazję, i przeszedł sześć przecznic do piętrowego domu, własności Bradenów. Stały już przed nim trzy samochody, buick gospodarzy zajmował miejsce na podjeździe. Drzwi otworzył Jim, ubrany jak zwykle bez zarzutu w ciemnogrnatowy garnitur w drobnutkie prążki, białą wykrochmaloną koszulę i ciemny krawat w żółte kropki. Całości dopełniały półbuty z szerokimi nosami, podwójnie stębnowane - obuwie bankiera. Z kieszonki na piersi wystawał rąbek białej chusteczki. Michael już wcześniej podejrzewał, że zamożność Jimmy'ego Bradena nie jest sprawą ostatnich kilku lat, a teraz patrzył na prawdziwego potomka starych pieniędzy.

- Witaj, Michaelu. Jak to miło, że udało ci się przyjść. Prawdopodobnie znasz wszystkich poza rodzicami Gali, którzy przylecieli z Syracuse. Ależ zabójczy krawat!

Michael nienawidził scen powitalnych. Wychowanie w rodzinie robotniczej boleśnie dawało o sobie znać, kiedy wchodził do pokoju pełnego ludzi. Ogarniała go głupia, wprost nie do opanowania wojowniczość, cecha, której normalnie był całkowicie pozbawiony. Mimo upływu lat nie zdobył doświadczenia, jeśli chodzi o wkraczanie do zatłoczonych pomieszczeń, to wszystko.

W saloniku oczekiwał go już pstry tłumek: socjolog (kobieta, samotna, przyjaciółka Gali), księgowy z żoną (ta od „Widziałeś jakieś kobry?”), otyły pracownik naukowy wydziału ekonomicznego z równie grubą żoną i miażdżącym uściskiem dłoni (mistrz siatkówki). Patricia Sanchez rozsiadła się na środku sofy, tuż obok faceta, z którym się ostatnio

prowadzała, pracownika biura do spraw studenckich. Po drugiej stronie Pat siedział starszy pan; Michael uznał, że to ojciec Gali. W pokoju było duszno, za to ogień na kominku wesoło strzelał. Kiedy Michael stanął w drzwiach, wszyscy na niego spojrzeli. Wziął głęboki wdech, miał ochotę zapaść się pod ziemię, ale na to nie było najmniejszej szansy. Jimmy ujął go za łokieć.

- Wydaje mi się, że wszyscy zebrani znają Michaela Till-mana, kolegę z mojego wydziału.

Głosy doszły do Michaela w nierównym unisono. Wykonał w stronę zebranych niepewny ruch ręką i wręczył gospodarzowi butelkę czerwonego wina.

- Gala jest w kuchni z matką. Och, co ze mnie za gospodarz, przecież nie znasz jej ojca, pana Markhama.

Pan Markham miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, jasne oczy i silną dłoń. Uśmiechnął się na powitanie. Michael odpowiedział mu uśmiechem i pomyślał, że dopóki się nie sprzeciwi starszemu panu, ich stosunki będą się układać dobrze.

Przez otwarte drzwi widział korytarz, a za nim, w również otwartych drzwiach do kuchni, Galę. Podniosła głowę, zauważyła go i pomachała dłonią, wołając:

- Cześć, Michaelu, chodź i poznaj moją mamę!

Skierował się do kuchni, a w saloniku powrócono do rozmów, które zostały przerwane jego wejściem. Gala wytarła dłonie w biały fartuch, na którym widniał napis „Cześć” i cztery wielkie indyki z potężnymi czerwonymi koralami. Cmoknęła Michaela w policzek i szepnęła:

- Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Pocałunek i szept zaskoczyły go, ale uznał je za przynależne świątecznemu nastrojowi.

- Mamo, to jest nasz przyjaciel, Michael Tillman.

Gala odziedziczyła urodę po matce. Eleanor Markham była twardą kobietą mniej więcej w tym samym wieku co jej mąż. Miała szare oczy jak córka.

- Miło mi pana poznać. Bardzo się cieszymy, że Gala

i Jim tak szybko zdobyli tutaj tylu miłych znajomych. - Odwróciła się do córki. - Michael to ten, który jeździ na motocyklu, zgadza się? Gala przytaknęła.

- Dokąd pan jeździ, Michaelu? Wypuszcza się pan na bardzo dalekie wycieczki?

- Och, trochę tu, trochę tam. Wokół miasta, czasami nad Wielkie Jeziora, w wyjątkowych okazjach do Kolorado. Mój motor to staruszek i jeśli jadę gdzieś daleko, muszę zabierać pełny komplet narzędzi.

- Gdzie pan mieszka? W bloku? I gdzie trzyma pan motocykl zimą?

Gala wyraźnie straciła humor, spoglądała ponuro ponad ramieniem matki na Michaela.

- W salonie.

Gala zachichotała. Eleanor Markham uśmiechnęła się i zapytała:

- Czemu, na litość boską, akurat w salonie?

- Ponieważ w ubikacji się nie mieści.

Teraz już chichotały obie. Michael uśmiechał się, doceniając dobrą publiczność niczym muzyk jazzowy.

- Poza tym, kiedy nadchodzą chłody, mogę przy nim podłubać, a kiedy robi mi się za ciasno w czterech ścianach, wsiadam na niego i robię „wrum, wrum”. A gdy nie używam Cienia, moja kotka śpi na siodełku.

Mieszkam na pierwszym piętrze starego domu, ale zajmuję to mieszkanie już od dziesięciu lat. Niełatwo jest znaleźć w akademickim miasteczku lokatora, który płaci na czas, a ja nigdy nie zalegam z czynszem, więc właściciel znosi moje dziwactwa.

- Mamo, to oczywiste, że motocykl Michaela stoi w salonie. Z pewnością pasuje tam jak ulał, jest po prostu doskonały... nie tak jak ten cholerny sos, który wcale nie chce zgęstnieć.

Widział, że są zajęte, więc przeprosił i wrócił do salonu, gdzie bezskutecznie próbował się zaadaptować w tym wypolerowanym na wysoki połysk towarzystwie.

Dom Bradenów umeblowany był dość typowo, może nieco lepiej niż typowo - dobre postmodernistyczne obrazy, kilka sztuk całkiem ładnej ceramiki, duża abstrakcyjna rzeźba z brązu i czarno-biała reprodukcja słynnego portretu kapusty pędzla Edwarda Westona, która musiała kosztować dobre parę groszy. Kilka nowych krzeseł i parę starych. We wnętrzu aparatura stereo. Jako tło do rozmów tego dnia wybrano Mozarta. Obejrzał się, by jeszcze raz spojrzeć na Gałę, która wciąż męczyła się nad sosem, i starał się nazwać to, co zobaczył na jej twarzy. Była to mieszanina zadowolenia i niepokoju, uczucie szczęścia, a zarazem pragnienie bycia gdzie indziej. Wrażenie, że bierze udział w wielkim wyścigu, w którym -jak wierzyła - trzeba brać udział, chociaż tak naprawdę wcale nie miała na to ochoty.

- Chodź tutaj, Michaelu. - Pat Sanchez wyciągnęła dłoń w jego stronę. Zawsze lubił Pat. Wywalczyła sobie drogę z hiszpańskiej dzielnicy Los Angeles, zrobiła doktorat w Teksasie i dziesięć lat temu zaczęła pracować na tym samym wydziale co on. Napisali wspólnie kilka artykułów. Po skończeniu pierwszego późnym wieczorem w piątek wylądowali nadzy w jej łóżku pijąc margerity i zaśmiewając się do łez. Potem umówili się jeszcze kilka razy, ale wreszcie przestali się do tego zmuszać ku obojętnemu - choć nie wypowiedzianemu - zadowoleniu. Matematyczne układy opisujące systemy transportu najwyraźniej nie wystarczyły, by scementować ich związek.

Teraz przedstawiła go swemu przyjacielowi, który niedawno został wicedyrektorem do spraw studentów. Ale oni znali się już wcześniej z komisji dyscyplinarnej przy radzie studenckiej. Przyjaciel Pat miał w sobie coś z terapeuty, cecha charakterystyczna ludzi poświęcających swe życie, by zmagać się z bałaganem wciąż tolerowanym przez uniwersytety. Uścisnął dłoń Michaela i powiedział:

- Pamiętam cię. Głosowałeś za wykluczeniem studentów, którym choćby przemknęła przez głowę myśl o pisaniu na



murach. Zaraz... Jak ty to wtedy mówiłeś?... Cytowałem cię jako przykład podejścia, które w dzisiejszych czasach nie zdaje egzaminu.

Michael westchnął w duchu, potem przeleciała mu przez głowę myśl, by wsadzić łepetynę tego słodkiego idioty do lodówki albo do kominka, w zależności od tego czy z jego rozumku dałoby się zrobić kosteczkę lodu czy jajko na twardo, ale tylko pochylił się ku niemu i wyszeptał:

- Przypomnę ci, co wtedy mówiłem. Że kierujemy uniwersytetem, a nie domem opieki dla nieudaczników czy na przykład szpitalem dla chorych na rozbuchanie hormonów. Oszustwo jest oszustwem. Pijane wyrostki niszczące wokół siebie wszystko są tylko pijanymi głupimi wyrostkami i powinniśmy odsyłać ich do mamus, żeby jeszcze posiedzieli przy cycku, póki nie dorosną. Drugim rozwiązaniem jest wykopać te gnojki prosto na ulicę, gdzie już zajmie się nimi policja. To właśnie powiedziałem. A także, że nie mogę znieść całego tego ugodowego pieprzenia, w które najwyraźniej wy wierzycie. Po tym ktoś z rady nazwał mnie faszystą.

Miły Facet - bardzo ważna figura - zrobił się purpurowy na twarzy, podczas gdy Pat zwijała się na poduszkach sofy, starając się powstrzymać śmiech, co nie bardzo jej wychodziło. To ostudziło Michaela. Cieszył się, że Pat tutaj jest. Inaczej wystrzelałby jeszcze więcej naboju w tego małego urzędniczynę, który nie miał pojęcia, co tak naprawdę dzieje się na świecie, i zepsułby Bradenom święto Dziękczynienia, a to była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzył.

- Och, Michaelu, ty nigdy nie dasz się poskromić? - Pat nie zdołała jednak powstrzymać śmiechu.

W tym momencie z kuchni wyszedł Jimmy Braden, podzwaniając trzymanym w ręce małym srebrnym dzwoneczkiem.

- Proszę państwa, podano do stołu.

Tłum przepychając się ruszył do jadalni. Michael szedł z tyłu, zastanawiając się, jak zostały wyznaczone miejsca

przy stole, czy przynajmniej uda mu się od czasu do czasu rzucić okiem na Galę; wolałby częściej niż rzadziej. Ostatecznie po to tu przyszedł, a nie po to, żeby się użerać ze sprytnym dupkiem-karierowiczem.

Karty z nazwiskami leżały przy nakryciach, ale uznał, że lepiej będzie, jak pozwoli wszystkim zająć miejsca i w ten sposób zobaczy, które zostało wolne. Usadzenie gości wyglądało na całkowicie przypadkowe, ale on znał już Galę na tyle dobrze, by nie wątpić, że wszystko zostało starannie zaplanowane. Zony oddzielono od mężów i przyjaciółek i posadzono przy starannie dobranych partnerach. Michael stał i przyglądał się. Po chwili tylko kilka krzeseł pozostało wolnych.

Gala napotkała jego wzrok i wskazała drugie miejsce od szczytu stołu, niedaleko kuchni. Podeszedł tam; na kartce ręką Gali było napisane: „Kandydat na dziekana”. Sąsiednie miejsce pozostało nadal nie zajęte, a bilecik obok talerza informował: „Gala”.

James Lee Braden III kroił, pani Markham nalewała Gala kursowała między jadalnią a kuchnią, bez przerwy coś przynosząc, a reszta towarzystwa rozmawiała o niczym Michael siedział przyglądając się Gali. Po raz pierwszy pomyślał, że być może drabina starego Darwina ma kilka szczebli, których istnienia dotąd nie podejrzewał. Fizyczne zauroczenie tą kobietą zostało jakby zmyte przez głębsze spokojniejsze uczucie wyższego rzędu; stało się coś, czego się nie spodziewał. Poczuł się dziwnie smutny. Smutny za nią, za siebie, za Jimmy'ego, za to, dokąd ich wszystkich może to doprowadzić, choć prawdopodobnie tak się wcale nie stanie. Wołanie do Boga nie brzmiało już tak pewnie jak dotąd, mantra zaczęła się kołysać. Niektóre rzeczy lepiej zostawić w spokoju, pomyślał. On, a prawdopodobnie również Gala, jeśli dobrze odczytywał wysyłane przez nią sygnały, krążyli wokół niebezpiecznego miejsca, miejsca które tylko na początku wydawało się tak niewinne Na chwilę ogarnęła go chęć ucieczki, chciał dosiąść Cienia i od-

jechać, dokądkolwiek. W jakieś miejsce, gdzie grzałoby słońce, a życie byłoby proste.

Uroczysty bankiet trwał dobre dwie godziny. Wino i jeszcze więcej wina, jedzenie i jeszcze więcej jedzenia. Eleanor Markham opowiadała zabawne historyjki z dzieciństwa Gali i wszyscy się śmiali, a najbardziej bohaterka tych opowieści.

Siedząca po prawej stronie Michaela kobieta socjolog bez przerwy mówiła o swoim życiu, od czasu do czasu - kiedy dochodziła do jakiegoś znaczącego momentu - dotykając jego ramienia. Czuł się przyszpilony do miejsca i z każdą chwilą tracił humor, ponieważ okoliczności zmuszały go, by być grzeczny, i nie mógł widzieć Gali nawet kątem oka, bo przecież rozmawiał z ekspertem od udziału kobiet w rozwoju Ameryki.

Ktoś wspomniał o popołudniowym meczu futbolu amerykańskiego między Dallas a Seattle. Fanatyk sportu w osobie pracownika naukowego zaczął się popisywać znajomością dystansów pokonanych przez poszczególnych graczy i innych bzdur, które tylko zaśmiejają umysł i uniemożliwiają człowiekowi zajęcie się sprawami naprawdę ważnymi. Matka relacjonowała Gali, co obecnie porabiają jej koleżanki ze średniej szkoły.

Jimmy kroił indyka - ani na chwilę nie przestawał kroić - to był jego sposób na życie. Ojciec Gali opowiadał Miłemu Facetowi o łowieniu pstrągów w Connecticut. A socjolog po prawej stronie Michaela pytała go, czy czasami chodzi na koncerty połączone z wykładami, napomykając przy tym, że ona zazwyczaj bywa tam sama, a wcale tej samotności nie lubi. Odpowiedział, że nie chodzi, ponieważ o ile się orientuje, zawsze występują te same osoby - „młodziutka” (zazwyczaj w okresie dojrzewania płciowego) koreańska wiolonczelistka, która bezbłędnie wykonuje egzekucje na wyuczonych kawałkach. Socjolog była w porządku, samotna tak jak wszyscy bywamy samotni od czasu do czasu, więc Michael udawał zainteresowanie wykładami, koncertami,

organizacjami kobiecymi, i tylko raz czy dwa poczuł, jak o jego plecy ociera się biodro Gali spieszącej po coś do kuchni.

Pracownik naukowy mówił wciąż o grze, która toczyła się już co najmniej od czterdziestu pięciu minut, i wreszcie wyznał, że ma nadzieję, iż nikomu nie będzie przeszkadzać jeśli pójdzie ją obejrzeć. Kilka osób oznajmiło (oczywiście me wprost), że także chętnie zobaczą, jak młodzi czarni mężczyźni z obu wybrzeży Ameryki dają sobie nawzajem łupnia na teksańskiej równinie, więc sprawa została przesadzona. Socjolog odstawiła kieliszek i powiedziała cicho do Michaela:

- Całe to zainteresowanie sportem to kolejna kapitalistyczna intryga, by zająć czymś masy, nie sądzisz?

Michael naprawdę nie miał ochoty o tym myśleć. Nie chciał myśleć o niczym innym, jak tylko o kolejnym muśnięciu biodra Gali na swoim ramieniu. Ale skinął głową i powiedział:

- Prawdopodobnie masz rację. Z drugiej jednak strony to chyba lepsze, niż gdyby proletariat szwendał się i kradł co popadnie. - W jednej chwili jego sąsiadka odwróciła się do żony księgowego.

Podczas przerwy meczu, kiedy prowincjonalny ekspert zwilżał właśnie gardło, przygotowując się do kolejnej przemowy zapożyczonych wprost ze „Sportu Ilustrowanego” Tim Braden powiedział:

- Michaelu, ktoś mi chyba mówił, że aktywnie trenowałeś sport.

Gala przyłączyła się do męża.

- Naprawdę, Michaelu? Ależ ty jesteś skryty.

Znalazł się w pułapce. Miał nadzieję, że ktoś go wybawi z opresji, ale nie.

Do ataku dołączył ojciec Gali:

- W co grałeś, Michaelu?

Pracownik naukowy, który nie wiedziałby, jak zapiąć pasek przy Suspensorium, zatrzymał widelec z kawałkiem indyka, który niósł właśnie do ust, całkowicie zaskoczony Mi-

chael nie miał zwyczaju zwierzać się ze swej sportowej przeszłości. Wszyscy wpatrywali się w niego, a zwłaszcza pani socjolog, jakby nagle odkryła prawdziwą przyczynę jego braku zainteresowania wykładami i koncertami, i zrozumiała, czemu od początku wydawał jej się nieco barbarzyński. Nie było drogi ucieczki. Mógł nadal spoglądać gdzieś w bok, ale znowu odezwała się Gala:

- Opowiedz nam, Michaelu.

Wydawała się naprawdę zainteresowana, a jej nie potrafił odmówić.

Wypił łyk wina i zaczął:

- Krótsza wersja tej historii brzmi tak: Dorastałem w miasteczku Południowej Dakoty.

Przerwała mu żona księgowego:

- Gdzie to było?

- Custer... tuż koło Rapid City na Czarnych Wzgórzach.

- Tam musi być ładnie, prawda? - Niby kurek na kościele przestawiła się na zdawkową rozmowę o podróżach.

Socjolog wyrwała się z lewackim sloganem:

- Właśnie tam ukradliśmy ziemię naturalnym Amerykanom w dziewiętnastym wieku.

- Tak, jest tam bardzo ładnie - odparł Michael patrząc na żonę księgowego. - Chociaż niestety domek moich rodziców stał na ziemi ukradzionej Siuksom Lakota.

Przez chwilę czekał na dodatkowe pytania dotyczące Czarnych Wzgórz. Nie padło ani jedno.

- Zanim skończyłem ósmą klasę, byłem kompletnie znudzony szkołą i życiem w małym miasteczku. Więc zacząłem rzucać do kosza w miejskim parku. Wtedy ojciec zainstalował mi obręcz koło domu. Moja gra naprawdę go zainteresowała, nawet założył oświetlenie na podwórku, tak żebym mógł ćwiczyć wieczorami. Wyglądało na to, że mam talent. Mój szkolny trener ukończył Wichita State i właśnie tam posłał sfilmowane moje dwie czy trzy gry. Zaproponowali mi stypendium, a to była dla mnie jedyna droga, by skoń-

czyć szkołę średnią i dostać się na studia. Grałem trzy i pół roku, do chwili kiedy poważnie uszkodziłem sobie kolano. I to cała historia. Wypił kolejny łyk wina czekając, by towarzystwo przeszło do problemów większej wagi, ale oni nie dali się tak łatwo zbyć.

- Ile masz wzrostu? Sześć stóp i trzy cale\*?

- Sześć i dwa\*\* bez butów.

- Na jakiej pozycji grałeś?

- W obronie.

- Brałeś udział w mistrzostwach Ameryki czy czymś takim?

- Moja drużyna zajęła pierwsze miejsce podczas mistrzostw wszystkich stanów leżących wzdłuż rzeki Missouri.

Gala przykryła jego dłoń'swoją i uścisnęła.

- Michaelu, w takim razie byłeś gwiazdą!

Nie bardzo wiedział, czy mówi poważnie, czy nieco ironicznie. Miał nadzieję, że jedno i drugie.

- Nigdy nie myślałem w ten sposób. Po prostu pracowałem na mieszkanie i jedzenie, na książki i naukę.

- Założę się, że rodzice byli z ciebie dumni. Nie zastanawiałeś się, czy zostać zawodowcem? - Pracownik naukowy odkrył prawdziwego, żywego weterana wojen, które nic nie znaczyły tutaj, przy świątecznym stole.

- Mój ojciec pooklejał wszystkie ściany swojej stacji benzynowej moimi zdjęciami z akcji „Wichitańskich Orłów”. Matkę bardziej interesowały oceny w szkole. Zawsze zresztą uważała, że uprawianie sportu to dość głupi sposób spędzania czasu.

Pracownik naukowy, który trafiał do kosza najwyżej co drugi raz, czuł się teraz zakłopotany. Po prostu uważał, że każda matka tak bardzo kocha swego syna, iż wiwatuje na jego cześć, podczas gdy on biega w krótkich majtkach pod jupiterami setek sal gimnastycznych, więc było mu żal Mi-

**190 cm.**

**\*\* 187 cm.**

chaela, gdyż najwidoczniej został on pozbawiony matczynego uczucia.

- Jeśli chodzi o zawodowstwo, wcale mnie to nie interesowało, a poza tym pierwszego kroku nie zrobiłem dość wcześnie, jak na te duże ligi. Żaden przedstawiciel profesjonalnej drużyny nigdy do mnie nie zadzwonił, a gdyby zadzwonił i tak bym na to nie poszedł.

- Nie tęsknisz za grą, Michaelu? - Matka Gali patrzyła wprost na niego.

- Nie, nie tęsknię, pani Markham. Zupełnie nie. Prawdę mówiąc marzyłem o tym, by przestać rzucać do kosza i zacząć normalnie żyć. Mniej więcej w drugiej klasie szkoły średniej odkryłem, że nie lubię grać w koszykówkę i nigdy tak naprawdę nie lubiłem. Oszukiwałem sam siebie. Podobało mi się tylko samo rzucanie do kosza, nie zdobywanie punktów. Potem już nigdy nie wziąłem piłki do ręki.

- Interesujący punkt widzenia - powiedziała Gala - że liczy się tylko piękno rzutu, nie wygrana. Michael, powinienes kiedyś o tym napisać. Gdyby w tej chwili jeszcze raz położyła rękę na jego dłoni, napisałby o rzutach piłką cały esej indyczą kością na płóciennym obrusie, ale nie zrobiła tego. Zmieniła temat rozmowy proponując desery do wyboru. Michael zdecydował się na ciasto z rodzynkami. Gala zrobiła je według przepisu swojej babki i było fantastyczne.

Przy kawie i brandy ktoś zapytał Galę o pochodzenie jej imienia. Oboje rodzice jednocześnie się roześmiali. Wskazała na nich. Opowiedzenie historii przypadło matce.

- Kiedy Gala miała jakieś siedem lat, była dość tłuściutka i ojciec w żartach mówił do niej: Galaretko. Dzieci sąsiadów podchwyciły to i zaczęły ją przezywać Gala-mała, Galarety, Gala-cała, i tak dalej.

Biedulka wracała z podwórka zalana łzami. Leonard natychmiast przestał na nią tak wołać i bardzo mu było przykro, że to on sprowokował tę całą historię. Ale dzieciaki nie zrezygnowały.

- Natomiast mama rozwiązała problem. Przekonała mnie,

ze moje przezwisko brzmi Calatea, nie Galareta, a Galatea była piękną nereidą, nimfą wodną opisaną w „Metamorfozach” Owidiusza. To mi się bardzo spodobało i zaczęłam być dumna z mojego nowego imienia.

Przyczepiło się do mnie i już tak zostało.

- W takim razie jak ci naprawdę na imię?

Na miłość boską - pomyślał Michael, spoglądając na księgowego, który był na tyle głupi, żeby zadać to pytanie -daj jej spokój. Gdyby chciała, żebyś wiedział, powiedziałaaby już wcześniej.

- Nigdy tego nie mówię - roześmiała się Gala. - Jimmy, goście na pewno napiliby się brandy. A ja pójde zrobić kawę.

To pozwoliło miłośnikom sportu naciągnąć suspensoria, oczywiście metaforycznie, telewizor gotów był już do rozgrywki.

Na panią socjolog czekały testy do poprawienia, Pat Sánchez i jej chłopak też postanowili już iść. Gala z matką sprzątały kuchnię. Michael wyszedł na dwór na papierosa, a kiedy wrócił, wszyscy poza gospodynią i jej rodzicami oglądali mecz. Usiadł w jadalni koło Leonarda Markhama i zaczęli rozmowę o łowieniu pstrągów. Pan Markham był interesującym rozmówcą, gdyż podawał jedynie niezbędne informacje, bez rozwlekłego gładzenia. Byłby z niego dobry nauczyciel, gdyby nie został producentem pudeł kartonowych, uznał Michael. Podobał mu się Leonard Markham. Później przysiadły się do nich Gala i jej matka, Gala naprzeciw Michaela. Po to właśnie tu przyszedł, by patrzeć na Galę Markham Braden w ten chłodny jesienny dzień 1980 roku. Musiał jednak zachować ostrożność, bo jej matka raz czy dwa przyłapała go na patrzeniu na Galę, mimo że mówił zupełnie kto inny. A matki potrafią czytać w skrytych myślach mężczyzn, szczególnie gdy te myśli dotyczą ich córek.

Starając się wymyślić jakiś temat rozmowy Michael wspomniał Indie i w tym momencie ujrzał, jak twarz Eleanor Markham czerwienieje - lekko, ale jednak. Gala szybko



zmieniła temat. Wtedy zdał sobie sprawę, że coś dziwnego musiało się wiązać z jej pobytem w Indiach. Coś, co sprawiało, że nigdy nie mówiła o spędzonych tam trzech latach.

Michael potrafił znieść bliskie sąsiedztwo Gali tylko przez dość krótki czas. Po prostu jego uczucia do niej były zbyt intensywne, potęgowały się z minuty na minutę i trochę się obawiał, że wyskoczy z czymś głupio oczywistym, z jakąś niesłychaną uwagą, która zdradziłaby go przed jej mężem czy kimkolwiek innym, w tym przed nią samą. Chciał ją widywać, być blisko niej tak często jak się da, nie zmuszany do ukrywania swoich uczuć bardziej niż dotychczas. Więc mniej więcej około szóstej pożegnał się pod pretekstem, że musi nakarmić zwierzęta.

Gała żegnając go na ganku, zadrżała z chłodu i objęła się ramionami.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Michaelu. Wiem, że takie uroczystości nie są w twoim stylu, ale chciałam, by moi rodzice cię poznali. Różnisz się od ludzi, z którymi zazwyczaj się spotykają... Niezupełnie to chciałam powiedzieć. Nie chodzi mi o to, że jesteś ciekawostką, tylko że jesteś inny. Mój ojciec powiedział parę minut temu: „Podoba mi się ten Michael Tillman, ma charakter”. Wiedziałam, że mu się spodobaś.

Dobrze rozumiał, o czym mówiła.

- Ja też go polubiłem, Galu. Dzięki za zaproszenie, bawcie się dobrze. - Nie mógł się powstrzymać i jeszcze przed odejściem rzucił jej przeciągłe spojrzenie. Jedyne, czego pragnął w tej chwili, to objąć ją i powiedzieć: „Nie wracaj tam. Chodź ze mną, będę całował twoje usta i piersi, i twój gładki brzuch, rozbioreę cię na kawałeczki i złożę z powrotem. A potem pójdziemy przed siebie, nieważne dokąd”.

Gała nie odrywała swych szarych oczu od Michaela, na jej twarzy malowała się powaga. To było inne spojrzenie niż zwykle, jakby przeniknęła do jego myśli. Nie powiedziała nic, tylko patrzyła, potem spuściła oczy, uśmiechnęła się lekko i otworzyła drzwi, by zniknąć w środku.

Rok później znalazł się na zachód od Mandurai i jechał dalej na południowy zachód Indii w poszukiwaniu Gali. Kierowca znał tylko kilka słów po angielsku, więc była to cicha podróż, jedynie wiatr huczał wpadając przez otwarte okna. Po mniej więcej pięćdziesięciu milach kierowca zatrzymał wóz, podszedł do przydrożnej kapliczki i położył tam kilka monet.

- Złe duchy - mruknął wsiadając z powrotem do samochodu. - Diabelskie.  
- Wrzucił bieg, oglądając się na kapliczkę.

W Virudunagaram kierowca zjadł śniadanie, a samochód złapał gumę. Najwyraźniej danina okazała się niewystarczająca. Zapasowe koło było dziurawe, tak że musieli udać się na wyprawę w poszukiwaniu warsztatu. Po obowiązkowym targowaniu się o cenę koło zostało wtoczone do zakładu i załatane na zimno. Wystarczy na jakieś sześćdziesiąt następnych mil, pomyślał Michael. Postój trwał prawie dwie godziny. Michael, odchylony na czerwone winylowe oparcie fotela, spoglądał na miasteczka i farmy, które mijali po drodze. W pobliżu Rajapalayam kierowca zwolnił przed mostem spinającym dwa brzegi szerokiej, płytkiej rzeki. Z przeciwka szła kobieta ze stadkiem gęsi, na piaszczystym brzegu inne Hinduski w podkasanych spódnicach prały, z rozmachem uderzając mokrą bielizną o skały.

Gęsi krocząc statecznie prawie pokonały most. Zbyt wolno jednak jak dla kierowcy. Nacisnął klakson. Kobieta zaganiając gęsi na bok rzuciła im złe spojrzenie. Jedynie bogacze jeżdżą samochodami, a ona nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Życie w hinduskiej wiosce toczyło się w rytmie *adagio*. Śpieszyli się tylko przybywający z daleka bogacze.

Kobieta miała na sobie podarte czerwone sari z najtańszego materiału, na palcach jej nóg błyskały pierścionki, a na głowie niosła wiązkę gałęzi. Jednym ramieniem przytrzymała ciężar, drugą rękę spuściła swobodnie wzdłuż ciała pobrzękując bransoletami. Była olśniewająca.  
Piękna

zgodnie z wszelkimi możliwymi kryteriami urody. Tak wyglądała Bardot w swoich zielonych dniach. Spojrzała przez okno na Michaela, który się uśmiechnął, nie mógł się me uśmiechnąć. Miał nadzieję, że może ona odpowie mu uśmiechem. Przez moment wydawało się, że tak właśnie będzie, ale nagle kobieta odwróciła głowę i minęła samochód patrząc prosto przed siebie.

Michael pochylił się do przodu i zobaczył wylaniające się daleko przed nimi Ghaty Zachodnie. Gdzieś w tamtych górach była Gala, w pobliżu miejsca, które nazywało się Thekkady. Przynajmniej tam powinna być. Co robiła, me wiedział, i wciąż nie był pewien, czy chce się tego dowiedzieć.

Po godzinie znaleźli się u stóp wzgórz, powoli i ostrożnie zaczęli się wspinać drogą w kształcie połączonych agrafek. W pewnym momencie musieli zjechać na pobocze, by przepuścić wielki, ryczący hinduski autobus wycieczkowy, który żądał dla siebie całej drogi. Teraz zrobiło się już chłodniej. Byli na wysokości jakichś trzech tysięcy stóp\*, zbocze porastały tutaj sosny. Michael nie wiedział, że tą samą drogą piętnaście lat temu biegła przerażona Gala. Nosila wtedy inne nazwisko.

**\* Około 900 m n.p.m.**

## *Rozdział piąty*

Od świąt Dziękczynienia minęło już kilkanaście dni, a Gala nie pojawiała się w biurze Michaela. Ponieważ miała zwyczaj wpadać na kawę i papierosa co najmniej raz w tygodniu, Michael wreszcie pomyślał, że wszystko popsuł, że z pewnością Gala, ale może także i inni, zauważyli, co do niej czuje, wobec czego uznała, że okazywanie przyjaźni ma swoje granice.

A kiedy zadzwonił Jimmy Braden prosząc o krótką rozmowę, był już całkiem pewien, że Gala coś powiedziała mężowi. Siedział i czekał na cios. Już sobie wyobrażał, jak Jimmy mówi, że jego żona nieswojo się czuje, kiedy on tak na nią patrzy, i że już więcej do niego nie wpadnie, a przysyłanie zaproszeń na obiady z okazji Dnia Dziękczynienia w ogóle nie wchodzi w grę.

Ale Jimmy przyszedł z zupełnie inną sprawą. Właściwie było to nawet gorsze. Wyjeżdżał na wykłady do Londynu, na cały wiosenny semestr, a Gala miała mu towarzyszyć. Rok temu złożył prośbę o stanowisko profesora na angielskim uniwersytecie, umawiając się wcześniej z Arthurem, że ten da mu półroczny urlop, jeśli podanie zostanie przyjęte. Papiery pochłonął żywioł angielskiej biurokracji. Ale wreszcie, tuż przed rozpoczęciem zajęć, przyszła pozytywna odpowiedź. I teraz Jimmy się rozglądał, kto z pracowników wydziału mógłby wypełnić pozostawioną po nim lukę.

Michaela aż skreśliło na samą myśl, że tak długo nie będzie widział Gali. Wyobrażał ją sobie z włosami rozwianymi wiatrem znad Morza Północnego, roześmianą, lekkim krokiem idącą do teatru, bez jednej myśli o nim, bo niby dla czego miałyby zawracać sobie nim głowę. To, co czuł, było bardzo egoistyczne, wiedział o tym. Zdołał się jakoś opanować i odparł, że przejmie zajęcia z propedeutyki ekonometrii albo przynajmniej znajdzie jakiegoś dyplomanta, który je poprowadzi. Jimmy obiecał, że zrewanżuje się innym razem, ale Michael nie bardzo w to wierzył.

- Wielkie dzięki, Michaelu. To załatwia całą sprawę. Wyjeżdżamy za dziesięć dni, zaraz po zakończeniu semestru, wrócimy w sierpniu. Podczas wakacji zamierzamy podróżować.

Gala w Szkocji, Gala spacerująca wzdłuż kamiennych murów, Gala w Paryżu... wszędzie tam, gdzie nie będzie mógł jej widywać. Godzinę później zastukała w jego drzwi.

- Cześć, pogromco motocykli. Jak tam na wojnie?

- Zwycięstwo po naszej stronie, Galu. Biczowanie studentów zakończy się w grudniu i wtedy, a właściwie w dwa tygodnie później, ogłoszę wiktoria.

Stała w drzwiach zamiast wejść do środka i rozsiaść się jak zwykle na fotelu.

- Przepraszam, że tak długo nie wpadałam. Przygotowywałam się do końcowych egzaminów, a poza tym, jak już wiesz od Jima, wybieramy się do Londynu. Boże, ileż z tym zamieszania, trzeba było znaleźć kogoś, kto zamieszka w naszym domu, popłacić wszystkie rachunki i uregulować sprawy w banku. Całymi dniami biegałam jak szalona. Co zamierzasz zrobić z wakacjami? Masz jakieś wspaniałe plany?

- Nie, właściwie nic specjalnego. Z pewnością jest za zimno, żeby wyciągnąć Cię i wybrać się na wólcę. Najprawdopodobniej skończę mój referat porównawczy o strukturach złożonych, tak żebym mógł go wygłosić na jesiennej konferencji. Odbędę moje cotrymiesięczne strzy-

zenie, spędzę kilka dni w Boże Narodzenie z matką w Custer, a poza tym będę patrzeć, jak pada śnieg, słuchać taśm Milesa Davisa, które zamówiłem, i przygotowywać się do zajęć, które obiecałem poprowadzić za Jima. Moje notatki na ten temat trochę pożółkły. I całe wakacje miną jak z bicza trzasnął, zawsze tak się dzieje.

- Brzmi to dość beznadziejnie. Żadnych specjalnych życzeń bożonarodzeniowych?

Przez moment wpatrywał się w sufit, starając się wziąć w garść i przestać użalać nad samym sobą. Miał oczywiście życzenia, ale żadnego nie mógł wymówić głośno. Odetchnął głęboko, oparł się wygodnie, założył ręce za głowę i nawet się lekko uśmiechnął:

- No cóż, czasami mi się marzy skórzany pasek z wyrytym moim imieniem. Pewien facet z Custer miał taki i gdy byłem mały, bardzo mi się podobał.

Gala w odpowiedzi też się uśmiechnęła.

- Ze wszystkich ludzi, jakich znam, tylko ty, Michaelu, mogłeś powiedzieć coś takiego. Boże, to wręcz surrealistyczne.

- No cóż, życie w ogóle jest surrealistyczne. Tylko ten facet od paska nie. On nie rozwodził się nad głupstwami, siadał za kierownicą swej ciężarówki i jechał pogwizdując.

- Myślę, że to wszystko sobie rozpracował. Chętnie bym więcej o nim usłyszała, ale muszę biec dalej. Postaram się wpaść jeszcze przed wyjazdem. Uważaj na siebie, Michaelu, a jeśli spotkasz swego kolegę, pozdrów go ode mnie. Zapytaj, czy nie napisałby książki o tym, jak przeżyć w tym świecie.

Patrzył za nią, a kiedy znikła w holu, wstał i podszedł do okna, żeby popatrzeć na nią jeszcze przez chwilę. Obejrzała się raz, jakby wiedząc, że on tam stoi. Dochodząc do rogu podniosła na chwilę dłoń, a potem ruszyła w stronę biura solidnego, niezawodnego Jamesa Bradena.

Michael natknął się na Galę w następnym tygodniu, kiedy robił zakupy w niewielkim centrum handlowym w po-

blizu kampusu. Wstąpili na kawę do baru Uciecha. Gała zaliczyła już egzaminy, a wyjazd do Londynu też został właściwie dopięty na ostatni guzik, więc tym razem była spokojniejsza i nie spieszyła się tak jak poprzednio. Miała na sobie jeden ze swoich zwykłych zimowych zestawów: dzinsy i podkoszulek z długimi rękawami pod flanelową koszulą wypuszczoną na spodnie.

Oparł się o ścianę i zapatrzył na stare plakaty z widokami kampusu, którymi obwieszony był cały bar. Studenci - ci już po egzaminach i kilku takich, którzy mieli je jeszcze przed sobą - popijali piwo. Przy sąsiednim stoliku dwaj faceci z wydziału filozofii rozgrywali partyjkę szachów.

Gała zapytała, czy Michael może jej polecić jakieś restauracje w Londynie. Powiedział, że zna miasto jedynie z jednodniowego pobytu i paru tranzytów na Heathrow. Upodobania Michaela ciągnęły go ku społeczeństwom mniej zorganizowanym niż zachodnie, więc podróżował zazwyczaj po południowowschodniej Azji. Jednak kiedy opowiadał o Bangkoku, nie wspomniał dziewczyny o długich włosach i uległych oczach. Wreszcie spojrział na zegarek i oznajmił, że ma za dwadzieścia dwie minuty swój ostatni w tym semestrze wykład, dając do zrozumienia, że pora się żegnać.

- Będzie mi brakowało naszych rozmów przy kawie, Michaelu, i ciebie też będzie mi brakowało, naprawdę.

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. Po raz pierwszy zupełnie go nie obchodziło, że ona czy ktokolwiek inny uzna to spojrzenie za zbyt intymne.

Westchnęła głęboko, już miała coś powiedzieć, ale zawahała się, jakby niepewna, czy powinna się zdobyć na to wyznanie, czy może lepiej nie.

-Nie chcę zaczynać teraz poważnej rozmowy, ale... -znowu się zawahała.

Dłonie mu drżały, choć nie bardzo wiedział dlaczego, więc trzymał je pod stołem, żeby nie mogła tego zobaczyć. Czuł, że policzek drga mu w nerwowym tiku tuż pod lewym okiem. W życiu mężczyzny są takie chwile, gdy wszystko

ulega przyspieszeniu. Wiedział, że jeden z takich momentów właśnie przeżywa.

- Co chcesz mi powiedzieć, Galu? Jaka to poważna sprawa?

- Chcę tylko... to znaczy... tak często powtarzamy: „będzie mi ciebie brakowało”, że te słowa stały się banałem. Ale mnie naprawdę będzie ciebie brakować. Wiem więcej niż myślisz... chodzi mi o twoje uczucia... o moje uczucia. Och, mój Boże, wszystko pogmatwałam...

Opanował drżenie, wyciągnął rękę i spotkał się z jej dłonią w pół drogi.

Drugą ręką Gala ścisnęła obrus.

- Galu, powiedz mi to. Chcę wiedzieć.

- To, co chcę powiedzieć, zabrzmie pewnie idiotycznie. Jeśli się mylę, zapomnisz o tym, co powiedziałam, dobrze? Dobrze?

- Obiecuję.

Uciekła ze swoją ręką i teraz już obiema dłońmi ugniatała obrus wpatrując się weń uparcie. Odchrząknęła.

- Kiedy tak sobie lekko rozmawiamy i żartujemy, głęboko w nas coś się dzieje.

Milczał patrząc na nią. Ta chwila należała do niej. Chciał, żeby dokończyła to, co ma do powiedzenia. Dobre czy złe, przyszedł na to czas. Kelnerka w drodze do kuchni upuściła na podłogę stos talerzy, wszystkie głowy - poza dwiema - odwróciły się, by zobaczyć rozmiar nieszczęścia. Michael widział, jak powoli przesuwają się długa wskazówka zegarka. Egzamin, które miał prowadzić po drugiej stronie kampusu, zaczynały się za piętnaście minut.

- A niech to... czy ja się nie mylę? Coś się między nami dzieje, prawda? -

Ujęła jego dłonie i uderzyła nimi lekko o stół.

Skinał głową.

- To się zaczęło już od naszego pierwszego spotkania na przyjęciu u dziekana pod koniec sierpnia, prawda?

Jeszcze raz skinął głową i powiedział tak jakoś zwyczajnie:



- Stałaś w drzwiach i coś zaczęło we mnie brzęczeć. Teraz ten dźwięk osiągnął natężenie orkiestry symfonicznej, której nie mogę wyłączyć.

- Och Michaelu... Michaelu. - Przeniosła wzrok z niego na ścianę, a potem na sufit. Za dwanaście minut zaczynają się egzaminy. Nie poruszył się. Ostatnia mucha minionego lata wylądowała na jego filiżance i rozpoczęła nie kończącą się wędrówkę po jej obrzeżu.

- Moja mama zauważyła to podczas Dziękczynienia, coś było w twoim wzroku, kiedy na mnie patrzyłeś, i prawdopodobnie w moich spojrzeniach także. Nie, nie jestem do końca uczciwa, patrzyłam przecież na ciebie dokładnie tak, jak ty patrzyłeś na mnie. Kiedy zmywałyśmy w kuchni, wspomniała o tym, a potem powiedziała: „Bądź ostrożna, Galu, bardzo ostrożna”.

Druga czterdzieści siedem. Bar opustoszał, większość studentów miała jakieś zaliczenia, które zaczynały się o trzeciej.

- Michaelu, może to minie, kiedy wyjadę. Przecież musi. Nic nie powiedział, wrzucił ramionami i uśmiechnął się do niej.

Podniosła się, naciągnęła swoją parkę i wymamrotała:

- Czuję się jak uczennica. - Spojrzała na niego. - Cieszę się, że ci to powiedziałam. I cieszę się, że ty powiedziałeś właśnie to, co powiedziałeś, i dziękuję ci za to, jak dawałeś sobie z tym radę przez te miesiące. Lubisz myśleć, że jesteś raczej szorstki, ale tak naprawdę masz w sobie wielką delikatność. Jesteś cholernie wspaniałym facetem, Michaelu Tillman, przystojnym i miłym, i w ogóle... gdzieś musi być dla ciebie kobieta. To znaczy jakaś inna kobieta niż... - „ja” pozostało nie wypowiedziane, nie mogła się zmusić do wymówienia tego słowa (choć on chciał, żeby je wypowiedziała) i głos jej zamarł.

- Wiem, o czym mówisz. Zobaczymy. Teraz liczy się dla mnie tylko to, co do ciebie czuję. - Sięgnął po kurtkę i zaczął się podnosić. Czuł się tak, jakby stracił grunt pod noga-

mi. Przemknęło mu przez głowę, że od sierpnia dzielą go całe lata świetlne.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Uważaj na siebie. Przyślę ci kartkę.

A potem poszła, przemknęła między stolikami i zniknęła za drzwiami.

Zostawił na stoliku dwa dolce i ruszył spokojnym biegiem przez kampus, nogi niosły go po chodniku, ale jego umysł i serce były zupełnie gdzie indziej. Przeskoczył strumień, minął staw z kaczkami i tylko minutę po czasie znalazł się w sali, gdzie miał sprawdzać wiedzę swoich studentów.

## *Rozdział szósty*

Bradenowie wyruszyli do Anglii 20 grudnia, w dniu kiedy Michael kończył egzaminy. Z depresji, w jaką popadł po wyjeździe Gali, wyleczyły go kursy podejmowania decyzji i metod ilościowych. Oczekiwał dobrych wyników od studentów ostatniego roku, ale ku jego miłemu zdziwieniu ich młodszy koledzy okazali się równie dobrze przygotowani.

Stary Cień przycupnął w kącie pokoju, czekając na lepszą pogodę. Michael ułożył na siodełku stos prac egzaminacyjnych i włączył komputer, stojący na biurku obok brudnych od smaru narzędzi i nie umytych filiżanek po kawie. Kilka uderzeń w klawisze i na ekranie pojawił się program obliczający oceny. Michael podawał składowe, program mełł je przez trzydzieści sekund, a potem pojawiały się końcowe wykresy w postaci krzywych z zaznaczonymi standardowymi odchyłkami i całym tym balastem, który Michael skutecznie ignorował podczas semestru.

Dwie godziny później na ekranie pojawiła się ostatnia strona pełna instrukcji - których nie przeczytał ani teraz, ani nigdy w ciągu piętnastu lat nauczania i najwyraźniej nie musiał czytać, ponieważ nikt nie skarżył się na jego karty egzaminacyjne - wypełnił rubryki i podpisał. Zostało mu dwadzieścia minut na odniesienie wyników do dziekanatu, zanim zostanie on zamknięty o czwartej trzydzieści. Narzucił kurtkę i z wynikami pod pachą pokonał biegiem kampus.

Gotowe. Uwolnił się na cały miesiąc od rutyny, którą znosił przez piętnaście lat; a czekało go kolejnych dwadzieścia, chyba że dziekan spróbuje udowodnić jego zawodową niekompetencję, co mu się nie uda, albo oskarżyć o złe prowadzenie, czego również nie zrobi, bo wtedy cały uniwersytet - poza księgowymi - poszedłby na zieloną trawkę. Trzymaj się z daleka od dziewcząt, które chodzą na twoje zajęcia - brzmiała główna zasada przetrwania, wygłoszona przez byłego dziekana, który zatrudnił Michaela, gdy ten tylko skończył studia. Nikomu się jeszcze nie śniło o molestowaniu seksualnym, kiedy starszy pan wygłosił słynny wykład do młodych nauczycieli akademickich, to znaczy tylko do tych z chromosomami XY. Istota przemowy sprowadzała się mniej więcej do tego:

„Panowie, wiem, że wszyscy jesteście dorośli, ale pozwólcie, że przypomnę wam o kilku sprawach. Wiele z tych młodych kobiet, które wstępują w progi naszej uczelni, pochodzi z tradycyjnego Środkowego Zachodu. Dziewczeta te oczekują, że pierwszego wolnego dnia po łóżkowych igraszkach zabiorą was do domu, aby przedstawić matce i ojcu i ustalić termin ślubu. Zapomnijcie o aurze nowoczesności, jaką roztaczają. Koedukacja to poważny problem, naprawdę poważny problem. Studenci są w przeważającej części bandą osłów, a wy będziecie się tym młodym damom wydawać eleganckimi światowcami. One również zrobią na was wrażenie. Siedząc w pierwszych rzędach, ubrane w króciutkie spódniczki, będą was kusić rajsłkimi obietnicami. Mieszkając na terenie kampusu macie mnóstwo okazji do spędzania szczęśliwych chwil pod kołderką, ale lepiej o tym zapomnijcie, szczególnie kiedy jesteście z dziewczyną, która chodzi na wasze zajęcia, a najlepiej w ogóle trzymajcie się od nich z daleka. Mam zbyt wiele innych kłopotów, by jeszcze wysłuchiwać lamentów dziewcząt skarżących się na niesprawiedliwe oceny, wynikłe z jakichś nieporozumień na tle łóżkowym. Innymi słowy, jeśli zwałicie mi na głowę taki pasztet, wykopię was bez chwili wahania z tej świątyni mą-

drości i możecie być pewni, że zadbam, byście nigdy więcej tu nie trafili". To był wykład, jak unikać kłopotów, a nie jak rozwijać wrażliwość w stosunku do kobiet. Michael był pewien, że to drugie podejście nigdy nawet nie przyszło staremu dziekanowi do głowy, a wydział w tamtych czasach był męski w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Po tej przemowie dziekan opowiedział im jeszcze słynną anegdotę sprzed dwudziestu pięciu lat. Do gabinetu wykładowcy języka rosyjskiego weszła studentka. Wskazał jej krzesło mówiąc, że za chwilę zajmie się jej sprawą, a tymczasem szukał jakiejś pracy pomiędzy mnóstwem innych zawałających biurko. Kiedy podniósł wzrok, dziewczyna stała naga, jak ją Pan Bóg stworzył, a drzwi do biura były zamknięte. Sprawa jasna: daj mi zaliczenie albo zacznę krzyczeć.

Chcecie przykładu zimnej krwi w chwili stresu? Chcecie usłyszeć o facecie z jajami? Wykładowca rosyjskiego miał pod dostatkiem jednego i drugiego. Mógłby być neurochirurgiem albo dowódcą promu kosmicznego. Wstał, otworzył szeroko drzwi i wyszedł na korytarz, potem wskazał na młodą kobietę i wykrzyknął z silnym rosyjskim akcentem: „Precz z mojego biura. Już!" Przechodzący korytarzem zobaczyli całkiem niezły kawałek całkiem niezłego kobiecego ciała (tak przynajmniej głosiła legenda, chociaż Michael zauważył, że z biegiem czasu przy każdej kolejnej relacji wdzięki studentki stawały się coraz doskonalsze, można by rzec, że z wiekiem jej ciało wypełnia się i nabiera kształtów).

Zawsze się zastanawiał, jaki morał płynie z tej opowieści, ponieważ nie było jasne, czy między młodą kobietą a Rosjaninem coś zaszło. Ale młodzi wykładowcy wychodzili od dziekana z dwiema wskazówkami: rozporek trzymaj zapięty, a drzwi biura otwarte.

Jakieś dwie trzecie z tych, którzy wysłuchali wykładu dziekana, zastosowało się do jego rad. Pozostała jedna trzecia żęła kobiecey łan niby kombajn prujący przez falujące

zboże, w dodatku bezkarnie, po części dlatego że ci, którzy ich podglądali, nie mogliby z czystym sumieniem rzucić kamieniem. Michaela nie interesowały studentki, po prostu nie wydawały mu się atrakcyjne. Zbyt młode, zbyt naiwne i o czym, u diabła, miałyby z nimi rozmawiać rano. „Kogo uważasz za przedstawiciela zachodniej cywilizacji?” Żałosne.

Tak więc było już po egzaminach i nastał czas nieróbstwa aż do siedemnastego stycznia, kiedy wszystko zacznie się od nowa. Ruszył do budynku administracji: szedł przez hol podziwiając wywoskowaną dębową podłogę, wdychając zapach niekompetencji bijący ze ścian i zbierający się pod drzwiami biur niczym dym ze spalonej wioski, w której kiedyś królowały piękno i prawda. Lekkość, którą czuł po zakończeniu dobrej sesji egzaminacyjnej, gdzieś zniknęła, gdy przypomniał sobie Galę Braden. Był zły, że wyjechała do Anglii, po prostu żeby uciec i zostawić go tu samego, nieszczęśliwego z powodu jej nieobecności.

Nieracjonalne? Oczywiście, że to było nieracjonalne. Jeśli o nią chodzi, nie miał prawa do niczego, co już dostał i co także było niczym.

Wyobraził ją sobie, jak siedzi na lotnisku Kennedyego, czeka na TWA, który uniesie jej cudowne ciało i równie piękną duszę na dziewięć miesięcy całkowicie nowych doświadczeń i spotkań z całkiem nie znanymi mu ludźmi. Może miała rację, może jej nieobecność pomoże, ochłodzi go, pozwoli zainteresować się czymś innym.

Potem zaczął mrużyć pod nosem: „Wróć, wróć, Galu Braden. Muszę spojrzeć na ciebie jeszcze ten jeden raz, tylko jeden. Chcę skończyć rozmowę, którą zaczęliśmy. Chcę usłyszeć coś więcej o twoich uczuciach do mnie, o tym, co myślisz o nas, chcę, byśmy sobie wyjaśnili, co się między nami dzieje”.

Ale poczta nie przychodzi w niedziele, a James Lee Braden III zabrał swoją żonę na zagraniczne wojaże, zostawiając Michaela Tillmana okaleczonego.

Kiedy przechodził koło gabinetu rektora, woźny akurat otworzył drzwi, podparł je i wziął się za opróżnianie koszy.

Michael zerknął do środka. Clarice Berenson, sekretarka rektora, wpatrywała się w ekran komputera. Poza nią w biurze nie było nikogo. Clarice i Michael od czasu do czasu spotykali się ze sobą. Clarice wróciła z Nowego Jorku do Cedrowego Zakątka, swego rodzinnego miasta, kiedy jej mąż ginekolog porzucił ją dla pielęgniarki ze szpitala psychiatrycznego. Po tym przykrym doświadczeniu miała negatywne nastawienie do mężczyzn w ogóle, ale z Michałem umawiała się, a bywało, że kroczyli prawie w chmurach.

Clarice bardzo interesowała się operą i robiła magisterium z hiszpańskiego, co w połączeniu z obowiązkami sekretarki rektora sprawiało, że była bardzo zajęta. Ale niekiedy lubiła się z tego porządnie otrząsnąć. W takich właśnie chwilach wkraczał Michael. Tylko dzięki takiemu rozwiązaniu nie dostali bzika.

Clarice podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- A oto nasz buntownik bez powodu. Jak się masz, Michaelu?

- Nieźle. Właśnie skończyłem ze swymi studentami i byczę się. Co u ciebie?

- Od chwili gdy dwie godziny temu pan rektor wybrał się do Los Angeles, humor mi się systematycznie poprawia. Właśnie miałam zamykać interes. Poszedłbyś na piwo?

- A co byś powiedziała na piwo i kolację?

- To lubię, Michaelu. A może jeszcze krok dalej, w barze Uciecha gra dzisiaj Bobby Blues Band, zaczynają o dziewiątej. Co prawda zjawi się tam pewnie cała ta banda, która właśnie skończyła zajęcia, ale mnie to specjalnie nie przeszkadza.

- Stoi. Ale najpierw muszę się trochę ogarnąć. Umawiamy się, powiedzmy, około siódmej? Najpierw na spaghetti do Rossettiego, a następnie zabawić się do Uciechy?

- Znakomicie. Przyjadę po ciebie. Teraz moja kolej za kierownicą.

- Do zobaczenia wkrótce.

MICHAEL ZACZAL PIC piwo zaraz po powrocie do domu. Usiadł na Cieniu trzymając ciemne beck w dłoni, z kasety śpiewał mu John Coltrane. Malachi podniósł się i oparł łapę na kolanie swego pana. Michael drapał psa za uszami i myślał o Gali Braden odlatującej przez ciemność coraz dalej od niego. Ale takie myślenie było nie fair w stosunku do Clarice, uznał wreszcie, a dwa kolejne piwa pozwoliły mu zapomnieć o samotności i przygotować się na spędzenie miłego wieczoru... przynajmniej dość miłego.

Z wyglądu Clarice zupełnie nie przypominała Gali Braden. Z drugiej jednak strony Michael uważał, że nikogo nie da się do Gali porównać. Ale Clarice miała to coś, co nazywamy klasą, i była więcej niż ładna. A co równie ważne nie leciała w tej chwili do Londynu.

Zapukała do jego drzwi za dziesięć siódma, kiedy właśnie wciągał na siebie białą koszulkę polo, znakomicie pasującą do spranych dżinsów. Weszła i wyjęła sobie z lodówki piwo. Michael łaził po pokoju na bosaka szukając czystej pary skarpet. Kiedy przyniósł swe kowbojskie buty do salonu Clarice siedziała na Cieniu. Przyjrzał jej się. Miała na sobie sweterek w kolorze kukurydzy, ciemnozielone sztruksowe spodnie, zwięzające się ku dołowi, i mokasyny, przyozdobione chwaścikami.

- Świetnie wyglądasz, Clarice, wręcz znakomicie - powiedział i naprawdę tak uważał, a trzy butelki piwa dodały ciepła jego komplementowi.

- Dziękuję, profesorze Tillman. Jak tam postępują zimowe prace przy Cieniu? Widzę, że zdjąłeś łańcuch i podpórka też jest nie założona.

-Staruszek już teraz potrzebuje bezustannej opieki Prawie niemożliwością jest dokupić do niego jakieś części' jeszcze tylko przez sprzedaż wysyłkową udaje mi się coś zdobyć. Jeśli trzeba będzie, zacznę zamawiać części w warsztacie. On i ja razem idziemy przez życie.

- Miło mi słyszeć, że masz towarzysza. - Myśl o rozwodzie nadal była bolesna, Clarice nigdy nie udawała przed Mi-



chaelem, że jest inaczej. - Planujesz jakiś większy wypad w lecie? -  
Odchyliła głowę, pozwalając opaść w tył swym ciemnoblonde włosom.  
Pociągnęła z butelki porządny łyk i z uśmiechem oblizwała pianę. Oboje  
dobrze wiedzieli, jak ta noc się skończy.

- Myślałem, czyby się nie wybrać nad jezioro Superior. Nie byłem tam już  
dobry kawał czasu. Całkiem ładna okolica i niezbyt tłoczno, oczywiście  
gdy się nie przyjeżdża w szczycie wakacyjnym. Chcesz ze mną pojechać?

- Sam nie wiedział, czemu właściwie to zaproponował. Zazwyczaj wolał  
podróżować w pojedynkę, ale czuł się osamotniony i porzucony, a Clarice  
tego wieczoru wyglądała szczególnie ładnie. I bardzo ją lubił.

Znała jego podróżnicze obyczaje i wyglądała na zaskoczoną. Leciutki  
pytający uśmieszek pojawił się na jej twarzy.

- Zobaczmy... Kiedy się wybierasz?

- Mogę jechać w każdej chwili, nie mam w lecie żadnych ekstra zajęć.  
Jeśli jesteś zainteresowana, dostosuję się do ciebie. Gotowa do wyjścia?  
Spaghetti było dobre. Zjedli bez pośpiechu, przy rozmowie wypili butelkę  
wina, a potem włączyli się w tłum zmierzający na dziewiątą trzydzieści  
do Uciechy. Bobby rozgrzewał swój zespół... Perkusja, gitara  
prowadząca, bas i Bobby, który śpiewał i grał na harmonijce. No i  
oczywiście Molly Nigdy (twierdziła, że tak właśnie nazwali ją rodzice),  
absolutna rewelacja, wirtuoz elektrycznych skrzypiec, stojąca w szerokim  
rozkroku na wysokich obcasach, w czarnych skarpetkach, czarnej  
minispódniczce i fioletowej bluzce. Wyglądała jak przestraszony Piotruś  
Pan, który poznał ciemniejszą stronę życia. Zespół zaczął od stu piętnastu  
decybeli, a potem grzał coraz bardziej.

Bobby kierował tym samym zespołem od dwunastu lat, działali z  
ogromną precyzją. Teraz właśnie krzyczał do mikrofonu: „Oto piosenka,  
która stała się słynna dzięki trzem czarnym dziewczynom z Memphis, a  
którą teraz zagrają

trzej biali chłopcy z małego miasteczka Środkowego Zachodu. Dlatego właśnie płacicie dziś ekstra, żeby posłuchać takiego gówna!" Tłum zaryczał z uciechy.

Clarice i Michael stali pod ścianą, czekając na jakiś wolny stolik, co mogło potrwać kilka godzin. Żeby coś powiedzieć, musieli się drzeć na całe gardło i przekrzykiwać jęki gitary prowadzącej Dopplera Donovana, który miał na głowie kowbojski kapelusz, a na nogach wojskowe buty. Bobby zafundował im Chucka Berry w wersji country, sznur wzmacniacza wyglądał tak, jakby wychodził z jego ust, gdzie do harmonijki przyczepiony był mikrofon.

Michael spojrział w kierunku stolika, przy którym siedział z Galą tydzień temu. Teraz zajmowały go dwie pary rywalizujące o to, która wypije więcej piwa. Przez dudniący hałas dobiegły go słowa Gali: „Coś się między nami dzieje, prawda, Michaelu?"

Clarice objęła go w pasie, przytulając się i kołysząc w rytm muzyki. Miała ochotę potańczyć i wreszcie on także zaczął się kołysać. Ale nie czuł się dobrze w roli tancerza ani teraz, ani nigdy, więc wyczekiwał na następną kolejkę piwa, żeby splukać spaghetti i dodać sobie animuszu. Do Michaela podszedł zataczając się jakiś student, wlokący za sobą platynową blondynę w wytłuszczonych džinsach i skórzanej kurtce. Piwny oddech owiał policzek Michaela, kiedy student wywrzeszczał przekrzykując muzykę:

- Świetne zajęcia, doktorze Tillman, po prostu znakomite. Jak mi poszedł egzamin?

Michael nie miał zwyczaju zdradzać przed czasem ocen, szczególnie zaś w Uciesze. Ale, co u diabła, pewnie działał to piwny oddech, był przecież czas zabawy. Sięgnął po serwetkę i napisał na niej: „B". Student z triumfem wyrzucił w górę ręce i opadł na podłogę, gdzie odtńczył dziki taniec radości, wierzgając z całej siły. Pięć minut później przysłał kelnerkę z dwoma kuflami dla Michaela i Clarice. To był koniec semestru, grzebanie umarłych i świętowanie na cześć żywych, atmo-

sfera przypominająca nowoorleański pogrzeb na sto fajerek Doppler Donovan poprowadził zespół w coś, co nazywało się „Drake Neighborhood Slide”, a Clarice znowu wypchnęła Michaela na parkiet. Wieczór zakończył się dokładnie tak, jak oczekiwał - ku obopólnej satysfakcji. Zawsze było im z Clarice dobrze w łóżku. Zanim przyszła pora na sen, klęczała na łóżku, oparta dłońmi i policzkiem o ścianę, a on zlizywał pot z jej ramion, robiąc też inne rzeczy, które sprawiały jej ogromną przyjemność, tak że wspinając się na szczyt rozkoszy, wykrzykiwała:

- O tak, Michaelu... tak, właśnie tak, właśnie tak.

## *Rozdział siódmy*

*Gala* tak daleko. Trudno mu było przetrzymać te miesiące, które spędzała w Anglii. Każdego rana, gdy biegał, jego buty grzęzły w błocie pokrywającym ulice Cedrowego Zakątka, a szron osadzał się na włosach, wysuwających się spod błękitnej czapeczki. Wydział i studenci znajdowali się w stanie zawieszenia między Gwiazdką i ciepłym tchnieniem kwietnia. Szare błoto pokrywało Bingley Hall niczym płaszcz. Wiatr z kanadyjskich prerii smagał budynki od północy i hulał po korytarzach, kiedy tylko ktoś otwierał drzwi na zewnątrz. Odwrotnie niż wino i dziewczyna z bajeczki, która pozostawiła swoje łaszkę w biurze wykładowcy języka rosyjskiego, zima na Środkowym Zachodzie z biegiem lat nie nabierała urody i smaku.

Michael, który ani przez chwilę nie przestawał myśleć o *Gali*, mocno przycisnął studentów, nawet dołożył im trzygodzinne nadprogramowe zajęcia w sobotnie popołudnia, obiecując, że za dobre sprawowanie odpłaci im wolnymi dniami pod koniec semestru. Wiedział, że gdy tylko zrobi się ciepło, nie będzie mógł liczyć ani na nich, ani na siebie, więc to, co najtrudniejsze, przerabiał na początku. Przedzierali się przez wiedzę jak przez gęsty las. Pod koniec lutego zaczął się zastanawiać, czy nie dać na mszę. Była to rozpowszechniona na kampusie psychoterapia na zimowe zmartwienia. Ale mimo wszystko trwali niczym starożytni żeglarze, trzymając się z całych sił masztów i wyglądając lepszych czasów.

Potem na nagich drzewach pojawiły się pierwsze zwiastuny nadziei w postaci kolorowych ogłoszeń biur podróży. Opisy i zdjęcia obiecywały słońce, piasek, opaleniznę i, jakby nieco wstydlawiej, rozrywki pod palmami Florydy lub południowego Teksasu. Studenci huczeli niczym pszczoły czekając na informacje o warunkach śniegowych w górach Kolorado lub ofertę któregoś z właścicieli dużych ciężarowych dodge'ów, że może zabrać całą watahę na wyspę Padre.

Do tego czasu Michael tak wystraszył słabsze dwadzieścia procent studentów, że ci permanentnie opuszczali jego zajęcia. Pozostali stanowili grupę twardych weteranów, zasługujących na odpoczynek, zanim poprowadzi ich stromym zboczem wiedzy ku wiktorii i, być może, zaliczeniu. Padło nieuniknione:

- Profesorze Tillman, czy nic się nie stanie, jeśli opuszczę pana czwartkowe zajęcia przed wiosenną przerwą? Wybieramy się całą grupą do Daytona Beach i chcemy wyjechać już w środę wieczorem.

Spojrzał na miłą młodą kobietę - każdej wiosny pytanie zadawał kto inny, ale wyjeżdżali wszyscy - i odpowiedział:

- A jak pani myśli, czemu zmuszałem was do tych dodatkowych trzech godzin w sobotnie popołudnia? Tak, po to właśnie, żebyście mogli wyjechać wcześniej. - Uśmiechnął się do niej. - A teraz niech mi już pani nie zawraca głowy i zostawi mnie samego. Pracuję nad poważnym problemem uratowania świata wbrew jemu samemu.

Nadszedł piątek, pierwszy dzień wiosennej przerwy. Zerwało się gwałtowne marcowe wietrzysko, minibusy i furgonetki, pełne zniecierpliwionych współmałżonków, ustawiały się pod budynkami na włączonych silnikach, czekając na koniec zajęć. Biblioteka była prawie pusta, pozostali w niej tylko dyplomanci usiłujący nadgonić robotę i młodszy wykładowcy marzący o stałym etacie. Kiedy Michael wyszedł o piątej z Bingley, kampus był pogrążony w ciszy.

W domu usiadł wygodnie w fotelu i zapatrzył się na polaroidowe zdjęcie Gali, przypięte do korkowej tablicy nad

biurkiem. Stała oparta o kamienny mur w Irlandii, ubrana jak na turystkę przystało, z włosami wepchniętymi pod tweedowy kapelusz z niewielkim rondkiem i ze skórzanym plecakiem na ramieniu. Pod koniec stycznia przysłała mu kartę z krótkimi pozdrowieniami. Zdjęcie nadeszło miesiąc później wraz ze spokojnym w tonie listem, napisanym starannym pismem:

*21 lutego*

*Czesc, Michaelu.*

*Pojechaliśmy na długi weekend do Irlandii, żeby się nieco rozejrzeć i przygotować do większych wycieczek, jakie planujemy na lato. Mam nadzieję, że wiosna jest dla Ciebie łaskawa. Tęsknię za naszymi rozmowami przy kawie i brakuje mi Ciebie.*

*Gala*

Zauważył, że nie podkreśliła słowa brakuje, tak jak to zrobiła w barze tuż przed wyjazdem. Może doszukiwał się czegoś, co wcale nie istniało. Gala nie była nieśmiała i to co powiedziała o ochłodzeniu uczuć, mogło stać się ciałem -przynajmniej w jej przypadku. Dla Michaela - nie a zdjęcie tylko pogorszyło sytuację. Siedział i wpatrywał się w nie całymimi godzinami, myśląc o niej i pragnąc jej. Po prostu nie wiedział, jak będzie dalej żyć bez Gali Braden. Za pięć miesięcy ona wróci. Nie mógł się doczekać jej przyjazdu, a jednocześnie me chciał już nigdy jej widzieć. Usiłował znaleźć jakieś magiczne lekarstwo, by uratować się przed tym, co zrobiła - i to bez żadnego wysiłku - z jego psychiką, ale bez rezultatu, więc czekał na sierpień.

Który wreszcie nadszedł, jak to sierpień. Przeszło lato z którego Michael mało co zapamiętał, cały czas wydawało mu się, że spowija go ciężka mgła. Uniwersytet znalazł się w finansowej zapaści, sytuacja taka powtarzała się co kilka lat, w biurach administracji zaczynał się szczyt mrówczej pracy i Clance musiała przesunąć swoje wakacje na jesień.

Michael jakoś nie miał ochoty jechać nad jezioro Superior. Zamiast tego zabierał Cię na długie wyprawy pięknymi bocznymi drogami po zboczach gór Smokies, rozkoszując się jednostajnym szumem maszyny, którą remontował już ze dwadzieścia razy od czasu, kiedy dostał ją w prezencie od ojca.

Biegał ulicami Cedrowego Zakątka o pierwszym brzasku, zanim jeszcze zrobiło się gorąco, utrzymując kondycję, walcząc z wiekiem, chociaż szło mu to coraz trudniej. Czuł, że mięśnie jego nóg nie są już takie jak niegdyś, a w deszczowe dni ból kolana przypominał mu o dawnej kontuzji. Czasami mijał dom Bradenów. Nawet dość często. Biegł, zatrzymywał się na chwilę, spoglądał na frontowe schodki, gdzie stali z Galą w minione święto Dziękczynienia, przypominał sobie subtelne sygnały bez słów, które oboje wysyłali, nie mając pewności, że to drugie kiedykolwiek je odbierze.

W czerwcu napisał artykuł na temat roli inicjatyw podatkowych. „The Atlantic” zaskoczył go, przysyłając czek na tysiąc dwieście dolarów i informację o dacie publikacji. Wypocił cięższą, akademicką wersję dla „Journal of Social Issues”, i to jego dzieło również dostało skrzydeł; redakcja zawiadomiła go, że druk planowany jest na następną wiosnę. Był pewien, że dziekan zignoruje pierwszy tekst jako przypoehlebiający się gustom szerokiej publiczności, a drugi za zbyt nikły związek z ekonomią, chociaż drukować go miało pismo z ich branży. Ale nie dbał już teraz specjalnie o to, co przedstawiciele administracji myślą na temat jego pracy, i nie zawracał sobie tym głowy.

Kiedy minęła połowa sierpnia, czuł się jak skrępowany mocnym sznurem. Już za kilka dni Gala z książką w rękach zasiądzie na swym miejscu w samolocie startującym z lotniska Heathrow, a Jimmy przejdzie się wzdłuż rzędów foteli w poszukiwaniu poduszki i koca. Powiedziała kiedyś, że Jimmy to mistrz spania w samolotach, ale tylko wtedy, gdy ma poduszkę i koc, w przeciwnym razie ogarnia go panika

i nie ma mowy o najlżejszej drzemce. Przygotowanie akcesoriów do spania było zawsze jego pierwszym zmartwieniem po wejściu na pokład. Michael wyobraził sobie Galę w dodających powagi drucianych okularach, wpatrzoną w kartki książki, a potem przenoszącą wzrok ku oknu, w chwili gdy wielki ptak podrywa się do lotu, by zanieść ją do Cedrowego Zakątka.

Zajęcia miały się zacząć za niecały tydzień. Michael siedział w swoim gabinecie. Na uczelni zjawił się zupełnie bez powodu, w nadziei, że może natknąć się na Jimmy'ego Bradena, co będzie sygnałem, że Gala już wróciła. Zadzwoił telefon.

- Cześć, Michaelu, jak się masz? - Jej głos był ciepły, łagodny, jak zawsze wymawiała bardzo wyraźnie słowa, z wyjątkiem tego dnia, kiedy siedzieli w barze, a ona zwierzała się mężczyźnie ze skrywanych uczuć, które on także mógł żywić.

- Galu, czyżbyś wróciła? - z niezadowoleniem zauważył, że głos mu lekko drży. Ostatecznie od amerykańskiego mężczyzny wymaga się pewnej klasy.

- Tak, wróciliśmy wczoraj późnym wieczorem. Jimmy jeszcze śpi, ale ja mam poprzestawiany czas, więc zerwałam się już o czwartej nad ranem. Czy dostałeś zdjęcie, które ci wysłałam?

- Dostałem. Dziękuję. Wyglądasz na nim na zadowoloną i szczęśliwą. - Nie wspomniał nawet, że powiesił to zdjęcie nad swoim biurkiem. To był wstępny taniec po wzgórzach niepewności i Michael stawiał kroki bardzo ostrożnie, nie chcąc nadawać sprawie nazbyt szybkiego biegu.

- I rzeczywiście czuję się bardzo dobrze. Przypadkiem spotkałam w londyńskim metrze jedną z moich starych przyjaciółek z Indii. Zaraziła mnie od nowa jogą, co uczyniło cuda z moim ciałem i duszą.

Och Galu, Galu, nie mów mi nic na temat swojego ciała. Daj spokój biednemu człowiekowi, pozwól mu choć przez chwilę nie mieć tak paskudnych myśli.



- Michaelu, czy moglibyśmy się spotkać? Chciałabym porozmawiać, ale wolę nie przychodzić do twego biura, bo podejrzewam, że Jimmy popędzi na uniwersytet, jak tylko wstanie.
- Jasne, gdzie tylko zechcesz.
- Co byś powiedział na bar Ramada poza centrum handlowym?
- Może być. O której?
- A która jest teraz? Popatrzył na zegarek.
- Za dwadzieścia jedenasta.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Czy jedenasta nie będzie za szybko? Wolałabym wyjść, zanim Jim się obudzi, bo trudno mi wymyślić jakiś pretekst.
- Zdam. Cię czeka koło domu. W takim razie o jedenastej?
- Tak... Michaelu?
- Jestem tutaj. - Musisz się trzymać, stary.
- Cieszę się, że cię zobaczę.
- Ja też, Galu. Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Do Ramady nie jechało się od niego dłużej niż dziesięć, więc najpierw zszedł do skrzynki, skąd wyjął stos reklamówek zachęcających do zakupu różnych książek i bardzo miłe zaproszenie od redaktora z „The Atlantic”, żeby napisał dla nich cykl artykułów. To pozwoliło mu na chwilę oderwać się myślami od Gali: można by spróbować utrzymywać się z pisania. Prawdopodobnie nie wystarczyłoby na dostatnie życie, ale gdyby dodatkowo przeszedł na wczesną emeryturę i tylko do niej dorabiał...

Był tam także list z wydziału ekonomii Uniwersytetu Kalifornia z zaproszeniem dla wszystkich wychowanków, którzy dochrapali się stopnia doktora, na spotkanie w Las Vegas. Michael dostawał je co roku, ale nigdy nie jeździł, mimo że czuł wdzięczność za otrzymane tam wykształcenie, i jeśli zbierali na coś pieniądze, zawsze się dokładał.

Wjechał Cieniem na jezdnię, teraz już dość zatłoczoną, bo większość studentów wróciła na jesienny semestr. Przejechał Trzydziestą Drugą ulicą, a po mniej więcej dziesięciu przecznicach skręcił w drogę 81. Autostrada prowadziła przez najładniejszą część Cedrowego Zakątka. Kiedy wprowadzał Cię w zakręt, zauważył, że trzeba coś zrobić z zatyczką małego zaworu.

Gdy wszedł do baru, Gala już tam siedziała. Wewnątrz było dość mroczno, więc w pierwszej chwili jej nie zauważył, szczególnie że znalazła miejsce za przepierzeniem w samym rogu.

- Michaelu, tutaj!

Gala. Po tych wszystkich miesiącach była tutaj i wołała do niego. Ciemne włosy zebrane wysoko, duże srebrne kolczyki, letnia żółta sukienka i sandały. Szedł w jej stronę czując się niezgrabnie, jakby była kimś obcym. Wyciągnęła do niego dłoń, Michael ujął ją i wsunął się na sąsiednie miejsce. Pocałowała go w policzek, właściwie musnęła tylko ustami, potem odsunęła się, by mu się przyjrzeć. I znowu czuł to samo co kiedyś, wystarczyło tylko, że na nią spojrzał, a już ręce miał spocone, a serce mu dudniło jak silnik Cienia.

- Ależ jesteś opalony, Michaelu. Wyglądasz wspaniale, naprawdę znakomicie, jeszcze taki nie ostrzyżony.

- Odwlekam to jak długo się da. Nienawidzę chodzić do fryzjera, to ma chyba coś wspólnego z utratą męskości, chociaż pewnie raczej dlatego, że jedyny fryzjer w Custer straszył mnie obcięciem uszu (miałem wtedy jakieś cztery lata), jeśli nie usiedzę spokojnie podczas strzyżenia.

Roześmiała się.

- Naprawdę tak cię straszył?

- Tak. Moje dzieciństwo było jednym pasmem utrapień. Ty też wyglądasz wspaniale, Galu. Dużo o tobie myślałem.

Spuściła wzrok, potem spojrzała na Michaela i znowu na stół. Kelnerka wyszła z baru, podeszła do ich stolika, zapaliła małą świeczkę i zapytała, co może im podać. Gala za-

mówiła wodę sodową z sokiem limonki, Michael - koktajl St Pauli Girl, czego nie mieli, więc skończyło się na piwie.

Kiedy czekali na napoje, Gala zapytała, jak mu przeszły wiosna i lato.

Opowiedział o swoich dwóch artykułach, oczy jej rozszerzyły się w uznaniu, gdy usłyszała o „The Atlantic”.

- To wspaniale. Gratulacje.

Wróciła kelnerka. Gala upierała się, że ona zapłaci, więc jej pozwolił.

Kiedy Michael sięgnął po piwo, dotknęła szklanką jego kufła.

- Za co wypijemy, Michaelu?

- Za przeżycie. A jeśli ci nie odpowiada - za emeryturę.

- Michaelu, nic a nic się nie zmieniłeś - napomniała go łagodnie. - A może byśmy wypili za miły letni dzień i twój pisarski sukces?

- I za twój bezpieczny powrót - dodał.

- Jak się ma Cień?

- Ogólnie rzecz biorąc, dobrze. Prowadzi z naturą nieustanną wojnę, ale dajemy sobie radę. Zabrałem go tego lata do Tennessee, ale nie zostaliśmy tam długo. Góry są koszarne. Władze zastanawiają się, jak zmniejszyć napływ turystów. Potem pojechałem do Custer i zostałem przez tydzień u mamy.

- Jak ona się ma?

- Staro, z każdym dniem jest coraz bardziej krucha. Obawiam się, że jeszcze jakieś dwa lata i będę ją musiał oddać do domu opieki albo czegoś w tym rodzaju.

Gala przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. On wypił swoje piwo, ona swoją wodę z sokiem. Wyciągnął papierosy i poczęstował ją. Odmówiła.

- Rzuciłam palenie. Miało to jakiś związek z jogą, chociaż nie wiem dokładnie jaki.

Skinał głowę, pstryknął zapalniczką, zapalił papierosa i oparł się wygodnie o siedzenie. Przesunęła się tak, żeby patrzeć wprost na niego.

Michael poczuł się zmęczony tym kontredansem.

- Gdzie jesteśmy, Galu, my dwoje? Dla mnie to było bardzo długie dziewięć miesięcy. - Kiedy już te słowa padły, pożałował, że tak się pospieszył. Typowo po męsku: żadnej gry wstępnej.

Przez chwilę nic nie mówiła. Patrzyła na niego i dopiero teraz przypomniał sobie, jak szare są jej oczy.

- Wiele o tym myślałam, Michaelu. - Te słowa zwiastowały złe wieści, wiedział od razu. Coś w samych słowach i coś w sposobie, w jaki je wypowiedziała. To, co było między nimi, nie wymagało myślenia. Działania tak, ale nie myślenia. Uczucie szczęścia, że znowu ją widzi, zaczęło z niego wyciekać.

Po chwili odezwała się znowu:

- Przygotowałam sobie oświadczenie dla ciebie, ale to znacznie trudniejsze niż myślałam. Zdołałam przekonać samą siebie, że to, co czuję, jest dziewczęcym zauroczeniem niezwykłym mężczyzną, który różni się od wszystkich, jakich dotąd spotkałam, a przynajmniej jakiego już dawno nie spotkałam. Ale kiedy tu siedzisz i patrzysz na mnie swymi dobrymi piwnymi oczami, włosy opadają ci na kołnierzyk i w ogóle, to jest jeszcze trudniejsze... o wiele bardziej.

- Powiedz to, Galu. I tak wiem, co usłyszę.

- Myślę, że rzeczywiście wiesz, a poza tym zamierzam powiedzieć ci to, co powiedzieć muszę, póki jeszcze potrafię to zrobić. Musimy wykonać czyste cięcie, bo za chwilę zaczną się prawdziwe kłopoty. - Był przygotowany na te słowa, a jednak poczuł się tak, jakby harpun rozerwał mu pierś. -Zanim wyjechaliśmy do Anglii, Jimmy ciągle mnie pytał, co się ze mną dzieje. Twierdził, że zachowuję się dziwnie. To przez ciebie, Michaelu, a raczej przez nas. Myślałam o nas, fantazjowałam na tematy, o których nawet nie chciałabym mówić.

- Nic nie szkodzi, Galu, miałem te same fantazje od dnia, kiedy cię po raz pierwszy spotkałem. Gdybym zaczął o nich opowiadać, przeżyłabyś szok.

- Kobiety myślą o tym samym. Ale nie o to chodzi. Jest coś, o czym nie chcę mówić, coś, za co jestem bardzo wdzięczna Jimmy'emu. Wiele mu zawdzięczam. Oboje go znamy, jest nieco gapowaty, ale dla mnie zawsze był bardzo dobry. Jimmy był załamany, kiedy lepsze uczelnie nie chciały przyjąć jego doktoratu. Wyniki miał niezłe, ale tylko dlatego, że tak ciężko pracował. Boże, jego rodzice jak młotkiem wbijali mu cały czas do głowy, jakie to ważne osiągnąć sukces. Ale Jimmy tak naprawdę nie jest intelektualistą. Wie o tym i niby jakoś się z tym pogodził, ale prawdę mówiąc cały czas go to dręczy, ponieważ na tym kawałku świata, który wybrał sobie za miejsce do życia, sama obecność takich ludzi jak ty przypomina mu jego ograniczenia.

-Do diabła, Galu... - Teraz powinien skromnie schylić głowę, znał przecież kroki tego kontredansa. Ale ona nie dała sobie przerwać.

- Michaelu Tillman, nie odgrywaj przy mnie chłopca z prowincji. Nie uda ci się, za dobrze cię znam. Przerażasz Jimmy'ego. On wie, że nie jest w tej samej lidze co ty. Może sobie pisać przez całe życie i nigdy żaden jego artykuł nie zostanie przyjęty do żadnego z tych pism, w których ty publikujesz. Nie twierdzę, że nie pracujesz ciężko, wiem, że tak, mimo pozorów czegoś innego. I Jimmy cię lubi. Lubi cię nawet bardzo i jest ci wdzięczny za dobre pomysły, jakie mu podsuwasz. Jeśli kiedykolwiek zostanie profesorem, będzie to w dużej mierze twoja zasługa.

- Jimmy jest w porządku, Galu. Różnimy się, ale szanuję to, że potrafi trzymać pochyloną głowę i nie przejmować się potknięciami. Ja tak nie potrafię.

Zapalił kolejnego merita i pociągnął łyk piwa. Cała sprawa robiła się z lekka nieprzyjemna, nie wiedział, co się stało z Galą. Jakby spuszczała wodę zmywając za jednym zamachem lojalność, ograniczenia Jimmy'ego i swoje własne emocje. I przeżuwała po kawałku jego, jakby chroniąc siebie przed własnymi uczuciami.

- Galu, pozwól, że spróbuję ująć w słowa to, co, jak mi

się wydaje, właśnie chcesz mi powiedzieć. Masz w sobie wiele uczucia do Jimmy'ego, nawet w jakiś sposób go kochasz, na pewno. Jesteś osobą, która potrafi kochać. Czujesz wdzięczność za coś, o czym nie wiem, i o co nie będę pytał. Chociaż mam wrażenie, że jakoś wiąże się to z Indiami... gdybyś chciała, żebym wiedział, tobyś mi powiedziała. Ale nie wpłynęłoby to na moje uczucia do ciebie, cokolwiek by to było. A poza tym chcesz się upewnić, że nasze uczucia nie przekroczą pewnej granicy... Tak?

Przytaknęła, miała łzy w oczach.

Siłą rozpędu mówił dalej:

- Powiem ci, gdzie jest ta granica, Galu Markham Bra-den: kocham cię mocno i prawdziwie. Chyba wiedziałem to od chwili, kiedy weszłaś do kuchni dziekana rok temu w tym swoim niebieskim kostiumie i czarnych pantoflach, wiedziałem, kiedy usiedliśmy na schodkach za domem. Jezu Chryste, i wtedy także, kiedy siedzieliśmy na huśtawce w czasie pikniku. Czy wiesz, jak bardzo cię pragnąłem, każdej cząstki ciebie, wszystkiego, z czego się składasz, tego, co namacalne i duchowe? Ciebie całej, tego właśnie pragnąłem. Na wszystkie lata, które mi jeszcze pozostały. Czy rozumiesz teraz, Galu, jakie to głębokie uczucie?

-Michael... nie. - Sięgnęła do torebki, wyjęła chusteczkę i na chwilę przyłożyła ją do oczu. Kelnerka widząc, co się dzieje, włączyła telewizor, żeby odwrócić od nich uwagę i zagłuszyć rozmowę. Michael kiwnął jej z wdzięcznością głową.

Położył dłoń na karku Gali, po raz pierwszy dotknął jej w ten sposób. Jej skóra była właśnie taka, jak to sobie wyobrażał, czuł ją całym ramieniem, w dół aż do głębi, czuł ból z powodu tych wszystkich chwil, kiedy nie będzie jej mógł dotykać.

- Nie martw się. Jakoś to ułożymy. Rany opatrzymy bandażami i obiecuję, że nie będę pod nie więcej zaglądał. Nie jestem pewien, czy zdołam mieszkać w tym samym mieście co ty, ale spróbuję. Naprawdę spróbuję. Może nawet bę-

dziemy mogli od czasu do czasu napić się razem kawy w Uciesze. Po burzy wychodzi słońce, poczekajmy na nie.

Wepchnęła chusteczkę do torby, ujęła jego rękę i utuliła ją w dłoniach.

- Wszystko, co powiedziałaś, Michaelu, to prawda. Do licha, rozumiem, dlaczego czasami irytujesz ludzi i czemu, choć się do tego nie przyznają, boją się ciebie. Carolyn, żona dziekana, wyrwała się z tym, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Powiedziała: „Arthur boi się Michaela Tillma-na jak diabła i mści się na nim za to, stosując nieładne sztuczki”. Dziekan zamierzał nie przyznawać ci pełnej profesury, mimo że po dwakroć spełniłeś wymagania. Carolyn oświadczyła wtedy: „Arthurze, jeśli zrobisz to święństwo Michaelowi, następną rzeczą, jaką zobaczysz, będzie moja dłoń machająca ci na pożegnanie z okna pociągu odjeżdżającego z Cedrowego Zakątka”.

Teraz dołożyła do tego jeszcze Carolyn i Arthura. Gala krążyła po obrzeżach tematu, ale rozumiał dlaczego. Za nimi zatrzaśkiwały się drzwi, które ona chciała zatrzymać otwarte, mimo że sama ciągnęła za klamkę.

- Galu, zostawmy całą sprawę w punkcie, w którym jest teraz. Wiesz, gdzie mnie możesz znaleźć. Jeśli tylko poczujesz taką potrzebę, wpadaj do mnie. Do licha, ja jedynie chcę być w pobliżu ciebie, patrzeć na ciebie, czuć zapach twoich perfum, gdy podejdziesz bliżej, czego mi nigdy nie dość.

- Nie sądzę. Jest coś, kiedy jesteśmy blisko siebie, dzieje się wtedy coś bardzo silnego we mnie... w nas obojgu. Wysiadłam z samolotu spokojna i gotowa powiedzieć ci, co czuję i co zamierzam zrobić, a teraz grzęznę coraz bardziej. Muszę od nowa uporządkować moje życie. Zamierzam zabrać się od tego semestru do nauki, więc trzy razy w tygodniu będę przychodzić na uniwersytet. Jeśli poczuję się na siłach, zobaczę się z tobą. Jeśli nie dam rady, to będę cię unikać i to nie dlatego, że o tobie nie myślę. Rozumiesz, prawda?

- Tak, Naprawdę rozumiem. Nie podoba mi się to, ale rozumiem. Ja także będę o tobie myślał. Chyba jedynie to mi pozostało.

Kiedy wyszli z baru, Gala wręczyła mu małą paczuszkę.

- O mały włos zapomniałabym ci to dać.

Rozerwał papier. Wewnątrz był pas z angielskiej twardej skóry z wytrawionym napisem „Orville”.

Michael dosiadł Cienia i wyjechał z miasta; dotarł aż do Des Moines, gdzie zawrócił. W Cedrowym Zakątku był o zmierzchu. Kiedy przejeżdżał przez miasteczko, doszły go dźwięki orkiestry przygotowującej się do występu podczas pierwszego meczu piłki nożnej. Grali starą melodię, którą słyszał w jakimś filmie. Nie mógł sobie przypomnieć ani tytułu piosenki, ani filmu, bo myślał o Gali Braden i zastanawiał się, jak ma przeżyć *bez* niej te wszystkie lata, które go jeszcze czekają.

światła w Bingley Hall zamigotały i rozpoczął się wyścig w stronę grudnia. Jimmy Braden wpadał do biura Michaela po nowe pomysły, a drużyna piłkarska w tym sezonie radziła sobie całkiem nieźle. W te soboty, gdy mecz odbywał się w miasteczku, ulice zatłoczone były cadillacami i lincolnami prowadzonymi przez przyciężkich mężczyzn, którzy wypisywali czeki na pokaźne sumy dla wydziału wychowania fizycznego i których córki należały do najlepszych korporacji studenckich.

Michael spacerował po sali wykładowej, podrzucając w rękę kawałek kredy.

- Zastanówmy się przez chwilę nad naturą problemów systemowych, elementów składowych enigmy i subtelnych relacji między tymi elementami. Teraz musimy się nauczyć radzić sobie z czymś, co dawno temu nazwałem Dylematem Archimedesesa. - W tym momencie zawsze się wahał i spoglądał na studentów. - A tak przy okazji, kto to był Archimedes?

Wszyscy pochylili się nad notatkami, pokazując, jak bardzo są zajęci.



Kiedy nie ustępował, odezwał się jakiś młody człowiek o brzydkiej cerze, zasiadający w pierwszym rzędzie.

- Nie był to czasem jakiś naukowiec albo ktoś w tym rodzaju?

Michael zaaplikował im dwuminutową pigułkę o życiu matematyków w antycznej Grecji. Potem powrócił do wykładu.

- Archimedes powiedział: „Dajcie mi dźwignię i miejsce podparcia, a poruszę świat”. Właśnie o tym traktuje modelowanie strukturalne, trzeba znaleźć dźwignię, miejsce

i kąt, pod którym można wejść w złożoność. - Zamilkł myśląc o Gali, podczas gdy studenci zapisywali w zeszytach jego słowa zastanawiając się, czy na egzaminie przepytają ich z Archimedesesa.

W drugim tygodniu zajęć opowiadał właśnie o algebrach Boole'a\*, patrząc przez okno na opadające jesienne liście unoszone jesiennym wiatrem i nagle zobaczył Galę. W pierwszej chwili nie poznał jej, skupiony na przekonywaniu studentów, jak wielkim matematykiem był George Boole. Ale wreszcie energiczny krok i tweedowy płaszcz zwróciły jego uwagę - to była ona. Zamilkł, nie wiedział nawet, na jak długo, i przyglądał się, jak Gala maszeruje chodnikiem, z plecakiem przewieszonym przez ramię. Tak daleko, zawsze daleko. Kiedy zniknęła mu z oczu, odwrócił się z powrotem do klasy. Patrzyli na niego jakoś dziwnie. Może zdradziła go twarz, może ruchy. Zauważyli coś w jego oczach, w nagłym opadnięciu ramion, czego nigdy wcześniej u niego nie widzieli. Michael spojrzął na zegar ścienny. Do końca wykładu zostało pięć minut.

- To wszystko na dzisiaj - powiedział i zaczął zbierać notatki. Wychodząc z sali rzucali mu zdziwione spojrzenia szepcząc coś do siebie. Usłyszał słowa jakiejś dziewczyny:

- Widziałaś, jak on przed chwilą wyglądał? Co mu się nagle stało?

**\* George Boole (1815-1864), angielski matematyk i logik, prekursor współczesnej logiki matematycznej (przyp. red.).**

Michael nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo to po nim widać. Gala miała rację - powinni się trzymać od siebie z daleka. Poza tym, że musieli się bronić sami przed sobą powinni unikać innych ludzi, bo ci od razu wywąchaliby co' się święci, gdyby tylko znaleźli się razem z nimi w jednym pomieszczeniu. Przeglądał regularnie rubrykę z ofertami pracy w „Chronicie”, ale przy jego uposażeniu i pozycji niełatwo było coś znaleźć. Poza tym zdrowie jego matki się pogarszało, musiał więc mieszkać w pobliżu. Nie tracił jednak nadziei, że trafi na coś, co spełni jego wymagania, a przy tym pozwoli mu wyrwać się z miasta, w którym mieszka Gala.

Trudno powiedzieć, dokąd by go to wszystko zaprowadziło, gdyby nie kaczkę. Prawdopodobnie skończyłoby się tak samo, ale doszłoby do, tego w inny sposób. Przyczyną całej sprawy było upodobanie władz uniwersyteckich do wznoszenia nowych budynków. Bingley Hall był dość imponującą budowlą - starą, z tradycjami, pokrytą patyną lat Mimo to dziekan uznał, że podobnie jak jego poprzednicy potrzebuje nowego budynku. Sława pracowników naukowych nie bierze się z głoszonej przez nich wiedzy czy rzesz absolwentów wypuszczonych w świat, opiera się raczej na cegłach i zaprawie. To, czy akurat cegła i zaprawa są do tego potrzebne, nie ma znaczenia. Ważne jest, by zdobyć fundusze i wznieść budynek, na którym wyryte zostaną nazwiska sponsorów uniwersytetu lub tych przedstawicieli administracji, którzy służyli mu lojalnie, choć nie zawsze twórczo. Kiedy widziało się dziekana spacerującego wokół Bingley Hall, można było ujrzeć w jego okrągłych oczach napis: „Wydział Ekonomii imienia Arthura J. Wilcoxa” Akurat. Zdobyte subwencje przydałyby się na pensje wykładowców lub na pomoc finansową dla studentów, ale tak łatwo nie przychodzi. Dziekan lubił powtarzać, oczywiście nieoficjalnie: „Dużo łatwiej jest zdobyć pieniądze na środki trwałe niż na pensje”.

I tak, mimo ciężkich czasów, udało się wyskrobać osiemnaście milionów na nowy budynek. Zdarzyło się to poprzedniej zimy, a teraz właśnie powstawały plany.

Arthur rozłożył ostateczną ich wersję w kawiarence, tak by wszyscy mogli je zobaczyć. Michael stanął obok, przyjrzał się projektowi i zauważył, że położenie nowego budynku zostało przesunięte o pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym pierwotnie miał stać.

- Zamierzają go walnąć w samym środku stawu - mruknął w przestrzeń. Spojrzenie, jakim odpowiedzieli inni zebrani w kawiarence wykładowcy, wyraźnie mówiło: „No i co z tego?”

Michael udał się więc do Arthura, by mu wytłumaczyć, jak ważną rolę w tradycji kampusu odgrywa staw. Nie chodziło o to, że stanowił źródło wody, i to całkiem niemałe, w kształcie elipsy o wymiarach pięćdziesiąt na sto stóp. Ale był domem dla małych kaczek z pomarańczowymi nóżkami, które spoglądały na Michaela, gdy przechodził obok, a kiedy grzecznie witał się z nimi, odpowiadały przyjaznym „kwa”.

Było to również miejsce nocnych spacerów i czułych westchnień, miejsce, w którym tysiące zaręczynowych pierścionków wsunięto na drżące palce, nie mówiąc już o innych bardziej cielesnych dowodach uczuć, składanych później, gdy zapadała noc. Michael wyglądając przez okno, widział kaczki, i to przynosiło mu ulgę w chwilach, gdy nauczanie stawało się torturą.

Ale faceci tacy jak Arthur J. Wilcox nie cenią tradycji, nie jest dość namacalna. Michael użył całej swej elokwencji, ale nic nie wskórał.

Arthur powtarzał tylko:

- Ależ my potrzebujemy tego nowego budynku.  
- A co z kaczkami? - Michael był już teraz porządnie zły. - Gdzie one sobie pójdą? Czy zamierzamy wykopać im nowy staw za osiemnaście milionów dolarów?

Arthura nie obchodziły kaczki, co łatwo można było wyczytać z jego twarzy, jak również pragnienie, by Michael już sobie poszedł i zostawił go samego z planami.

Michael wiedział oczywiście, że sprawa kaczek nie wzburzyłaby go tak bardzo, gdyby nie to, że nurtowały go emocje, z którymi nie mógł sobie poradzić: próbował się pozbyć myśli o Gali, ale mu się to nie udawało. Dotarł do samego rektora, który jednak nie przejmował się kaczkami ani o jotę bardziej niż Arthur. Wracając z jego gabinetu Michael zatrzymał się przy biurku Clarice i porozmawiał z nią przez chwilę.

Następnie udał się do dyrektora administracyjnego uniwersytetu i zaproponował, by przenieść budynek i zachować staw dla kaczek.

Dyrektor uśmiechał się grzecznie. Lata obcowania z żądaniami naukowców i opornymi wychowankami uniwersytetu, którzy na jego widok chowali książeczki czekowe, nauczyły go poluru i stylu, którego mógł mu pozazdrościć rzecznik każdego urzędu. Byli jednak i tacy, którzy widzieli w nim potwora.

- Profesorze Tillman, naprawdę rozumiem pańskie zaangażowanie.

Tradycja to rzecz bardzo ważna, zgadzam się z panem. Ale w naszych czasach niekiedy musimy zapomnieć o starych tradycjach i ustalić nowe.

Ja także lubię kaczkę. Prawdę mówiąc jestem członkiem organizacji „Kaczki Bez Granic” i co roku biorę udział w polowaniu.

Michael zastanawiał się, czy połączenie niekompetencji zawodowej i braku poczucia moralności nie wystarczy, by kogoś wyrzucić z pracy.

Jeden z najzdolniejszych studentów Michaela po skończeniu wydziału ekonomicznego poszedł na prawo\*, a po dyplomie wrócił do Cedrowego Zakątka. Michael zadzwonił do niego.

- Gene, co można zrobić, by powstrzymać tych błaznów przed zalaniem kaczek i tradycji cementem?

Gene zawsze miał słabość do precedensowych spraw, więc zainteresował się i tą. Oddzwonił po dwóch dniach po

**\* W USA studia prawnicze można podjąć dopiero po ukończeniu studiów z innej dyscypliny naukowej (przyp. tłum.).**

to tylko, by powiedzieć, że nie znalazł żadnego prawnego kruczka, który mógłby powstrzymać budowę. Było to jakoś związane z prawem stanowym i wspianiałym planem rady edukacji dotyczącym wspianiałego budynku dla najwspanialszej z ras zamieszkujących tę Ziemię.

- Pieprz ich, Gene. Mam zamiar się zakotwiczyć pośrodku stawu i niech mnie wyciągają łańcuchami.

- Michaelu, jeśli to zrobisz, to za friko podejmę się twojej obrony. Ale przegrasz. Lepiej się zajmij poszukiwaniem nowego domu dla kaczek. Wiedząc, że biurokraci najbardziej się boją złej prasy, Michael napisał długi artykuł do gazety uniwersyteckiej przekonująco i ze swadą broniąc sprawy kaczek. Artykuł wywołał poruszenie, doprowadzając Arthura do białej gorączki

A już całkowicie wyprowadziła go z równowagi grupa studentów z Brygady Socjalistycznej, którzy wymalowali napisy "Na ratunek kaczkom" i zorganizowali marsz wokół Bingley Hall akurat wtedy, gdy łowcy głów z firmy Fortune 500 poszukiwali na terenie uniwersytetu łbskich studentów Oświadczyli Arthurowi, że potrzebują porządnych obywateli, nadających się do pracy w wielkiej korporacji, a nie jakichś radykałów. Ten natychmiast zaprosił werbowników do klubu, gdzie racząc ich koktajlami zapewniał, że to tylko drobny incydent, pozostałość po łagodnym traktowaniu studentów w latach sześćdziesiątych.

Następnie zabrał werbowników do biura i pokazał im wspianiałe pomieszczenia, jakie zaplanowano na spotkania kwalifikacyjne w nowym budynku. To podobało im się o niebo bardziej.

Uniwersytecką gazetkę zasypały listy zwolenników i przeciwników kaczek. Jeden sklep zaczął sprzedawać koszulki z napisem „Kaczki - tak, beton - nie”, sprzedawano je po dwadzieścia dolarów sztuka, dowodząc po raz kolejny, że kapitalizm potrafi ciągnąć zyski nawet z idei swoich przeciwników. Michael zdziwił się widząc list od Gali, w którym opowiedziała się z zapałem po jego stronie. To był naprawdę

bardzo miły gest. A na dodatek dobrze wiedział, że Gala będzie miała z jego powodu nieprzyjemności w domu. Jimmy wpadł kiedyś porozmawiać z nim na ten drażliwy temat, bardzo zdziwiony, wręcz zaskoczony, że Michael może wkładać tyle wysiłku w problem głupich ośmiu czy dziesięciu kaczek.

Ale poza Michaeliem nikomu tak naprawdę na nich nie zależało. Długowłosi maszerowali, Arthur się wściekał, ale koparki przyjechały w umówionym czasie na umówione miejsce. I po prostu od któregoś poniedziałku robotnicy wzięli się do roboty, aby zdążyć przed mrozami. Michael był pewien, że oswojone kaczki nie poradzą sobie po zasypaniu stawu i skontaktował się z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami. Zamieścili wspólnie notatkę w gazecie z informacją, że każdy, kto chce pomóc kaczkom, powinien się stawić nad stawem w sobotę rano, przygotowany na to, że się zamoczy.

Michael zjawił się o bladym świcie; lekka jesienna szadź ścinała trawę. Siedział na motorze przyglądając się po raz ostatni stawowi i małym kaczkom, które plaskały pomarańczowymi płaskimi stopami, gdy nagle zauważył zbliżającą się ku niemu postać. Gala. Gala o poranku, Gala nad kaczym stawem. Ubrana w stare dzinsy i turystyczne buty, gruby sweter i czerwoną kominiarkę z napisem: „Jestem dorosła”. Włosy miała związane w koński ogon. Zbliżała się z uśmiechem.

- Cześć. Przyszedłam pomóc znaleźć kaczkom nowy dom. W tej chwili była mu droga bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Galu... dzięki, że jesteś. Boję się, że to będzie brudna robota. Ale te maluchy muszą gdzieś znaleźć dla siebie miejsce.

Podeszła i opierając się o Ciebie położyła głowę na ramieniu Michaela. Ten gest zdziwił go i wzburzył, ale pomyślał: może jakoś uda się nam być tylko przyjaciółmi, niczym więcej. Lecz taka myśl przemknęła mu tylko. Być jedynie kum-

plem Gali i niczym więcej było dla niego po prostu niemożliwe. Podjechały samochody Towarzystwa, równocześnie zjawił się profesor z wydziału biologii. Przywiózł ze sobą klatki i siatkę, którą za pomocą małych rakiet dało się rozpiąć nad stawem w ciągu dwudziestu minut. Gala nie mówiła zbyt wiele, Michael też był raczej milczący, stali przyglądając się profesorowi i jego pomocnikom z Towarzystwa, ubranym w rybackie buty do pachwin. Podczas rozmieszczania rakiet kaczki obudziły się i zaniepokojone pływały w kółko, głośnym kwakaniem wyrażając swe uczucia. Gala i Michael podeszli do profesora, który ustawiał swoją aparaturę. Wyprostował się mówiąc:

- Gotowe.

Wszyscy się odsunęli, a on zaczął rzucać kawałki chleba na wodę. Niebezpieczeństwo to jedna sprawa, a kęsy chleba - druga, więc kaczki kwacząc podpłynęły do ludzi. Kiedy zbliżyły się na odpowiednią odległość, biologowie odpalili rakiety i hałas znowu potwornie przeraził ptaki. Ale siatka spadała już, przecinając oblicze wschodzącego słońca i odcinając kaczkom drogę ucieczki.

Biolog wkroczył do wody kiwając na pozostałych, by ruszyli za nim. Obeszli staw od strony siatki i łagodnie zagonili ptaki ku brzegowi. Najwyraźniej dla profesora nie była to pierwszozna. Spojrzał na Galę i Michaela.

- Będziemy je wam podawać. Wsadzajcie kaczki do klatek, ale proszę - bardzo ostrożnie.

Mówiąc to podwinął rękawy i sięgnął pod siatkę, która ułożyła się teraz kręgiem w pobliżu brzegu. Wszystko szło bardzo sprawnie, o wiele łatwiej niż Michael się spodziewał. On wsadzał kaczki do klatek, a Gala, podając mu przerażone ptaki, głaskała je uspokajająco i przemawiała do nich niskim, łagodnym głosem.

Cała operacja trwała nie dłużej niż dziesięć minut. Biolog zwinął siatkę, a Michael z Galą zanieśli klatki do ciężarówki Towarzystwa. Kobieta w podkoszulku z napi-

sem „Amerykańskie Towarzystwo Humanitarne" powiedziała:

- Zawieziemy je do jeziora Haron na północ od miasta. Wiecie, gdzie to jest?

Michael skinął głową.

- Pojadę za wami. - Spojrzał na Galę: - Masz ochotę zabrać się z nami? Jest miejsce w ciężarówce albo możesz pojechać ze mną.

- Spotkamy się na miejscu - powiedziała zwracając się do kobiety. W tym momencie Michael zrozumiał, że podjęła decyzję, która oznacza więcej niż tylko wybór środka transportu.

Kopnął rozrusznik i pomógł Gali wdrapać się na siodełko. Nigdy przedtem nie jechała na motorze, wygłosił więc dwudziestosekundowy wykład, gdzie opierać nogi i jak przechylać się na zakrętach. Opasała go ramionami.

- Ale frajda - stwierdziła, kiedy ruszyli za ciężarówką.

O tak wczesnej porze w sobotę na kampusie panowała cisza, temperatura podnosiła się gwałtownie dzięki pyzatemu, czerwonemu słońcu. Cień mknął ulicami Cedrowego Zakątka, a potem tunelami z czerwonych i złotych liści poza miastem. Ramiona Gali zacisnęły się mocniej, Michael czuł, jak całym ciałem przywiera do jego pleców. Gdyby skręcił teraz w którąkolwiek autostradę, pod wieczór znaleźliby się gdzieś daleko w Minnesocie.

Wjechali w bramę rezerwatu, wciąż podążając za ciężarówką i jej niewielkim ładunkiem. Droga przez park prowadziła nad jezioro Haron, nieruchome i emanujące chłodem w ten bezwietrzny poranek. Kiedy kaczki zobaczyły wodę, wyszły z klatek i rozlały się wokół rozglądając się za pożywieniem.

- Chwilę zabierze im przyzwyczajenie się do nowego otoczenia - powiedział biolog. - Na terenie uniwersytetu co rusz ktoś im coś rzucał, nie przywykły do szukania jedzenia na własną rękę. Ale będę je odwiedzał co kilka dni. Po jakimś czasie przyzwyczają się do życia tutaj. Na szczęście to jezioro zimą nie zamarza całkowicie.



Kiedy jechali z powrotem do miasta, Michael myślał: Właśnie tak powinno być. Gala i on, i Cień, a przed nimi jasna droga o jesiennym poranku. A tymczasem wiózł ją do domu Jamesa Lee Bradena 111, który prawdopodobnie czeka na nią z biletami na wieczorny mecz piłki nożnej. Michael zerknął na zegarek. Ósma pięćdziesiąt, zapowiadał się długi dzień, a on się bał, że i całe życie będzie mu się już tak dłużyć.

Gala próbowała coś powiedzieć, ale Michael nie słyszał jej w pędzie powietrza i szumie silnika. Zmniejszył obroty, zwolnił i obrócił głowę w jej stronę. Położyła mu dłoń na karku i wyszeptała prosto do ucha:

- Michaelu, czy możemy pojechać do ciebie?

Obrócił głowę jeszcze bardziej i przez chwilę patrzył prosto w jej szare oczy. Odpowiedziało mu ciepłe, pełne miłości spojrzenie. Na jej twarzy dostrzegł cień uśmiechu.

Skinał głowę, czując, że dygocze. Przytuliła policzek do jego pleców, wsunęła dłoń pod jego kurtkę i w rozcięcie koszuli, przesuwając ją powoli w górę i w dół po piersi i brzuchu. Cień niósł go w stronę domu, tak jak tyle razy wcześniej w minionych latach. Niósł również jego i Galę ku przyszłości, która - jak sądził dotychczas - miała nigdy nie nadejść. Kiedy zsiadali z Cienia przed jego domem, owiał ich zapach palonych liści. Z daleka dochodziły głosy chóru uniwersyteckiego śpiewającego pieśń rozpoczynającą apel poranny.

Przytrzymał przed Galą drzwi i weszli do środka, w świat samotnie mieszkającego mężczyzny, który przestawał głównie z samym sobą. Naczynia w zlewie, para džinsów na podłodze, brudne okna. Mała kuchenka, duży salon, z którego przechodziło się do sypialni. W rogu salonu, niedaleko kuchni pokiereszowany klonowy stół, na którym Michael spożywał swoje posiłki. Każde z trzech krzeseł stojących przy tym stole było z innej parafii, ale wszystkie równie zniszczone. Na blacie obok sterty papierowych serwetek stały w zwykłych plastikowych pojemniczkach sól i pieprz.

Wokół stołu i pod ścianami rozciągała się strefa pracy. Za biurko służyły nie wykończone drzwi położone na krzyżakach. Obok regał z cegieł i desek, a na nim literatura zawodowa. Na środku biurka królował komputer; był włączony, na ekranie widniało parę zdań, na końcu błyskał kursor. Pod ścianą stała aparatura muzyczna, a obok słupki kaset. Gala zdjęła kominiarkę i sweter, który przewiesiła przez oparcie krzesła. Kiedy się rozejrzała, uderzyło ją, jak niewiele wie o Michaelu Tillmanie. Uświadomiła sobie, że nigdy nie była z nim sam na sam.

- Chyba muszę się napić - powiedziała. - Masz jakiś alkohol?

- Piwo, wino i może... - otworzył szafkę i zajrzał do środka - odrobina whisky. - Wyciągnął butelkę. Była w jednej trzeciej pełna. Clarice czasami miała ochotę na coś mocniejszego, szczególnie gdy noce były długie i szalone, a chciała uczynić je jeszcze bardziej szalonymi.

- Na dwa palce Jacka Daniela z lodem i odrobiną wody... - Gala wzięła głęboki wdech - nie zaszkodziłoby mi.

Michael stał przez chwilę, trzymając butelkę i patrząc na nią.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem i odsunęła dłonią pasmo włosów, które spadło jej na twarz. - Przynajmniej w osiemdziesięciu procentach.

- Jeśli chcesz, mogę cię odwieźć do domu. Potrząsnęła głową, zakołysały się przy tym jej srebrne

kolczyki, przywiezione z Indii.

- Najpierw spróbujmy Jacka Daniela.

Michael miał cztery szklanki, wszystkie - brudne - w zlewie. Umył jedną i wyciągnął tackę lodu z zamrażalnika.

Gala przeszła koło biurka, przesuając palcem po jego brzegu. Nad biurkiem przypięte były różne notatki i dwa zdjęcia. Na jednym z nich była ona, stojąca przy kamiennym murze w Irlandii. Drugie było połówką i pogniecioną czarno-białą fotką przedstawiającą młodą kobietę w długiej

sukience i brodatego mężczyznę w golfie, dzinsach i sandałach. Przyjrzała się temu drugiemu zdjęciu i rozpoznała oczy.

- To ty?

Oderwał wzrok od drinka, którego jej szykował.

- Tak. Dawno temu w Berkeley. - Nalał Jacka Daniela i podał jej szklanę. - To Nadia. Jest nieprzejednaną feministką - już wtedy miała takie ciągoty - pracuje w Narodowej Radzie Kobiet. Wymieniamy kartki na święta.

Gala nic nie powiedziała. Przeczytała tekst na ekranie komputera: „W tym miejscu słyszę cichy pogłos tego, co już było. Przychodzę świtem, przychodzę nocą i o wszystkich innych godzinach. Przychodzę, by posłuchać szelestu sukien zmierzchu i pieśni gregoriańskich. Przychodzę, bo to jest miejsce, w którym żyją sprawy odległe, sprawy, które rozumiem bezwiednie”.

- To ty napisałeś? - popijając whisky wpatrywała się w ekran.

- Takie tam próbki, cały czas mi się wydaje, że noszę w sobie powieść. - Postawił na blacie butelkę piwa dla siebie.

- Naprawdę?

- Może. To trudniejsze niż myślałem. Kiedy się pisze artykuły i eseje, człowiek jest zawsze przywiązany do rzeczywistości. Więc na razie mam kłopoty z tym, że tu nie ma żadnych ograniczeń, przeszkadza mi, że mogę napisać wszystko, co chcę. To właściwie dziwne: literatura polega na pisaniu kłamstw i jeszcze jej się to chwali.

- To usprawiedliwione kłamstwa - powiedziała Gala. -Przypuszczam, że to, co w książkach, zdarza się także czasami w prawdziwym życiu.

- Jeśli jesteś relatywistką, to tak. I czasem może, gdy konieczne jest złagodzenie ciosów zbyt okrutnego świata.

W odległym kącie pokoju stały sztalugi.

- Malujesz? - zapytała Gala.

Michael uśmiechnął się, wkładając ręce do kieszeni dzinsów.

- Próbuję. Znam faceta, nazywa się Wayne Regenson, pracuje na wydziale sztuki. On i jego żona od czasu do czasu straszliwie się kłóć. Wtedy on wpada do mnie na małe męskie pokrzepienie, w czym ja nie jestem zbyt dobry, ale, jak sądzę, lepsze to, co mu mogę zaoferować, niż nic. W zamian on próbuje nauczyć mnie malować. Wolno to idzie. Naprawdę, bardzo wolno. W pewien sposób to trochę przypomina matematykę. Czystą matematykę. Umysł pracuje tak samo. Elegancki zapis potężnej treści w prostej formie. Połączenie techniki z lewej półkuli mózgu z kształtami z prawej.

- Jak rzut do kosza? Zastanawiał się przez moment.

- Tak, to także.

- Czy to twój? - Wskazała olejny obraz wiszący na ścianie. Przedstawiał grupę czarnych pionowych linii, z których kielkowała zieleń, a żółta wstęga, płynąca za czarnymi liniami, jakby uciekała przed patrzącym, gubiąc się w wykwicie czerwieni.

- Jedyne, na który potrafię patrzeć. I nawet, prawdę mówiąc, podoba mi się.

- Mnie też. Czy ma jakiś tytuł?

- Nazwałem go: „Odleciał motyl”.

Gala uniosła szklanę do ust i pociągnęła spory łyk whisky. Odwróciła się, spojrzała na Michaela, a potem przeniosła wzrok na okno. W okrutnym świetle listopadowego poranka pierwszy raz zauważył na jej twarzy zmarszczki świadczące o wieku.

- To wydaje się takie dziwne, Michaelu. Nasze rozmowy, nasze decyzje, co jest słuszne, a co nie... to wszystko. -Orkiestra uniwersytecka maszerowała pobliską przecznicą, grając pieśń „Jesteśmy nieposkromieni, usłysz nasz krzyk, usłysz nasz krzyk”. Gala Braden przyglądała się ciemnym liściom późnej jesieni opadającym na trawę w lekkim zachodnim wietrze.

Michael na zawsze zapamiętał, jak wyglądała tego ranka, spoglądając przez okno na jesienny Cedrowy Zakątek.

Nie odrywając wzroku od okna sięgnęła do gumki, którą był związany jej koński ogon, i ściągnęła ją rozpuszczając długie, ciemne, lśniące włosy. Spojrzała na niego, w jej szarych oczach była sama łagodność, trudno wprost uwierzyć, że te oczy potrafiły ciskać gromy.

- Jestem trochę roztrzęsiona - powiedziała. - Dużo czasu minęło odkąd... no cóż, sporo czasu.

- O której powinnaś wrócić do domu?

- Mam dla siebie cały dzień. Jimmy wybrał się na spotkanie swej korporacji uniwersyteckiej. Mają zamiar rozegrać mecz, a potem jeszcze będzie uroczysty bankiet. Nie mogłam się zmusić, by patrzeć przez cały dzień na poklepywanie się po plecach. Poza tym - uśmiechnęła się - chodziło o kaczki.

W pewnej chwili dobiegł ich krzyk ze stadionu. Zagłuszył na chwilę balladę Cleo Laine i słodkie tajemnice szeptane po tamilsku przez Galę Braden w to jesienne popołudnie na wysokich szerokościach geograficznych.

„Jeśli Bóg istnieje, to żyje w takich momentach jak ten” - powiedział jej kiedyś pewien mężczyzna. I teraz ona to samo powtórzyła Michaelowi, patrząc mu w oczy, trzymając jego twarz w swoich dłoniach, kochając go i tęskniąc za tamtym mężczyzną, a czasami myśląc ich obu, mimo że w tej właśnie chwili tego nie chciała.

Michael spojrzał w dół na pulsującą żyłkę na jej szyi, na piersi i brzuch tak blisko jego ciała, na rozszerzone oczy, patrzące prosto na niego, a potem powracające do Indii, które pozostały w niej, gdy czas się cofnął i stała znów na wyżynie starego kraju, gdzie ciemne dłonie dotykały tych samych piersi, a głos mężczyzny nakazywał jej: „Otwórz się, Galu, jeszcze bardziej, daj mi to Daj mi całą siebie, a kiedy skończymy, otrzymasz to z powrotem”. Krzyczała wtedy na wpół z lęku, na wpół z rozkoszy. A teraz powtarzała to po wielokroć w łóżku w Iowie, a potem jej krzyk stał się zamierającym, mimowolnym wołaniem za tym wszystkim, co kiedyś czuła, i co teraz czuła znowu, jeszcze raz łącząc się z in-

nym dziwnym mężczyzną, który żył w swoim własnym odległym świecie.

Tego dnia Michael wiedział, że to, co Gala czuje i robi, nie ma żadnego związku z jej życiem z Jimmym Bradenem. Wiedział, że ta kobieta już wcześniej doszła do granic wrażliwości, których Jimmy nigdy nawet nie musnął. Było coś w tym, że nagość jej nie krępowała, w tym, jak poruszała się nieskrępowana pod nim i z nim, jak dotykała go doświadczonymi dłońmi. Coś w bezpośredniości jej słów, kiedy znaleźli się w łóżku - wciąż jeszcze ubrani, gdy odsunęła się od niego i z uśmiechem stwierdziła:

- O ile pamiętam, żeby było mi najlepiej, powinnam najpierw ściągnąć dzinsy.

Później, kiedy samochody pełne kibiców wracających z meczu wyroiły się na ulice, Michael poszedł do lodówki po piwo dla nich obojga. Kiedy wrócił do sypialni, Gala klęczała na łóżku. Uśmiechnęła się do niego, a gdy położył się obok, pogładziła go po piersi.

- Warto było czekać - powiedziała cicho.

Malachi leżał przy drzwiach i opierając głowę na łapach patrzył w stronę łóżka. Casserole siedziała na komodzie i starannie się myła.

Michael powoli przeciągnął dłonią po brzuchu Gali.

- Teraz wydaje się to warte czekania. Ale w czasie czekania takie się nie wydawało. - Podniósł się na łokciu. - Jednym z moich dziwactw jest to, że po kochaniu się umieram z głodu. Co powiesz na grzanekę z serem? To chyba wszystko, co mogę zaproponować.

- Przygotuj trzy, po jednej dla każdego i jedną na spółkę. - Pochyliła się i pocałowała go. - Moją skrywaną namiętnością są smażone ziemniaki z cebulką. Czy masz ziemniaki, motocyklowy mężczyzno, takie duże i świeże? - Uśmiechnęła się. - Pytam, czy masz je w kuchni?

- Mam kartofle,

Galu-Która-Czasami-Mówi-Nieprzyzwoitości-Popołudniami. Mam też cebulę i mnóstwo piwa w lodówce.

- Jesteśmy uratowani. Ty zrobisz grzanki, a ja zajmę się ziemniakami.

Umowa stoi?

- Jasne. Tylko czy musimy się ubierać? Uwielbiam patrzeć na ciebie naga.

- Na Boga, oczywiście, że nie. Biorąc pod uwagę to, co, jak podejrzewam, jak mam nadzieję, będziemy robić po jedzeniu, byłaby to czysta strata czasu. - Wstała z łóżka. - A więc ruszajmy do nagiej kuchni na nagi lunch. Kto to powiedział: nagi lunch? Powinnam wiedzieć. William...

- Borroughs. Stary szalony William S. To tytuł jednej z jego książek.

- Pokrój chleb, a mnie pokaż, gdzie trzymasz ziemniaki. Do roboty, Kapitanie Ameryka. Ja też umieram z głodu.

*Dwa tygodnie później wyjechała.*

Poczucie winy w stosunku do Jimmy'ego przychodziło falami. Cierpieli oboje, i Gala, i Michael. Ona raz nawet płakała.

- Jak mogę być taka nieczuła i jednocześnie wcale o to nie dbać? Tak bardzo cię pragnę, nic innego się nie liczy, żadne wyrzuty sumienia, nic z tych rzeczy.

Jej małżeństwo nie układało się najlepiej już od pewnego czasu, a semestr, który spędzili w Anglii, jeszcze bardziej to ujawnił. Michael dopytywał się, czy czasem Gala nie próbuje racjonalizować post factum tego, co działo się między nimi.

Pokręciła głową.

- Nasuwa mi się słowo inercja. Myślę, że czasami ludzie są ze sobą z powodu inercji, niczego innego. Czuję się tak, jakbyśmy z Jimmym jechali na bardzo zmęczonej szkapie, a nie schodzili z niej tylko dlatego, że nie wiemy, co począć dalej. Pragnieniem Jimmy'ego jest zostać figurą na uniwersytecie, dziekanem czy kimś takim, a mnie jakoś nie rajcuje bycie dobrą żonką urzędnika. Powiedziałam, że chcę zrobić dyplom, a potem doktorat i wykładać. On miał na to do powiedzenia tylko tyle, że będzie nam trudno znaleźć pracę

na jednej uczelni. W Anglii kilka razy porządnie się na ten temat pokłóciliśmy.

Michael pozwalał jej mówić, by w ten sposób uporządkowała miotającą ją skomplikowane uczucia. W pewien sposób Gala była wielką tradycjonalistką. A jednocześnie potrafiła być bardzo nowoczesna i wyzwolona; szukała swojej własnej drogi przez życie. Wszystko to wydawało się zbyt trudne, by mogło się ułożyć samoistnie, a teraz, kiedy on się w to wmieszał, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Chociaż, kiedy Michael o tym wspomniał, Gala była na tyle miła, by stwierdzić, że on wcale nie jest częścią tego bałaganu. Ale nie miała racji. Gala wybierała się na święto Dziękczynienia do Syracuse. W zeszłym roku jej rodzice przyjechali do Cedrowego Zakątka, więc teraz jej kolej pojechać w odwiedziny. Rodzina Jimmy'ego również planowała przyjazd z Rhode Island. Dzień przed wyjazdem Gala spędziła całe popołudnie z Michael'em. Zauważył coś dziwnego w jej zachowaniu, coś, co go zaniepokoiło.

- Galu, o co chodzi?

Spojrzała na niego z miłością. Jeśli chodzi o jej uczucia do niego, nie miał żadnych wątpliwości, nic się nie zmieniło.

- O nic, naprawdę o nic.

Nie naciskał, mając nadzieję, że to przelotny nastrój.

Michael przez cały długi weekend Dziękczynienia nudził się, wyglądając godziny powrotu Gali. Zamiast tradycyjnego indyka przygotował sobie kanapki z tuńczykiem i zjadł je wpatrując się w polaroidowe zdjęcie przedstawiające Galę przy kamiennym murku w Irlandii. Klawiaturę komputera pokrył kurz, Cieniowi też przydałaby się chwila uwagi, ale Michael nie potrafił znaleźć motywacji, by robić cokolwiek poza porannym bieganiem i myśleniem o Gali.

Wieczorem w niedzielę zadzwonił ktoś z dziekanatu z pytaniem, czy Michael nie mógłby zastąpić Jimmy'ego na zajęciach z ekonometrii następnego dnia. Bradena coś zatrzymało w Syracuse, jakaś nagła prywatna sprawa, nic więcej



nie wiedzieli. Michael myślał, że postrada zmysły, chodził w kółko po swoim pokoju, walił pięściami w ściany; Malachi i Casserole przyglądali mu się w zadziwieniu.

W poniedziałek do wieczora nadal nie miał żadnej wiadomości. Zdobył numer telefonu Markhamów przez informację i zadzwonił do Syracuse. Odebrała Eleanor Mar-kham. O Jezus, że też musiała to być matka Gali! Michael wykorzystał jako pretekst sprawę zastępstwa na zajęciach. Chciał się dowiedzieć, jak długo może potrwać nieobecność wykładowcy. Powód troski był wyraźnie naciągany, ale nic innego nie potrafił wymyślić.

Pani Markham rozmawiała z nim zimno, bardzo zimno -i jakby łamiącym się głosem. Powiedziała, że Jimmy jest właśnie w drodze do Cedrowego Zakątka. Wiedziała coś na temat Gali i tego mężczyzny z motocyklem, zauważyła to już w zeszłym roku, a teraz z pewnością wiedziała o wiele więcej - Michael był tego pewny. Powiedziała, że Jimmy jedzie do Cedrowego Zakątka. Nie wymieniła imienia Gali ani nie użyła liczby mnogiej, co by wskazywało, że oboje się tu zjawia. Coś w środku Michaela aż krzychało, by zapytał o Galę, ale zdawał sobie sprawę, że Eleanor Markham nie ma zamiaru z nim na ten temat rozmawiać. Kiedy odwiesił słuchawkę, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Telefon zadzwonił piętnaście minut później. To był Jimmy. Wrócił i chciał przyjść.

- Dobrze, wpadnij zaraz - powiedział Michael - nie ma problemu, przychodź jak najprędzej. - Zdecydowanie przesadził z zaprosinami, ale Jimmy nie miał wycucia w takich sprawach.

Pięć minut później zapukał do drzwi Michaela, któremu wystarczyło spojrzeć na gościa, by zrozumieć, że stało się coś bardzo poważnego. Jimmy był bez krawata, ubranie miał pomięte, włosy w nieładzie. To nie był ten sam Jimmy, którego znał do tej pory.

- Michaelu, stało się coś strasznego, a ja nie mam z kim o tym porozmawiać. Jestem bliski załamania.

Głos w głowie Michaela krzyczał: „Jimmy Bradenie, ty głupi skurwielu, mów, co się stało! Gdzie Gala?" Głos krzyczał tak donośnie, że Jimmy musiał go usłyszeć, nie, chyba jednak me, bo nie słuchał, tylko usiadł na krześle w kuchni ukrył twarz w dłoniach i rozpłakał się. Michael przykucnął i powiedział dokładnie to, co powinien był powiedzieć- Mow szybko, Jimmy. Co się stało? Czy ma to coś wspólnego z Galą? <sup>F</sup>

Tamten pociągnął nosem i kiwnął głową. Bez paniki najważniejsza jest informacja, trzeba dojść do sedna, odrzucając wszystko co niepotrzebne.

- Gdzie jest Gala?

Jimmy spojrzał na Michaela nie przestając płakać i wyrzucił z siebie:

- Wyjechała do Indii.

- Co?! - Michael prawie krzyczał. - Do Indii! Po jakiego diabła? Usiądź prosto i mów, Jimmy. Nie zdołam ci pomóc poki tego nie zrobisz.

Dlaczego wyjechała?

- Nie wiem. Nie pokłóciliśmy się ani nic takiego. W sobotę rano Gala po prostu oświadczyła, że musi pewne sprawy przemyśleć i że jedzie do Indii. Chryste, Michael, błagałem ją, przypochlebiałem się, mówiłem, że wszystko co szło nie tak, da się naprawić, ale nie chciała w ogóle ze mną rozmawiać. Nie była rozgniewana ani zacięta, nic takiego, tylko zachowywała się, jakby w ogóle jej z nami nie było jakby myślami przebywała zupełnie gdzie indziej. To była okropna scena, prawdziwe piekło. Jej rodzice wrzeszczeli moi rodzice wrzeszczeli, ja miotałem się po całym domu,' a Gala pakowała walizkę.

- Dobrze - powiedział Michael. - Nie wiemy, dlaczego wyjechała, ale czy wiemy dokąd? Kiedyś wspomniała miejsce o nazwie Pondicherry na południowym wschodzie Czy tam się wybierała?

- Nie wiem.

Jimmy znowu płakał. Michael zaczął szukać chusteczek higienicznych, nigdzie nie mógł znaleźć pudełka, poszedł do

ubikacji i przyniósł stamtąd papier toaletowy. Jimmy oderwał kawałek i wytarł oczy. Wydmuchał nos i powiedział:

- Próbowałem się dowiedzieć, dokąd pojechała, ale linie lotnicze nie udzielają żadnych informacji na temat swoich pasażerów. Indie są wielkie, więc trudno powiedzieć, gdzie ona może teraz być, ale to prawda, że jakiś czas spędziła w Pondicherry, kiedy była tam poprzednio.

Jimmy nie pijał ani piwa, ani kawy. Michael nalał mu soku pomarańczowego, a sam zapalił papierosa, podszedł do Cienia i usiadł na nim okrakiem. Spojrzał na ścianę i zobaczył zdjęcie Gali. Uznał, że nie jest to najlepsza chwila, by Jimmy zobaczył jej podobiznę tak otwarcie wywieszoną. Kiedy więc ten zaczął znowu ocierać oczy, Michael zdjął zdjęcie i wsunął je pod papiery na biurku. Jimmy siedział zgarbiony, z łokciami opartymi o kolana, przy tym samym kuchennym stole, na którym tydzień wcześniej Michael kochał się z jego żoną, zrzucając na podłogę pojemniczki z solą i pieprzem, kiedy kładł ją na blacie. Śmiała się wtedy.

- Kiedy wyjechała, Jimmy? Jakimi liniami lotniczymi wyleciała z Nowego Jorku?

- W sobotę wieczorem. A właściwie w nocy. Z Syracuse poleciała na lotnisko Kennedy'ego. Nie pozwoliła nawet ani mnie, ani nikomu innemu się odwieźć, może właśnie nie chciała, żebyśmy wiedzieli, którymi liniami leci?

- To zupełnie nie pasuje do Gali - powiedział Michael. Uśmiechnięta, ciepła, pełna dbałości o uczucia innych; takie zachowanie zupełnie nie było w jej stylu.

- Wiem. Dlatego to wszystko jest takie dziwne, Michae-lu. Bo to wcale do niej niepodobne.

A może właśnie tak, myślał Michael. Może jest coś, czego nikt nie wie o Gali Braden, a przynajmniej my tego nie wiemy.

- Jimmy, chcę ci zadać pewne pytanie. Ty zdecydujesz, czy na nie odpowiesz, czy nie. Nie muszę tego wiedzieć, ale mam wrażenie, że Gala nie lubiła rozmawiać o Indiach. Czy coś jej tam się przydarzyło?

Jimmy podniósł wzrok.

- Nie mogę o tym mówić. Powiedziałbym ci, gdybym mógł, ale nie mogę. Po prostu nie mogę. Zrozum, proszę.

Michaelowi się podobało, że tamten tak się zachował, że nie uległ w takiej chwili. Uznał, że Jimmy Braden jest być może lepszym człowiekiem, niż myślał do tej pory.

- W porządku, pozwól więc, że zapytam w ten sposób: Czy sądzisz, że to, co się jej w Indiach przydarzyło, ma jakiś związek z powrotem do tego kraju?

- Nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić, czemu by miało tak być, jeśli jest prawdą to, co opowiadała o swoim pobycie w Indiach. Tak jak powiedziałem, nie mogę o tym mówić, ale chyba wolno mi powiedzieć, iż to, co się zdarzyło w Indiach, to już przeszłość. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Michael potrzebował czasu do namysłu, musiał pobyć sam na sam ze sobą i rozważyć różne możliwości. Ale nie chciał, żeby Jimmy w takim stanie wracał sam do domu.

- Czy chcesz, żebym zorganizował kogoś, kto poprowadzi za ciebie wykłady, żebyś miał czas dojść do siebie?

- Nie, muszę mieć jakieś zajęcie. Nigdy nie służyło mi siedzenie i myślenie, nie jestem introwertykiem. Muszę i tak jakoś się wziąć w garść i powrót do pracy mi pomoże. Gala z pewnością potrzebuje tylko czasu, by się zastanowić, jestem tego pewien.

Jimmy stracił teraz w oczach Michaela o wiele więcej niż przedtem zyskał. Jezu Chryste, myślał, nie pakuj mi tu tego gówna. Pieprz uniwersytet. Wskakuj w pierwszy samolot do Indii i szukaj żony. Porozmawiaj z nią, postaraj się razem z nią rozwiązać problem. Lecz to nie byłoby w stylu Jim-my'ego Bradena. On miał zamiar tylko czekać i mieć nadzieję.

Ale też Jimmy Braden nigdy nie musiał zmieniać oleju w samochodzie bankiera w upalne południe, z przepoconą koszulą przyklejoną do pleców. Nigdy nie wkładał głowy pod maskę samochodu, nasłuchując szumu silnika, podczas

gdy jego ojciec szlajał się w pobliżu z flaszką wystającą z kieszeni kombinezonu. I Jimmy Braden nigdy nie wyskakiwał w górę odbijając się nogą z opuchniętym kolaniem, przy wtórze wrzasku dwudziestu tysięcy oszalałych dupków.

Jimmy liczył, że przez życie poniesie go pochodzenie i zamożność. Zawsze jechał w wagonie pierwszej klasy i to uczyniło go bezradnym, gdy życie wymagało działania. Gdy nie ma gdzie się wspinać, nikt nie uczy się wspinaczki. Taka była droga Jimmy'ego i Michael to rozumiał. Ale równocześnie w tej właśnie chwili zrobiło mu się Jimmy'ego żal. Przecież gdzieś i w nim musiało pozostać coś z tych jakże odległych czasów, sprzed dobrych czterech tysięcy lat, kiedy albo się walczyło, by coś osiąść, albo się to coś traciło. Cywilizacja ma swoje zalety, ale okradła Jim-myh tego świata z podstawowych instynktów.

Po jakimś czasie mąż Gali uspokoił się na tyle, że Michael nie musiał się obawdać, czy przetrzyma samotnie noc, wsadził więc go do jego buicka i wysłał do domu. Jimmy powiedział, że już samo przypomnienie o obowiązkach sprawiło, że poczuł się lepiej, bo przynajmniej ma pracę. Potem dodał, że porozmawiają znowu następnego dnia.

Wyrwało mu się jeszcze coś dziwnego, powiedział, że to, co teraz czuje, to sprawa dumy. Czyli jednak coś z tych odległych czasów w nim pozostało, tylko nie potrafił zrobić następnego kroku. Zanim samochód Jimmy'ego zniknął za zakrętem, Michael przeglądał żółte strony w książce telefonicznej, szukając linii lotniczych.

## *Rozdział ósmy*

*Jeśli* ktoś chce się dostać szybko do Indii, wybiera Air India. To linie tego kraju, i w dodatku zupełnie niezłe. Co wieczór o godzinie ósmej trzydzieści z lotniska Kennedy'ego startuje samolot, lot numer 102, który następnego dnia zatrzymuje się na dwie godziny w Londynie, a później już non stop leci do Delhi albo Bombaju, raz do jednego miasta, raz do drugiego, w zależności od dnia.

Są też inne możliwości, niektóre bardzo pokrętne. Aerofłot zabiera pasażerów do Delhi, ale trzeba się liczyć z długim postojem w Moskwie. Przed upadkiem Pan Am latał do Delhi dwa razy w tygodniu via Frankfurt. To byłyby główne linie od wschodu, poza British Airways, którymi Michael nigdy do Indii nie leciał. Połączenia od zachodniej strony są jeszcze bardziej skomplikowane - z kilkoma przesiadkami i dodatkowo nocą spędzoną w Bangkoku czy Kuala Lumpur albo Singapurze.

Michael zajrzał do atlasu, żeby się przekonać, czy na pewno wie, gdzie leży Pondicherry, po czym zadzwonił do biura Air India. Na dwa tygodnie naprzód wszystkie miejsca były zabukowane, potem mieli dwa wolne bilety na jedenastego grudnia i jeden na trzynastego, i znowu pełno aż do świąt. Biorąc pod uwagę emigrantów i byłych obywateli porozsiewanych po całej kuli ziemskiej, Indie mają niewystarczającą liczbę linii lotniczych łączących je ze światem, a jeśli się weźmie pod uwagę, że wszyscy Hindusi odwiedza-

ją rodzinny kraj w okolicach grudnia, już mniej więcej od Dziękczynienia zaczyna się problem.

Przez dobrą chwilę Michael myszkował po półkach, ale wreszcie udało mu się znaleźć przewodnik linii lotniczych, co prawda od trzech lat nieaktualny. Na stronie British Airways widniało połączenie do Londynu, z którego można się było przesiąść na bezpośredni samolot do Madrasu na wschodnim wybrzeżu. Pondicherry znajdowało się jakieś 150 kilometrów na południe, nad Zatoką Bengalską. Ten etap nie martwił Michaela; jeśli dostanie się do Madrasu, dotrze też do Pondicherry.

Jedyny problem stanowiło samo dotarcie do Indii. Jeżeli chodzi o liczbę kursujących pociągów, żaden kraj nie ma lepszego systemu kolei. A jeśli nawet nie złapie pociągu, jest przecież autobus. A gdyby nie było autobusu, znajdzie się jakiś samochód z kierowcą. W końcu zaś zawsze jeszcze pozostają własne nogi. To nie miało żadnego znaczenia.

Natomiast miał znaczenie fakt, że Gala Braden znajdowała się gdzieś pośród kłębiącej się masy Hindusów. Jeśli nie ma jej w Pondicherry, będzie mu trudno. Jeśli postanowiła się zaszyć, wyśledzenie miejsca jej pobytu będzie prawie niemożliwe. Ale, na Boga, zamierzał spróbować. Zadzwoił do British Airways. Tak, odpowiedział bardzo czarujący, bardzo brytyjski, bardzo kobiecy głos recepcjonistki, ten lot nadal istnieje, ale na najbliższe trzy tygodnie wszystkie miejsca są zarezerwowane. Czy pan Tillman życzy sobie, by go wpisać na listę rezerwową? Owszem. Zadzwoił raz jeszcze do Air India i ich również poprosił o umieszczenie go na liście oczekujących, bez określonej daty. Odpowiada mu dowolny termin, powiedział. Dowolny.

Sprawy do załatwienia. Najpierw matka. Zadzwoił do niej i chwilę porozmawiali. Od dwudziestu lat zawsze z nią spędzał Gwiazdkę, ale teraz - powiedział - musi jechać natychmiast do Indii i nie wie, kiedy wróci.

Miała kłopoty ze słuchem, a jednak coś w jego głosie -jakaś intensywność, nacisk - zwróciły jej uwagę.

- Michaelu, czy to znaczy, że wreszcie znalazłeś kobietę swego życia? Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił z takim przejęciem. Czy dobrze mi się zdaje?

- Mamo, odpowiedź brzmi: być może. To wszystko, co da się teraz powiedzieć. Wyjazd do Indii jest dla mnie bardzo ważny, ale prawdę mówiąc przykro mi, że nie spędzimy razem świąt.

- Dziękuję, synku, za te słowa i że zadzwoniłeś. Cieszę się, że spędziliśmy przez te minione lata tyle czasu ze sobą. Jedź do Indii i znajdź swoją panią, kimkolwiek ona jest. A potem przywieź ją do domu, żebym ją mogła zobaczyć. Jeszcze nie straciłam nadziei na wnuki.

- Mamo, obiecuję, że jak tylko wrócę do Stanów, zjawię się w Custer, chociaż nie wiem dokładnie, kiedy to będzie.

- Leć, Michaelu. Jeśli to jest ta chwila, łap ją. Odłóż słuchawkę i leć do Indii.

Nikt lepiej niż sekretarka wydziałowa nie znał się na niuansach systemu akademickiego i sposobach jego obejścia. Michael zawsze dawał jej butelkę wina na Gwiazdkę i kwiaty na zakończenie roku akademickiego. Zgodziła się wypełnić za niego kartę ocen końcowych i sfalszować jego podpis. Nawet nie zapytała dlaczego. Poprosił, żeby nikomu nic nie wspomniała.

- Nie martw się - odparła - przecież zawsze dobrze się rozumieliśmy. Dokądkolwiek wybierasz się w takim pośpiechu i cokolwiek zamierzasz tam robić, chętnie przyłożę do tego rękę. - Zakończyła przemowę uśmiechem sugerującym, że wie więcej niż by się mogło zdawać. Jimmy Braden wrócił do Cedrowego Zakątka wieczorem w poniedziałek. We wtorek Michael poinformował swoją grupę, że są to ostatnie zajęcia. A ponieważ on nie będzie mógł stawić się w dniu końcowych egzaminów, każdy student dostaje ocenę o pół stopnia wyższą niż wynikałoby to z ocen cząstkowych. Do diabła, od czasu do czasu każdy ma prawo okazać odrobinę słabości. Czapki frunęły pod sufit,



a jakaś dziewczyna z końca sali wykrzyknęła: „Kochamy pana, profesorze Tillman! Wesołych świąt!”.

Studentowi, który mieszkał w tym samym domu co on, Michael dał sto dolarów, żeby zaopiekował się Malachim i Casserole.

Nie zamierzał się obciążać niepotrzebnymi sprawami. Żadnych ograniczeń. Zabukował sobie lot do Nowego Jorku, ale nic poza tym, mógł po drodze do Indii zatrzymać się gdziekolwiek, w Moskwie lub Londynie, Kairze czy Atenach. Gdziekolwiek. Dotarcie do Indii mogło mu zabrać tydzień lub nawet więcej. Jimmy Braden niech sobie siedzi w Cedrowym Zakątku, modli się i pogrąża w czarnych myślach. Zdażył już opowiedzieć swoją historię przynajmniej pięciu kolejnym osobom i wszyscy okazywali mu mnóstwo współczucia.

Za to Michael pojedzie do Indii i odnajdzie Gałę, i to jak najszybciej. Z pewnością nie wyjechała bez powodu, a on był głęboko przekonany, że ten powód ma związek z nim. Może nie, choć był prawie pewien, że jednak tak. W Indiach ludzie potrafią zniknąć. Właśnie dlatego tak wiele osób tam wyjeżdża. Musiał znaleźć Gałę, zanim wtopi się ona w krajobraz tego wielkiego kraju, przyłączy do jakiejś społeczności czy aśramy\*, gdzie nikt jej już nigdy nie odnajdzie.

Wysłużony plecak. Trzy koszule, tylko jedna czysta. Włożył tę czystą, z błękitnej bawełny. Dżinsy, jedna para na siebie, druga do plecaka i jeszcze jedne płócienne spodnie khaki. Kurtka na siebie. Granatowy bawełniany sweter. Buty? Porządne, nadające się do intensywnych marszy, a jako druga para sandały. Gdyby potrzebował czegoś do ubrania, zawsze może to kupić na miejscu; hinduskie khurtas i przypominająca pidżamę bielizna odpowiadały mu. Poza tym dobra mapa subkontynentu indyjskiego, którą kupił podczas ostatniej swojej tam wizyty, z dobrze naniesioną siecią

\* **Pustelnia, rodzaj klasztoru (przyp. red.).**

kolei i dróg. Niewielka latarka, stary bawełniany kapelusz z dużym rondem.

A niech to, nie miał pigułek przeciwko malarii. Zaryzykuje. Nie, gdyby lekarz zadzwonił teraz do apteki, on mógłby odebrać lekarstwo w drodze na lotnisko, chociaż właściwie powinien zacząć je brać dwa tygodnie temu. Zwijał się jak w ukropie, rozrzucając rzeczy po całej sypialni, składając w kostkę koszule, rolując spodnie z zawiniętymi w środek majtkami i skarpetami. Małachi i Casserole przyglądali mu się. Wszystko przycisnął sandałami i wreszcie zaciągnął rzemyki. Plecak się wydał. Michael zważył go w ręce - nie najgorzej. Coś jeszcze. Nieduży kanisterek. W Indiach czasami długo trzeba się naszukać wody zdatnej do picia.

Taksówka podjechała o jedenastej rano we wtorek. Minęło dziewięć godzin od czasu, gdy Jimmy siedział przy stole w kuchni Michaela, wylewając przed nim swoje żale. Właściwie to było dość dziwaczne. Jimmy Braden szwendał się wkoło Bingley Hall i opowiadał szeroko każdemu, jak potraktowała go Gala, uciekając od niego w ten sposób. A Michael ruszał na jej poszukiwanie bez wiedzy Jimmy'ego. Przystanek przy aptece i jeszcze jeden przy banku. Trzy tysiące w czekach, każdy po sto dolarów. Pięćset gotówką.

Na miejscowym lotnisku, czekając na samolot z Chicago, Michael przypomniał sobie pewien drobiazg, o którym zapomniał rozmawiając z sekretarką wydziałową. Kiedy zadzwonił, żeby to załatwić, poinformowała go:

-Właśnie przyszedł do ciebie telegram, goniec przyniósł.

Przez chwilę się zastanawiał. Istniała pewna szansa, że to od Gali, tak podpowiadała mu intuicja.

- Betty, przeczytaj mi, ale zaprzysięgam cię, byś milczała na temat treści. Umowa stoi?

- Gdybym powtarzała wszystko, co słyszę, Bingley Hall zapadłby się ze wstydu. Poza tym chyba wiem, co się dzieje. Obserwowałam cię przez ostatnie kilka miesięcy, a z twojej twarzy daje się wyczytać więcej niż z książki. Widziałam

cię, jak jechałeś motocyklem nad jezioro Haron, i wiem, kto siedział za tobą. Ale nigdy nikomu nic nie powiedziałam i nie powiem. A teraz dodałam to do jęków, które dochodzą z biura Jimmy'ego Bradena (choć prawdę mówiąc słyshać je w całym budynku), i naprawdę nie trzeba matematycznego geniusza, by w tym rachunku otrzymać wynik.

- Betty, Betty, Betty... skończy się na tym, że staniesz się jedną z największych miłości mego życia. Przeczytaj telegram.

- Dobra, otwieram kopertę. Tu jest napisane godzina trzynasta.

Zobaczmy...

- Chodzi o pierwszą po południu, Betty. Jaka data?

- Dzisiejsza. A jaka mogłaby być?

- Różnica czasu. Została wysłana o pierwszej trzydzieści w nocy naszego czasu. Co tam jest napisane?

- Czytam: „M., proszę, postaraj się zrozumieć. Tyle jest we mnie uczucia, że potrzebuję miejsca i czasu, żeby sobie z nim poradzić. Obiecuję, że niedługo się odezwę. G”.

Do diabła z miejscem i czasem, pomyślał Michael. Niekiedy się pozwala, by kierowały nami okoliczności, tak właśnie jak to robi Jimmy, ale bywają chwile, że trzeba wziąć sprawy we własne ręce. Miał wrażenie, że Gala jest zagubiona, i zamierzał jej pomóc odnaleźć drogę. Jeśli jadąc za nią do Indii wpędzi ją w rodzinne kłopoty, do licha z tym, niech będzie, jak ma być. Ale nie miał zamiaru siedzieć na czterech literach w Cedrowym Zakątku i czekać na lepszy czas.

- Betty, skąd przyszła depesza? Z jakiego miasta?

- Z Madrasu. Czy dobrze to wymawiam?

- Nie, ale nie szkodzi, wszyscy w Stanach wymawiają to źle. Betty, przepuść depeszę przez twoje urządzenie do niszczenia papierów, proszę.

- Dobrze. Nie martw się. I wiesz co, Michaelu? -Tak.

- Kiedy wrócisz z Indii, będę tu, by cię powitać. Jedź i znajdź ją.

- Dzięki, Betty. Co byś wolała: naszyjnik czy bransoletę?

- Wiesz, że nie musisz tego robić, ale gdybyś się upierał, to marzę o egzotycznej bransolecie.

- Masz ją. Do zobaczenia i jeszcze raz dzięki. Wzywają już pasażerów na mój lot.

- Do zobaczenia, Michaelu. Powodzenia.

Na lotnisku O'Hare wstąpił najpierw do Air India, a potem do British Airways, żeby sprawdzić, czy nie zwolniło się jakieś miejsce. Nic.

- Może pójde do bramki, jest zawsze szansa, że ktoś nie przyjdzie - zwrócił się do kobiety z linii brytyjskich.

- Może pan spróbować. - Spojrzała na jego bilet. - Ale lot do Nowego Jorku, na który ma pan rezerwację, startuje wcześniej niż nasz do Londynu. Jeśli zaczeka pan z nami, NY przepadnie.

- Zaryzykuję. Mam jakieś dziwne przeczucie, że mi się poszczęści. Wzruszyła ramionami i wystukała jego nazwisko w rubryce „lista rezerwowa”.

- Jesteśmy w tym nowym terminalu, na końcu korytarza Powodzenia.

Kupił papierosy i kawę, a następnie poszedł do wskazanego terminalu.

Była jeszcze godzina i piętnaście minut do odlotu. Pasażerowie ustawili się w długiej kolejce przy ścianie budynku. Bagaż... nigdy nie potrafił zrozumieć, po co ludzie biorą ze sobą tyle rzeczy. Wielkie torby powiązane sznurami. Prezenty gwiazdkowe, łóżka na kółkach, a do tego poprzębiane, zmęczone dzieci ciągnięte za ręce przez rodziców.

Kolejka posuwała się bardzo powoli. Dwadzieścia pięć minut do odlotu.

Potem dwadzieścia. Zostały do odprawienia tylko dwie osoby.

- Michael Tillman. Pan Michael Tillman proszony jest do stanowiska British Airways.

Znalazł się tam w cztery sekundy.

- Panie Tillman, mamy miejsce w samolocie do Londy-

nu, który startuje za piętnaście minut. Nie możemy jednak obiecać, że uda się załatwić miejsce w samolocie do Madrasu. Czy mimo to chce pan z nami lecieć?

- Tak. Płacę za bilet kartą Amex.

Sześć godzin później patrzył w dół na Irlandię oświetloną pierwszym brzaskiem i myślał o Gali opartej o kamienny murek, gdzieś tutaj właśnie, w chwili gdy ktoś jej robił zdjęcie polaroidem, zdjęcie, które w końcu zawisło na ścianie kuchni w Iowa. Tyle tylko, że teraz znajdowało się w kieszeni jego kurtki. Jeśli zamierzasz zostać poszukiwaczem zaginionych osób, zdjęcie może okazać się przydatne. To mu przyszło do głowy w momencie, kiedy już właściwie opuszczał mieszkanie.

Na Heathrow jak zwykle panował chaos. Michael przesłał bagaż tranzytem, a sam przeszedł do głównego terminalu, gdzie mógł się spotkać oko w oko z urzędnikami, w których gestii pozostawały bilety. Nie ma żadnego problemu, powiedziała mu londyńska pracownica British Airways. Ludzie często rezerwują kilka połączeń, używając różnych nazwisk, i właśnie ostatniej nocy parę miejsc się zwolniło.

- Czy chce pan zabukować lot powrotny z Indii, panie Tillman?

Poprosił, żeby zrobiła mu rezerwację na dwunastego stycznia, kilka dni przed rozpoczęciem wiosennego semestru. Władze indyjskie domagały się przy występowaniu o wizę ustalenia daty powrotu. Była to pozostałość po dawnych dniach, kiedy to hipisi w poszukiwaniu prawdy i oświecenia kończyli na uzależnieniu od narkotyków i stawali się prawdziwym problemem socjalnym dla rządu indyjskiego.

Michael wyciągnął kartę Amex, dostał bilet i ruszył na poszukiwanie zejścia do metra. Trzy godziny później był już z powrotem na Heathrow z wizą indyjską i siedział w poczekalni tranzytowej. Do odlotu pozostało mu jeszcze pięć godzin.

Na wielkich lotniskach czas zawsze płynął Michaelowi bardzo szybko. Patrzył na kręcących się ludzi, trochę czytał,

nawet się zdrzemnął. Poszedł do łazienki i przemył sobie twarz, potem kupił londyńskiego „Timesa” i usadowił się opierając nogi na plecaku. Ale nie potrafił się skupić na wiadomościach i wreszcie wyciągnął z kieszeni zdjęcie Gali Siedział i patrzył na nią, podczas gdy tablica odlotów wyświetlała nazwy kolejnych odległych miast. A gdzieś tam w oddali znajdowała się Gala Braden. Była gdzieś tam tam daleko... daleko.

## *Rozdział dziewiąty*

Wbrew temu, co kiedyś powiedział o sobie Gali, Michael Tillman nie był człowiekiem zgorzkniałym. Może nieco cynicznym, prawdopodobnie nawet bardziej niż miał do tego prawo, ale z pewnością nie było w nim złości. Nigdy taki nie był. To korzyść, jaką wyniósł ze swego dzieciństwa. Jeśli dorastasz nie oczekując zbyt wiele, to gdy zdarzają ci się dobre rzeczy, jesteś zadziwiony, że właśnie ciebie to spotkało. Jako taką nieoczekiwaną radość Michael traktował dalekie podróże. Gdy w głośnikach odezwał się głos pilota informującego, że przelatują właśnie nad Bagdadem, zerknął przez okno i cztery tysiące stóp w dół na pustyni zobaczył brązowe miasto.

To samo zdarzyło mu się podczas pierwszej podróży do Indii; pomyślał wtedy: Bagdad, nigdy nie sądziłem, że będę leciał nad Bagdadem. I sięgnął teraz, niby mulnik odchylający się, by pogonić zwierzę batem, po wspomnienia. Zobaczył, jak pracuje nad Cieniem na stacji ojca trzydzieści lat temu. Dłubiąc w maszynie, co jakiś czas podnosił wzrok i spoglądał na drogę; wiedział, że Vincent Black Shadow zabierze go tą drogą, jeśli on tylko zdoła się nauczyć wszystkiego, czego można się nauczyć na temat zaworów, kół i szos biegnących na wschód.

Kiedy do lądowania w Madrasie zostały już tylko dwie godziny, Michael wyjął z plecaka przybory do golenia i poszedł do maleńkiej łazienki. Taka podróż kładzie się warstewką osadu na ciele i duszy, dlatego nabrał zwyczaju, by

się myć i golić przed lądowaniem. W jakiś sposób to również nieco oczyszczało jego umysł.

W kabinie było jeszcze ciemno, większość ludzi spała lub próbowała spać, paliło się tylko kilka lampek. Stewardesy rozmawiały ze sobą po cichu w maleńkiej kuchence w środkowej części samolotu. Zajrzał tam i poprosił o herbatę. Wrócił na swoje miejsce z parującą filiżanką w ręku. Czuł się już całkiem nieźle, tylko w żołądku czuł jakby ciężką kulę, jak zawsze kiedy zbliżał się do kresu dalekiej podróży, a już szczególnie gdy zbliżał się do Indii.

Odsunął zasłonkę z okna i wyjrzał. Indie wyglądały jak kobieta leżąca na słońcu. W świetle dnia widać było brązowe pagórki i zielone spłachetki dżungli. W kabinie zapaliły się światła, ogłoszono, że za chwilę zostanie podane śniadanie. Michael nie miał specjalnie ochoty na jedzenie, ale wziął grzanekę i owoc, wiedząc, że może minąć trochę czasu, nim znowu będzie miał okazję coś zjeść.

Samolot schodził do lądowania, zbliżając się do porozrzucanych chaotycznie zabudowań Madrasu, portowego miasta nad Zatoką Bengalską. Jego ludność szacowano na cztery miliony. Wszelkie spisy w Indiach robi się dość niedbale, a w miastach bez przerwy występuje duża płynność populacji, przy czym więcej ludzi przyjeżdża niż wyjeżdża. Indie są w ciągłym ruchu, tak to zawsze odbierał Michael. Gdziekolwiek się spojrzęło, byli ludzie: chodzili, jeździli na rowerach, zwisali z drzwi autobusów albo wyglądali z okien pociągów. Ruch... ruch... to kwintesencja Indii.

Wychodząc z samolotu, minął uzbrojonych mężczyzn. Pasażerowie z zagranicznymi paszportami musieli się ustawić w długiej kolejce. Michael stanął zrezygnowany. W Indiach niczego się nie da przyspieszyć. Indie mają swój własny styl, swoje własne tempo i nerwowi przedstawiciele zachodniej cywilizacji, którzy wymagają, by wszystko zostało wykonane szybko i sprawnie, nie najlepiej się w tym czują. Było gorąco i wilgotno, Michael cieszył się, że wziął tak niewiele rzeczy.



Wreszcie dotarł do urzędnika. Brązowa twarz nad zielonym mundurem. Jej właściciel przyjrzał się paszportowi, sprawdził trzymiesięczną wizę i przystawił stempel.

Cło nie było ważne, bo nie przywiózł ze sobą nic poza gotówką i czekami podróżnymi. Ponieważ jednak przekraczały one wartość tysiąca dolarów amerykańskich, musiał wypełnić formularz. Hindusi uwielbiali formularze, chociaż Michael był bardzo sceptyczny co do dalszych losów tych wszystkich starannie wypełnianych papierów. Nie mógł uwierzyć, że urzędnicy, których tak bardzo interesowała ilość wwożonych przez niego pieniędzy, zwrócą uwagę na jeden z milionów dokumentów.

„Hmm, widzę tu, że niejaki Michael Ullman z Cedrowego Zakątka w USA przywiózł ze sobą drugiego grudnia trzy i pół tysiąca dolarów. Musimy go pilnować w naszym kraju, który zamieszkuje prawie miliard ludzi, a jakoś połączeń telefonicznych pozostawia nieco do życzenia". Poza oazą, jaką stanowiło wielkie lotnisko, nie obowiązywały żadne zasady. Naganiacze, i to setkami, wpychali mu wszystko, o czym potrafiłby pomyśleć. Może uda się wyciągnąć kilka rupii od tego wysokiego białego mężczyzny z plecakiem. Tyle tylko, że on wygląda na prawdziwego trampa, żadnego bagażu, wyraźnie zaprawiony w podróżach. Lepiej pomolestować kogoś mniej doświadczonego. Wokół przewijały się tysiące ludzi, niektórzy po prostu chcieli popatrzeć na życie wielkiego lotniska. Policjanci starali się utrzymać większość poza budynkiem, gapie przyciskali więc twarze do zakurzonych szklanych ścian, czekając na wychodzących pasażerów.

W holu umieszczono stoisko biura podróży, co było czymś nowym. Najwyraźniej Indie starały się jak mogły przyciągnąć do siebie coraz więcej *gringos*, którzy mogliby zostawić trochę twardej waluty. Podczas poprzedniego pobytu Michael doszedł do wniosku, że nikogo w najmniejszym stopniu nie obchodzi, dokąd się podróżny wybiera, czy może umarł w kolejce do odprawy celnej, czy po prostu wrócił do domu.

Mężczyzna za kontuarem całkiem nieźle dawał sobie radę z angielskim. Michael powiedział, że wybiera się do Pon-dicherry. Urzędnik odparł, że czeka go trzy i półgodzinna droga samochodem i że z radością załatwi Michaelowi wynajęcie zarówno samochodu, jak i szofera. Wymienił cenę trzydziestu dolarów. Jak na Indie wydawała się ona wygórowana, czego Michael nie omieszkał powiedzieć.

- O, ale dla kierowcy to jest przecież sześć godzin, ponieważ musi dojechać do Pondicherry, a potem wracać pustym kursem. Więc trzeba zapłacić za podróż w dwie strony.

Michael dobrze wiedział, że szofer pokreśli się trochę po Pondicherry i znajdzie klienta do Madrasu. A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy czekają na zewnątrz przy taksówkach?

- O tak, panie, oni powiedzą, że zawiozą pana za niższą cenę. Ale na nich nie można polegać, wezmą pieniądze i zostawią pana gdzieś po drodze. - Michael wiedział, że nie jest to wymysł.

A co z autobusami? I pociągami? Urzędnik zaczął coś gwałtownie tłumaczyć, jadąc palcem w górę i w dół po wymiętym, skomplikowanym rozkładzie jazdy. Michael powiedział sobie w duchu: „Daj spokój, Tillman, co ty, na litość boską, wyrabiasz? Zjawiłeś się w panice poszukując Gali, a teraz tracisz czas, żeby zaoszczędzić kilka dolców”. Przez chwilę fałszywa męska duma usiłowała stawiać ostre warunki, póki nie przemówił do niej rozsądek. Jak zwykle.

Urzędnik zorganizował samochód i kierowcę, polecając Amerykaninowi, by zaczekał przy stanowisku. Michael zapytał go, czy ma przewodnik po Pondicherry, mapy i tego typu materiały. Urzędnik wyciągnął mocno już zużytą niewielką broszurkę, twierdząc, że to jego jedyny egzemplarz - w co Michael bez trudu uwierzył - i zaczął go wertować. Informacja o Pondicherry głosiła, że mieści się tam słynna aśrama ufundowana przez mistyka-filozofa-poetę-patriotę Sri Auro-binę, dalej wymieniano hotele i restauracje i opiewano piękno tamy.

Czy w broszurce znajduje się mapa? Tak, proszę pana, jest bardzo ładna mapa. Michael położył na blacie pięciodolarowy banknot, większą jego część zakrywając dłonią i powiedział, że bardzo chciałby mieć przewodnik po Pondicherry. Stał się jego posiadaczem w jednej sekundzie i w tej samej chwili podszedł do niego z uśmiechem kierowca w białym, acz poplamionym uniformie.

Kiedy wyszli na zewnątrz, słońce uderzyło jak pięścią między oczy. Właściciele taksówek zachęcająco otwierali drzwi swoich wozów, prześcigając się w zapewnieniach, że zawiozą Michaela, dokąd tylko sobie zażyczy, za połowę ceny, jakiej żądał ten goguś w brudnym garniturku. Michael podziękował, mówiąc, że już wcześniej zarezerwował samochód. Wtedy przestali się uśmiechać i już nie byli jego przyjaciółmi.

Zaraz po opuszczeniu lotniska kierowca zaczął pocierać kciukiem o palec wskazujący, używając znanego na całym świecie gestu, po czym postukał palcem we wskaźnik paliwa, powtarzając: „benzyna”. Potrzebował zaliczki na paliwo. Hinduscy taksówkarze zawsze jeżdżą na pustym baku. Podczas ostatniej podróży Michaela dwóm kierowcom zabrakło benzyny w czasie jazdy.

Zatrzymali się przy najbliższej stacji. Kiedy napełniano bak, zniecierpliwiony Michael stał przytupując nogą. Zauważył stragan z owocami i kupił trzy banany i trzy pomarańcze, które wetknął do bocznych kieszeni plecaka. Potem wrócił do samochodu i czekał na kierowcę. Jakiś obszarpany mężczyzna zajrzał przez okno pokazując rękę, która kończyła się ponad łokciem. Michael dał mu pięć rupii. Człowiek zdrową ręką wykonał coś na kształt salutu i odszedł.

Wreszcie ruszyli wśród hałasu, dymu i kurzu - takie właśnie są i będą Indie. Nos Michaela wciąż jeszcze przyzwyczajał się do silnych zapachów - dymów fabrycznych, ognisk, nad którymi przygotowywano jedzenie, spalin, ludzkich i zwierzęcych ekskrementów; wszystko to zmieszane tworzyło silny zapach charakteryzujący Indie. Nigdy tak naprawdę

nie zapomniał tego zapachu. Kiedy poszedł w Cedrowym Zakątku na odczyt o Indiach, jego pamięć od razu wyszperała tę woń w miejscu, gdzie mieszczą się wspomnienia zapachów. Żaden inny kraj nie odcisnął w jego umyśle takiego piętna zapachu jak właśnie Indie.

Kobiety. Zdażył zapomnieć, jak piękne są Hinduski, nawet te najbiedniejsze. Nietrudno było się co chwila zakochiwać w Indiach. Znakomity magazyn genów, zarówno kobiecych, jak i męskich, może nawet najlepszy na świecie, jeśli chodzi o stronę fizyczną. Pomarańczowe sari i zielone sari, czerwone i błękitne, złoto, bransolety na ramionach i grzebienie we włosach. Kobiety miały tę niesłychaną grację, która sprawiała, że wydawały się płynąć ponad ziemią. Niektóre nosiły srebrne lub złote łańcuszki łączące nos z uchem.

Przyglądał się im, kiedy kierowca bez przerwy trąbiąc na kozy, było i ludzi, przedzierał się przez tłum, popędzany przez policjantów górujących na wysepkach pośrodku co większych skrzyżowań. Wreszcie wyjechali za miasto, na dwupasmową drogę o mocno zniszczonej nawierzchni. Ciężarówki wiozące robotników, ich zawoje unoszące się w podmuchach wiatru. Autobusy pochylające się w zakrętach, wozy ciągnięte przez woły, stara kobieta pedałużająca na krześle z kółkami na wydzielonym paśmie drogi, ludzie idący pieszo i stada kóz.

Kierowca włączył radio, zabrzmiał flet na tle skomplikowanego rytmu wystukiwanego na bębnach, potem nacisnął klakson, przekazując dłonią w tajemniczy sposób innym kierowcom informację, co zamierza zrobić.

Indie: ruch... ruch... muzyka i kurz, droga przed nimi wyglądająca jak nieporządna karawana złożona ze wszystkich wędrowców i pojazdów, przemieszczających się po tym kraju przez ostatnie pięćset lat.

Michael położył na przednim siedzeniu banan. Kierowca wziął go i błyskając w uśmiechu idealnie białymi zębami, nacisnął klakson. Przez otwarte okna samochodu wlewał się

zar. Wjechali do miasta i Michael rozwinął swoją mapę Indii. Byli najprawdopodobniej w Chengalpattu. Skręcając nieco na południowy zachód do Madurantakam, a potem na południowy wschód w stronę Tindivanam, gdzie cienka błękitna linia prowadzi do Pondicherry nad Zatoką Bengalską.

Michael trzymał kupiony za pięć dolarów przewodnik, przyglądał się chaotycznej plątaniu ulic, czytał historię miasta. Było to terytorium wspólnoty, miasto-stan, mniej więcej tak jak Waszyngton, D.C. Stan Tamienad po stronie zachodniej, zatoka od wschodu. Pierwsze budynki wzniesione przez francuskich kupców w siedemnastym wieku; do Indii obszar ten powrócił w 1954 r. Galu, czy idziesz teraz ulicami Pondicherry? Szansa, że jechała z tym samym kierowcą, była minimalna, ale Michael wyciągnął zdjęcie i pokazał je.

Kierowca rzucił okiem, odwrócił głowę i spróbował przekrzyczeć wiatr i muzykę fletu.

- Ładna pani. Czy to z nią chce się pan spotkać w Pondy? Michael starał się używać jak najprostszego angielskiego.

- Pani jechać ten samochód? - Wskazał na Galę, a potem na wnętrze auta. I powtórzył: - Ładna pani jechać ten samochód?

Kierowca nie mógł przez chwilę zrozumieć, ale wreszcie potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie widzieć ta pani.

Michael skinął głową i schował zdjęcie z powrotem do kieszeni kurtki. Przewodnik informował, że populacja Pondicherry wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy, lecz Michael wiedział, że to tylko przybliżenie i prawdziwa liczba jest dużo wyższa.

Od czego zacząć? Jak wszystkie miasta Indii to również było labiryntem małych uliczek i budynków połączonych różnymi przejściami i alejkami. Nawet jeśli Gala była w Pondy, znalezienie jej mogło się okazać bardzo skoinpli kowane. Aśrama przyciągała ludzi z całego świata, przyjez-

dżali tutaj studiować nauki Sri Aurobindy i jego francuskiej małżonki, zwanej po prostu Matką. Oboje zresztą już nie żyli. Ale, zgodnie ze słowami przewodnika, aśrama nadal rozkwitała. Wioskę wizjonerów nazywano Auroville lub Miastem Wschodu Słońca i urządzono zgodnie z naukami Aurobindy i Matki. Istniała od dziesięciu lat tuż pod Pondicherry. W przewodniku cytowano Matkę: „Auroville będzie miejscem badań nad ciałem i duchem dla żywego ucieleśnienia prawdziwej Jedności Ludzkiej”.

Jakby słyszał Galę. Antropologowie - przynajmniej niektórzy - mają silną inklinację do spraw duchowych, czasami łączą je ze swoją pracą. Jeśli Gala uciekła, by szukać duchowego wsparcia, aśrama i Auroville mogło być na początek dobrym miejscem.

Zastanawiał się, gdzie by tu się zatrzymać, przeglądał reklamy w przewodniku, podczas gdy kierowca wymijał co rusz inny pojazd, naciskając bez przerwy klakson i pokazując coś na migi.

*Pensjonat Ajentka - oaza luksusu*

*Hotel Aristo - styl, przeżycie prawdziwie arystokratyczne Hotel Ram*

*International - całkiem nowy świat*

Hindusi znani są ze skłonności do przesady, nie wspominając już o skomplikowanych hiperbolach językowych, więc Michael dość sceptycznie traktował te opisy. Nie był zresztą bardzo wymagający.

Wiele nocy spędził w małych indyjskich hotelikach, gdzie rolę toalety spełniała dziura w ziemi, a prysznic, jeśli w ogóle był, to tylko z zimną wodą. Po kilku nocach po prostu zapominało się, że można brać inny prysznic niż zimny i że może być inna toaleta niż ta dziura w ziemi, i tyle.

Gorący prysznic z pewnością usprawiedliwiłby w Indiach określenie: prawdziwie arystokratyczne przeżycie.

Powrócił myślą do Gali, zastanawiał się, co o niej wie, próbował myśleć tak jak ona. Gdzie by się zatrzymała? Park

Guest Hotel należał do aśramy i charakteryzował się spartańskim podejściem do palenia, picia i innych słabości ludzkich. Z depeszy wynikało, że Gala przyjechała tu, by zastanowić się nad swoim życiem, a więc pensjonat w ogrodzie, z restauracją wegetariańską mógł do niej przemówić.

Z początku Michael myślał, że odnalezienie Gali, jeśli rzeczywiście była w Pondicherry, nie będzie takie trudne. Biała skóra zwracała uwagę w Indiach. Ale miasto okazało się dużo większe niż oczekiwał, a przewodnik informował, że przyjeżdżają tu całe rzesze ludzi z Zachodu, by oczyścić duszę dzięki naukom Sri Aurobindy i Matki. A poza tym, i to Michael wiedział od początku, w Indiach - jeśli ktoś tego naprawdę pragnie - bardzo łatwo się zgubić. Ten kraj potrafił pokazać milczące, nieprzeniknione oblicze, jeśli tylko takie było życzenie, zamykając przed niechcianym gościem wszystkie drogi. Gala знаła Indie, najwyraźniej miała tu przyjaciół, i gdyby taka była jej wola, wiedziałyby, jak się ukryć. A jeśli ktoś się spieszy, Indie potrafią doprowadzić do szału. Kierowca uznał, że czas na lunch. Zatrzymał się w Madurantakam, wysiadł i podszedł do stojącego na dworze kramu z jedzeniem. Michael nie był głodny, ale wypił filiżankę herbaty i zjadł jeden ze snikersów, kupionych jeszcze na Heathrow. Ludzie zebrali się w grupkę w pewnym oddaleniu świadczącym o szacunku i gapili się; zwykła ciekawość, nic więcej. Słońce stało wysoko na niebie i paliło niemiłosiernie. Michael wcisnął mocniej kapelusz na głowę, jednocześnie odpędzając dzieci, które okazywały mniejszą rezerwę niż dorośli i wyraźnie dawały mu do zrozumienia, że chciałyby od niego coś dostać. Kupił kilka pomarańczy i rozdał dzieciakom, chociaż one wołałyby coś bardziej niezwykłego, jak na przykład tanie amerykańskie długopisy. Koszulę miał już mokrą od potu, spływającego po piersi i plecach. Wytrzeł twarz i kark pomarańczową chustką, kierowca wsiadał właśnie do samochodu kiwając na niego; pora ruszać.

Czterdzieści pięć minut później skręcili w Tindivanam i skierowali się na południowy wschód ku Pondicherry. Szosa miała teraz znacznie gorszą nawierzchnię niż poprzednio. Tu było już jak w tropikach, palmy tworzyły tunel ponad szosą. Ludzie rozkładali wzdłuż drogi zżęte zboże, susząc ziarno; koła pojazdów działały jako prymitywna młockarnia. Peryferie Pondicherry. Zgodnie z mapą dołączoną do przewodnika powinni byli wjechać ulicą Jawaharlala Nehru, najwyraźniej jednym z głównych traktów. Michael uznał, że nie zatrzyma się w pensjonacie aśramy przede wszystkim dlatego, że nie był pewny, jak zareagowałaby Gala na jego nagłe przybycie. Gdyby go ujrzała wcześniej niż on ją, mogłaby umknąć, ukrywając te swoje niepojęte sekrety, a skoro by już wiedziała, że on jej szuka, odnalezienie jej mogłoby się okazać o niebo trudniejsze.

Europejski Grand Hotel przy Rue Suffren 12 mieścił się w pobliżu wszystkich miejsc spotkań aśramy i również niedaleko pensjonatu. Prowadził go stary Francuz, monsieur Maigrit, jak podawano w przewodniku. Michael pomyślał, że kuchnia może być w takim miejscu kontynentalna, co mu nawet odpowiadało.

Poleciał kierowcy, by się zatrzymał, i rozłożył mapę. Hindus najwyraźniej miał kłopoty z jej odczytaniem, zaczął coś gwałtownie tłumaczyć, wskazując przed siebie. Michael pozwolił mu jechać i zatrzymali się dopiero na ruchliwej ulicy, gdy dwa tysiące rowerów stanęło w oczekiwaniu na zielone światło. Kierowca wysiadł z mapą, podszedł do drzwi herbaciarni i rozpoczął dyskusję z kilkoma stojącymi tam mężczyznami. Machali gwałtownie rękami, kręcili głowami, gestykulowali. Trwało to dobrą minutę czy dwie, po czym kierowca wrócił. Powiedział coś, czego Michael nie zrozumiał, po czym zrobił ręką zygzakowaty gest, co Michael zrozumiał jako kierunek czekającej ich drogi przez miasto. Wydawało się to zgodne z mapą. Przejechali przez główną ulicę Pondy i wreszcie zabrnęli w ślepią St Louis. Kierowca wycofał się, znowu wdał się w dyskusję, w której wzięły



udział ręce, głowy i dłonie, i po chwili wrócił do samochodu. Skręt w prawo, potem wzdłuż dużego parku, gdzie na ławkach siedzieli zarówno Hindusi, jak i weterani Legii Cudzoziemskiej, w każdym razie sądząc po nakryciach głowy. Kilka przecznic dalej znowu w prawo, a potem w lewo. Kierowca wskazał na nazwę ulicy: Rue Suffren. Po chwili dojechali do numeru 12.

Michael zastukał w wysoką drewnianą bramę. Pojawił się stary Hindus w brązowych szortach i białym turbanie.

- Pokój? - zapytał Michael.

Odźwierny spojrział na samochód i kierowcę, następnie przeniósł wzrok na wysokiego Amerykanina w pogniecionym ubraniu i z plecakiem stanowiącym cały bagaż. Raczej niechętnie otworzył bramę i gestem zaprosił Michaela na dziedziniec. Budynek był wiekowy, porośnięty winoroślą i bugenwillą. W drzwiach pokazał się Maigrit, a przynajmniej Michael uznał, że to pewnie on. Amerykanin ukłonił się lekko.

- Czy znajdzie się pokój dla zmęczonego wędrowca? Maigrit popatrzył na niego w milczeniu. Gość pojawił się

bez wcześniejszej rezerwacji, co najprawdopodobniej było traktowane jako poważne naruszenie obyczaju. Michael kiepsko mówił po francusku, właściwie zapomniał już wszystko, czego się uczył na studiach doktoranckich. Ale uśmiechnął się w stylu amerykańskim, co zawsze pomagało mu podczas wędrówek po świecie, i spróbował:

- *Je voudrais une chambre.*

Maigrit odpowiedział uśmiechem, aprobując próbę mimo jej nieporadności. Tak, Michael mógł dostać pokój za 150 rupii, mniej więcej 9 dolarów za noc. Zapewne gdyby miał rezerwację i trochę się potargował, zdołałby zmniejszyć cenę o jakąś jedną trzecią, może nawet o połowę, ale był zmęczony i to miejsce mu odpowiadało.

Maigrit poinformował go, że trwa akurat popołudniowa przerwa w dostawie wody, więc kąpiel nie jest możliwa, ale boy, na oko siedemdziesięcioletni, przyniesie wiaderko **ze**

studni, jeśli monsieur Tillman ma ochotę się umyć. Michael powiedział, że byłby bardzo wdzięczny. Czy hotel zapewniał pranie? Koszule będą uprane, wyprasowane i zwrócone w cztery godziny, za podwójną cenę. Opłata normalna wynosi sześć centów od koszuli.

Boy przyniósł wodę, zabrał koszule, Michael umył twarz, a potem położył się na łóżku i rozmyślał. Zostawił dom o czterdzieści sześć godzin za sobą, choć jego zegar wewnętrzny mówił mu, że więcej, może całe lata. Tydzień wcześniej siedział w swoim mieszkaniu, czekając na powrót Gali z Syracuse. Dziesięć dni temu leżała naga na jego kuchennym stole, a on wcierał jej w piersi czerwone wino.

Galu, czy jesteś gdzieś niedaleko? Czy przeżywasz coś, o czym nigdy nie chciałaś mi powiedzieć?

## *Rozdział dziesiąty*

Tuż przed szóstą obudziło Michaela pukanie. Spał prawie cztery godziny, ale nadal czuł się zgrzany, obolały i zmęczony drogą. Otworzył drzwi, odebrał od starego człowieka koszulę i dał mu napiwek. Tamten pokłonił się i odszedł, po drodze oglądając się na gościa.

Michael sprawdził krany. Ze zdziwieniem stwierdził, że z lewego płynie ciepła woda. Napełnił małą umywalkę, ogolił się i umył, a następnie z zadowoleniem wciągnął na czyste ciało świeże lewisy i koszulę.

Właściciel hotelu siedział już na werandzie, czytając francuską gazetę.

Michael potrzebował teraz przede wszystkim wygodnego środka transportu, najlepiej motocykla. Kiedy przejeżdżali przez miasto, widział sporo motorynek. Tak, powiedział mu gospodarz, nieduży motocykl można wynająć w warsztacie na ulicy Mahatmy Gandhiego. Maigrit wezwał odźwiernego, by sprowadził dla Michaela riksę, a potem zwrócił się w narzeczu tamilskim do riksarza, podając mu adres. Później dodał jeszcze, że jazda będzie kosztować ćwierć dolara, a dziesięciocentowy napiwek jest w sam raz.

Michael przyglądał się silnym mięśniom nóg mężczyzny pedałuującego z nim ulicami Pondicherry. Wielu przybyszów z Zachodu traktowało to prawie na równi z niewolnictwem. On tak na to nie patrzył. Gdyby ktoś zapytał riksarza o zdanie, ten nie zrozumiałby pytania. W ten sposób zarabiał na życie i był całkiem szczęśliwy, mogąc za godziwą

opłatą dowieźć klienta we wskazane miejsce. W ten sposób uczestniczył w gospodarce kraju. Michael powiedział kiedyś koledze, który potępiał takie kolonialne zachowanie: „Zapłać rikszarzowi tyle, ile byś dał taksówkarzowi w Nowym Jorku, może wtedy poczujesz, że twoja postawa jest słuszna politycznie”. Taksówka czy riksha, jedno i drugie potrzebuje użycia siły fizycznej, tyle że w różnym stopniu.

Indie z wielu względów są krajem wieczorów. Pod koniec dnia temperatura spada i osiada kurz, a ludzie wylęgają na ulice. Sklepy otwarte są do późna. Wtedy właśnie nadchodzi czas na długie, leniwe posiłki i śmiech w kawiarniach, życie towarzyskie zaczyna się na dobre o północy.

Rikszarz skręcił w lewo w ulicę Sastry i popedałował prosto w stronę ulicy MG. Siedzący w rikszy Michael miał wrażenie, że bardzo rzuca się 'w oczy, i wciąż się obawiał, że Gala go zobaczy.

Chryste, jakie to dziwne. Szukam kobiety, która drżała z rozkoszy pod moim dotykiem i powtarzała raz po raz, jak bardzo mnie kocha. A jednak się boję, że mnie dostrzeże. To dziwny świat, Michaelu Tillmanie. Tak właśnie sobie mówił, kiedy rikszarz wiozł go przez zmierzch południowych Indii.

Wynajem motocykli mieścił się w małym garażu tuż przy kafejce Pod Kotem Twardzielem; brudno tam było od smaru i wszędzie walały się części motocyklowe. Michael poczuł się jak w domu. Dwie maszyny stały oparte o bramę, jeszcze jedna dalej w głębi. Michael postanowił wziąć jedną z tych dwóch przy wejściu. Przyjrzał im się uważnie. Były równie zniszczone, jak drogi, po których jeździły, i porządnie poobtłukiwane. Wyglądało, że stare kawasaki da się uruchomić, i rzeczywiście po paru kopnięciach zapaliło. Właściciel garażu stał z rękami na biodrach i spoglądał ponuro na Michaela. Ten wskazał na pudło z narzędziami.

Dziesięć minut później łańcuch był naciągnięty i gaźnik uregulowany. Właściciel uśmiechał się. Kompetencja zawsze budzi respekt. Michael wpłacił pięćdziesiąt dolarów

kaucji i przestroił umysł na ruch lewostronny, po czym wyprowadził kawasaki w wieczorny ruch. Jeździł bez celu, aż się przyzwyczaił do innego kierunku, choć i tak cały czas miał wrażenie, że coś jest nie tak. Do hotelu wrócił tą samą drogą, którą jechał do garażu, po drodze kupił dwa kontenerki przegotowanej wody. Zaparkował motocykl na dziedzińcu. Tego wieczora zamierzał poruszać się pieszo. Gdyby obszar jego poszukiwań miał się poszerzyć albo gdyby wskazany był pośpiech, wtedy motor już będzie na niego czekał.

Maigrit powitał go, obsypując pochwałami zdobytą maszynę. Michael wyjął zdjęcie Gali mówiąc, że jej szuka.

Hotelarz spojrział na fotkę, potem na Michaela i zapytał:

- *Amour?*

Gość przytaknął z uśmiechem. Maigritowi było przykro, ale nigdy tej pani nie widział.

- Przyjeżdża tutaj wiele kobiet z Zachodu, by wziąć udział w zajęciach aśramy. Chcą znaleźć zadowolenie i spokój wewnętrzny, niekiedy nową drogę życia.

Potem Francuz zmienił temat, powiedział, że już nie prowadzi restauracji przy hotelu, ale jeśli Tillmanowi wystarczy posiłek kontynentalny, Alliance Française jest niedaleko, dokładnie naprzeciwko pensjonatu w parku. Właściwie był to klub, ale przychodził tam każdy, kto miał ochotę. Po prostu trzeba minąć bramę, przejść przez dziedziniec i wejść po schodkach.

Michael zastanowił się, czy powinien tam iść. Nie obawiał się zbytnio, że wpadnie na Galę, bo podejrzewał, że pewnie starała się wtopić w hinduskie otoczenie, więc raczej jada posiłki w miejscowej restauracji lub, co bardziej prawdopodobne, sama sobie gotuje. Ale w tych hinduskich miastach wiadomości rozchodzą się szybko i czuł, że wkrótce każdy tutaj usłyszy o przybyszu w dżinsach i sandałach, który stara się kogoś odnaleźć.

Ale był głodny, a jeszcze nie czuł się na siłach stawić czoła kuchni indyjskiej, więc ruszył tam, gdzie go skierował

Francuz. W tej części miasta niewiele osób siedziało przed domami na schodkach, większość budynków kryła się za wysokimi murami. Dwóch białych mężczyzn z ogolonymi głowami, owiniętych kolorowym sztyfonem, z gołymi aż po uda nogami, szło z przeciwka, nie zwracając uwagi na Michaela.

Skreślił w lewo w Rue Bazare St Laurent, przegapił skręt w Rue Dumas i doszedł do Cours Chabrol - ulicy plażowej, biegnącej wzdłuż tamy. Wiał łagodny wieczorny wietrzyk. Michael zatrzymał się w cieniu, nie przechodząc na drugą stronę tamy. Krążyło tu sporo spacerowiczów. Po prawej stronie, nieco dalej, znajdowała się brama do pensjonatu w aśramie.

Kiedy dwie białe kobiety w hinduskich sukniach nadeszły chodnikiem, zawrócił ulicą, którą właśnie nadszedł. Czuł się głupio, jakby wplątał się w międzynarodową aferę szpiegowską. Galu, co ty ze mną zrobiłaś? Zanim się spotkaliśmy, byłem - jeśli nawet nie bardzo szczęśliwy - to całkiem zadowolony z życia. A teraz przemykam się ciemnymi uliczkami Indii szukając cię, a jakaś moja część nie chce cię odnaleźć, obawiając się, co mi możesz powiedzieć na temat planów dotyczących reszty twojego życia.

Przy bramie do Alliance Française stał strażnik. Michael pokazał na siebie, potem wskazał dłonią w głąb dziedzińca i zapytał:

- Restauracja?

Strażnik skinął głową i przepuścił go przez bramę. Na dziedzińcu rosły drzewa i kwiaty. Z jednej strony na betonowej platformie Hinduska tańczyła w rytm bębenków, wybijany przez mężczyznę siedzącego za nią w cieniu.

Poza nimi na dziedzińcu nie było nikogo, ale dochodził dźwięk akordeonu, a w budynku ktoś śpiewał po francusku. Michael przez chwilę przyglądał się tancerce. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi, zatrzymała się przy mężczyźnie z bębenkiem, który po chwili - widocznie na jej prośbę - zmienił rytm.

Na parterze budynku mieściła się męsko-damska łazienka i wystawa czarno-białej fotografii. Muzyka i śmiech dochodziły z piętra, gdzie znajdowała się restauracja. Michael wszedł po schodach. Połowa pomieszczenia była zadaszona, druga otwarta. Kelnerzy w białych uniformach poruszali się zwawo, młody Hindus w ciemnych spodniach i fioletowej koszuli podszedł do Michaela i powitał go po francusku. Michael odpowiedział po angielsku:

- Chciałbym zjeść kolację.

- Jest pan sam? - angielszczyzna majordomusa była równie dobra jak jego francuski.

Michael skinął głową.

- Woli pan wewnątrz czy pod gołym niebem?

- Poproszę o stół na zewnątrz.

*Maître d'hôtel* usadowił Michaela przy niewielkim stolczku w rogu sali. Kiedy wchodzili, kilka głów zwróciło się w ich stronę, nowego gościa obrzucono zaciekawionymi spojrzeniami, ale wkrótce znowu rozległy się śmiechy i wszyscy zajęli się posiłkiem. Michael zamówił piwo i szaszłyk z kurczaka. Po przeciwnej stronie sali mieściło się wbudowane w ścianę otwarte palenisko. Na niebie jaśniały gwiazdy, wiatr przynosił zapach jaśminu, a on siedział samotnie, wpatrując się w swoje dłonie.

Jedzenie było znakomite, podawano je z dodatkiem ryżu i francuskiej bagietki. Na zakończenie dostał kawałek czekoladowego tortu i mocną kawę. Poczul, że odżywa. Kiedy wychodził, na posterunku majordomusa stał niemłody mężczyzna. Uśmiechnął się ciepło do przechodzącego Michaela.

- Smakowało panu?

Odpowiedział, że bardzo, po czym pokazał zdjęcie Gali. Mężczyzna wziął je, przyjrzał się uważnie, na chwilę przeniósł wzrok na gościa, jeszcze raz spojrzął na zdjęcie i znowu na Michaela, ale już się nie uśmiechał.

- Widział ją pan kiedyś? - zapytał Michael. Hindus patrzył na gościa, ale nie odpowiadał.

- Szukam jej, to dla mnie bardzo ważne.

Mężczyzna zapalił papierosa, a potem oddał zdjęcie Michaelowi.

- Może, dawno temu.

- Jak dawno? Tydzień?

- Dawno. Dziesięć, piętnaście lat. Trudno powiedzieć, kobieta, o której myślę, była dużo młodsza. Przepraszam, czeka na mnie praca.

Michael wziął głęboki oddech. To było dziwne. Z chwilą gdy mężczyzna spojrział na zdjęcie, życzliwość w jednej chwili zamieniła się w niechęć, zupełnie jakby ten człowiek rozpoznał Galę i nie chciał mieć z Michaeliem nic wspólnego. Wracał do hotelu ciemnymi, opustoszałymi ulicami, wciąż się nad tym zastanawiając.

Przez dwa dni włóczył się po Pondicherry bez opracowanej strategii poszukiwań. Trzeciego pojechał na motorze do Auroville, ale był to ogromny teren z małymi siołami i porozrzucanymi bez planu domkami. Jeśli nawet Gala gdzieś tutaj się ukryła, odnalezienie jej było niemożliwe. Wczesnym popołudniem siedział na tamie w pobliżu pensjonatu w aśra-mie i przyglądał się ludziom przybywającym na wieczorny posiłek. Próbował porozmawiać ze srogą kobietą z recepcji pensjonatu, ale okazało się to bezowocne. Tutaj ludzie zjawiali się, by uciec, chcieli, by ich zostawiono samym sobie. Kiedy Michael pokazał zdjęcie Gali, kobieta pokręciła tylko przecząco głową i powróciła do swoich ksiąg. Nic nie osiągnął.

Zapytał Maigrita, gdzie znajduje się uniwersytet, o którym czytał w przewodniku. Francuz przejechał palcem po planie miasta, wskazując miejsce i drogę, jak do niego dotrzeć. Michael wyprowadził kawasaki z hotelowego dziedzińca, kopnął starter i ruszył miastem na północ.

Uczelnia mieściła się w zaniedbanej części Pondicherry. Kręcąc się po niewielkim kampusie, Michael dostrzegł wyblakły napis: Wydział Ekonomiczny. Czas, by błysnąć listami uwierzytelniającymi. Poszedł do sekretariatu i przedstawił się, mówiąc kim jest i skąd przybywa. W takiej sytuacji



tytuł zawsze bardzo pomaga. Hindusi uwielbiają listy uwierzytelniające, a profesorów cenią niewiele mniej. Sekretarka zniknęła na moment, by powrócić z niskim, okrągłym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim Hindusem. Nosił okulary i krawat, który sięgał tylko do połowy piersi. Uśmiechał się serdecznie.

- Jak to miło, profesorze Tillman, że nas pan odwiedził. Chciał się dowiedzieć wszystkiego na temat zawodowego życia Michaela, który wobec tego wymienił listę stopni i wszelkich swoich zasług, ze zniecierpliwieniem czekając na chwilę, kiedy będzie mógł przejść do prawdziwego powodu wizyty. Ale w Indiach grzeczność jest zawsze nieco pompatyczna i musiał się do tego dostosować. Wkrótce dołączyło do nich jeszcze dwóch ekonomistów, a parę minut później podano herbatę. Jeden z profesorów przeprosił obiecując, że za chwilę wróci. Gdy się pojawił znowu, w ręku miał egzemplarz „The Atlantic”. Otworzył pismo na artykule Michaela o inicjatywach podatkowych. Wskazał na tekst, a potem na gościa.

- Czy pan to napisał, doktorze Tillman? Michael przytaknął. Profesor uśmiechnął się szeroko.

- Znakomity artykuł. Naprawdę bardzo dobry. Wiarygodność została potwierdzona, teraz Michael stał już na pewnym gruncie i wiedział, że ma do czynienia z przyzwoitymi, inteligentnymi ludźmi. Opowiedział im o poszukiwaniu Gali, nie wdając się w szczegóły, koncentrując się tylko na tych faktach, które mogły pomóc w jej odnalezieniu. Nie rozpoznali jej na zdjęciu, ale kiedy wspomniał o zainteresowaniu Gali antropologią, dziekan natychmiast wezwał sekretarkę i zamienił z nią szeptem parę słów.

- Poprosiłem, żeby przyprowadziła profesor antropologii, byście mogli porozmawiać. W Pondicherry prowadzi się wiele programów z antropologii, szczególnie Francuzi są zainteresowani tymi stronami, kilka lat temu ufundowali instytut, z którym współpracuje nasza uczelnia.

Dziesięć minut później w drzwiach stanęła mniej więcej czterdziestoletnia kobieta w różowym sari. Dziekan wstał i przedstawił ją jako doktor Dhavale, wykładowcę antropologii. Zdjęcie Gali, nieco zniszczone po przejściu przez setkę rąk podczas ostatnich kilku dni, leżało na stole. Antropolog błyskawicznie po nie sięgnęła, przyjrzała się uważnie, a potem przeniosła wzrok na Michaela.

Serce biło mu jak młot.

- Zna pani może tę kobietę ze zdjęcia? Twarz Hinduski pozostała niewzruszona.

- Powiedział pan, że nazywa się Tillman? Michael Till-man?

- Tak.

- Z miejscowości o nazwie Cedrowy Zakątek? Jego puls jeszcze przyspieszył.

- Czy mogłabym zamienić z doktorem Tillmanem kilka słów na osobności? - zwróciła się do dziekana.

- Ależ oczywiście. Doktorze Tillman, bylibyśmy zobowiązani, gdyby wygłosił pan jeden czy dwa wykłady w czasie pobytu w naszym mieście. Z pewnością nasi studenci byliby bardzo wdzięczni.

Okazali mu wiele pomocy. Powiedzieć teraz „nie” byłoby niegrzecznością i niewdzięcznością.

- Doktorze Ramani, z ogromną radością pewnego dnia wygłoszę u was wykład. Teraz jednak nie mogę odkładać poszukiwań pani Braden. Kiedy tylko się z tym uporam, skontaktuję się z panem i ustalimy terminy.

- Oczywiście, oczywiście. Rozumiemy, chociaż czujemy się bardzo zawiedzeni pańskim pośpiechem. Proszę dać znać, kiedy będzie pan mógł zjawić się u nas, zorganizujemy bardzo miły wieczór zakończony bankietem.

Michael obiecał, że to zrobi, a następnie ruszył za doktor Dhavale. Wyszli z wydziału ekonomicznego, przecięli dziedziniec i udali się do innego budynku, gdzie znajdowało się jej niewielkie biuro. Po raz pierwszy od siedemdziesięciu dwóch godzin nie czuł się zmęczony.

Usiadła za biurkiem naprzeciw niego, mierząc go zimno, pustym wzrokiem.

- Zaprzyjaźniłam się z Galą Markham dawno temu, kiedy pisała tutaj pracę dyplomową. - Użyła panińskiego nazwiska Gali, wymawiając je z francuska. - Przez cały czas po jej powrocie do Ameryki korespondowałyśmy ze sobą i pozostałyśmy w bliskich stosunkach. Michael milczał, ale zaczął rozumieć, jaki był głupi, używając przez ostatnie dni nazwiska męża Gali i w dodatku wymawiając jej imię po amerykańsku. Nawet jeśli ktoś ją znał, nie wiedziałby, o kogo chodzi. Tutaj wszystko przesiąknięte było atmosferą Francji, o czym zupełnie zapomniał.

- Pani doktor, mam czterdzieści trzy lata. Czekałem długo, żeby poczuć do kogoś to, co czuję do Gali. Naprawdę mi na niej zależy, muszę ją znaleźć, proszę mi pomóc.

Antropolog przyjrzała mu się uważnie, jakby miała dokonać zaliczeniowej oceny.

- Nie chcę nadużyć jej zaufania, więc nie jestem pewna, ile mogę panu powiedzieć, doktorze Tillman. Ale wiem, że uczucia Gali do pana są głębokie. Miała bardzo skomplikowane życie, bardziej niż mógłby pan sobie wyobrazić. Ale o tym niech już ona panu opowie, kiedy uzna to za stosowne. Wysłała do pana list, w którym podała moje nazwisko i adres, gdyby chciał się pan z nią skontaktować. Ale pewnie nie oczekiwała, że zjawi się pan u mnie. Otrzymał pan jej list?

- Nie. Widocznie opuściłem Cedrowy Zakątek, zanim przyszedł. Trafiłem na panią właściwie przez przypadek.

- To dla mnie bardzo trudna sytuacja, doktorze Tillman, proszę mnie zrozumieć. Chcę panu pomóc, ale nie chciałabym zrobić nic, czego by sobie nie życzyła Gała, zbyt cenię sobie jej przyjaźń. Wiem, jak ciążyło jej na sercu, że wyjechała bez pożegnania. - Padma Dhavale spojrzała w okno, na szybę pokrytą warstwą kurzu, po czym powróciła wzrokiem do Michaela. - Wyjechała kilka dni temu do Thekkady. Wiedział pan o tym?

- Nie.

- To wioska w pobliżu przepięknego jeziora Periyar. Gala mówiła, że spędził pan jakiś czas na południu Indii, więc myślałam, że słyszał pan o nim, Mieszka u ludzi nazwiskiem Sudhana tuż pod Thekkady.

- Czy mogę zapytać, co ona tam robi? Wie pani?

- Tak, wiem, ale o tym nie mogę z panem rozmawiać, obawiam się, że i tak nadużyłam już jej zaufania.

- Jak najlepiej dojechać do Thekkady?

- Można wrócić do Madrasu i polecieć do Madurai, a potem wynająć samochód. Choć lepiej, mimo że może się to okazać bardziej męczące, wsiąść wczesnym popołudniem w pociąg odchodzący z Pondicherry. To właściwie kolejka wąskotorowa, która dowiezie pana do Villupuram, mniej więcej czterdzieści kilometrów stąd, a tam przesiądzie się pan na Trivandrum Mail i pojedzie nim na południe aż do Madurai. Następnie można albo wsiąść w autobus, albo wynająć samochód, który zawiezie pana aż do Thekkady. To uciążliwa droga, doktorze Tillman, ale prawdopodobnie najszybsza. Połączenie przez Madras może się okazać irytujące. Niekiedy trzeba czekać na miejsce w samolocie przez kilka dni.

- Spojrzała na zegarek. - Dochodzi dwunasta. Jeśli się pan pospieszy, uda się panu złapać pociąg, który odchodzi o pierwszej do Villupuram. Mam wrażenie, że bardzo panu zależy, by wyruszyć jak najszybciej, chyba się nie mylę? - uśmiechnęła się ciepło. - Jeśli znajdzie pan Galę Markham, proszę jej powiedzieć, że nie była to dla mnie łatwa decyzja zdradzić panu miejsce jej pobytu, niech mi wybaczy, jeśli zrobiłam źle.

- Dobrze. Dziękuję, doktor Dhavale.

Kiedy podchodził już do drzwi, Padma Dhavale odezwała się:

- Doktorze Tillman. Zatrzymał się wpół kroku.

- Gala może używać nazwiska Velayudum, nie Braden czy Markham. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Tylko przy-

jąć do wiadomości to, co powiedziałam. I jeszcze jedno, jeśli ją pan znajdzie, może się pan poczuć rozczarowany lub zawiedziony, a przynajmniej wytracony z równowagi. Jak już wcześniej panu wspomniałam, Gala miała skomplikowane życie. A potem jechał już Trivandrum Mail do Madurai na południe, a następnie samochodem na zachód.

## *Rozdział jedenasty*

Thekkady leży na granicy stanów Tamienad i Keral, na wyżynie południowo-wschodnich Indii. Drogę do miasta zamyka czerwony szlaban z budką, obok stoi budynek, który skojarzył się Michaelowi ze starym przejściem granicznym w Berlinie, na słynnym Glienicke Brick. Kierowca zatrzymał się i zniknął w biurze. Michael prawie słyszał Richarda Burtona cytującego słowa z powieści Johna Le Carre, coś na temat mężczyzny ze Wschodu, który miał się zjawić tego właśnie dnia. W biurze rozpętało się prawdziwe piekło. Kierowca pokazywał swoje papiery, ale najwyraźniej przekraczanie granicy stanu było tu czymś podobnym do przekraczania granicy państwowej. Z tego, co Michael potrafił zrozumieć, urzędnicy stanu Keral odmawiali honorowania mocno już zniszczonego prawa jazdy, upoważniającego do prowadzenia samochodu na całym terytorium Indii.

Michael wysiadł i oparł się o maskę. Kolejny potok słów, coraz bardziej wrzaskliwych i brzmiących jak groźby. Pokazał na szlaban, podniósł plecak i zapytał gestami, czy mógłby tam pójść. Okazało się to bardziej skomplikowane niż myślał. Najpierw musiał zapłacić kierowcy, a potem jeszcze wcisnąć dwudziestodolarowy banknot w dłoń oficera granicznego. Bakszysz działa wszędzie i zawsze.

Chłodne górskie powietrze i jasne słońce, cicha wioska, popołudniowa godzina, kurz na drodze. Michael szedł, zostawiając za sobą głębokie ślady butów.

- Hej, szefie, nad jezioro? - Młody Hindus zahamował przy nim dżipa. Michael zerknął na nazwisko, które zapisał w notesie, podszedł do samochodu i powiedział:

- Może, ale najpierw muszę znaleźć pewnych ludzi, nazywają się Sudhana.

- Nie, szefie, my jedziemy tylko nad jezioro. - Chłopak klepnął dłonią siedzenie. - Dwieście rupii za podwiezienie. Bardzo wygodnie.

Może i wygodnie, tyle tylko, że nie tam, dokąd się wybierał Michael.

Wyciągnął trzy banknoty po sto rupii.

- Najpierw znajdź mi dom Sudhanów. Potem, jeśli jeszcze będę chciał pojechać nad jezioro, dostaniesz kolejne dwie setki.

Okazało się, że właściwie dżip wcale nie musi jechać nad jezioro. Ale jego kierowca nie spieszył się, na razie zaczął coś wykrzykiwać do stojących przy drodze innych chłopaków, rozległy się śmiechy, wszyscy przyglądali się Michaelowi. Te młode skunksy zawsze są bardzo odważne w grupie. Wiedzieli, że ma pieniądze, dla nich był to wręcz majątek. Michael miał pod pogniecioną kurtką zatknięty za pasek nóż o krótkim ostrzu, który zawsze nosił, kiedy znajdował się w tych stronach świata. W tej chwili czuł go wyraźnie.

Kilka lat temu ten sam nóż przycisnął do gardła kierowcy, który późną nocą w Mysore, na północ od miejsca, gdzie znajdował się teraz, zachęcony przez bandę takich samych cwanych gówniarzy, miał zamiar wyrzucić jego i towarzyszącą mu kobietę z taksówki. Kiedy kierowca poczuł ostrze na gardle, zamiast nich wykopał chłopaków.

W pewnej chwili jakiś starszy mężczyzna wyszedł z biura i zaczął coś wykrzykiwać. Michael zrozumiał, że jest on właścicielem dżipa i nakazuje młodemu wziąć się do roboty. Nastąpiła szybka wymiana zdań w kilkunastu dialektach, kilka razy padło nazwisko Sudhana. Starszy mężczyzna narysował coś na kawałku tektury i wręczył go młodemu, temu, który zwracał się do Michaela „szefie”, a następnie

podszedł do dżipa, z szerokim uśmiechem poklepał siedzenie, pokazując Michaelowi, żeby zajął miejsce. Młodziak i jeden z jego bezczelnych koleżków usiedli z przodu.

Ruszyli wyboistą drogą, potem skręcili na południe i jechali skarpą ponad wschodnim brzegiem bystrego górskiego potoku. Jeszcze kilka razy skręcili, objechali niewielkie wzniesienie i znaleźli się znacznie wyżej. Kierowca zahamował przed domem z kawałkami cynowej blachy na dachu i ścianach.

- Sudhana tam... - wskazał. - Papierosy?

Michael dał każdemu z chłopaków po amerykańskim papierosie; były one w tych stronach synonimem luksusu. Obaj zaraz zapalili, a Michael ruszył niepewnie w stronę domu. Wahanie, na które w istocie było za późno. Czy znalazł się we właściwym miejscu? Czy postąpił słusznie? Galu, nie uciekaj ode mnie, nie rób tego. Cokolwiek się dzieje, pozwól mi w tym uczestniczyć.

W oknie pojawiła się twarz starowinki, która schowała się natychmiast, jak tylko zobaczyła postawnego białego mężczyznę.

- Sudhana? - zawołał Michael. Nic. - Gala? Galu, to ja, Michael. - Nadal nic. Potem powoli drzwi uchylły się odrobinę i przez szparę wyjrzała stara kobieta. Zaczęła coś bardzo szybko mówić, nie mógł jej zrozumieć. - Gala, Gala, Gala - powtarzał raz po raz na różne sposoby, potem dodał nazwisko, którego mogła tutaj używać, a które dla niego brzmiało tak dziwnie - Gala Velayudum.

Kobieta potrząsnęła głową, odrzekła coś bardzo szybko skrzeczącym głosem i wskazała w kierunku wnętrza domu. Chryste, co tu się dzieje? Czy Gala leży chora, czy stało jej się coś złego?

Młody kierowca wdarł się na mur dzielący dwie kultury, który Michael próbował sforsować.

- Ma pan jeszcze papierosa, szefie? Wiem, co ta starucha chce panu powiedzieć. - Żądał kolejnego bakszyszu. Po pewnym czasie stawało się to męczące. Nie chodziło o pie-



niądze, tylko o tę cholerną arogancję, wykorzystywanie sytuacji.

Michael dał mu paczkę meritów.

- Ona mówi, że kobieta, która nazywa się Gala Velayu-dum, jest w starym domku myśliwskim na wyspie. To miejsce nazywają Pałac na Wodzie.

Chce się pan tam dostać?

Michael przytaknął, a kierowca wskazał na dżipa. Zjechali ze wzniesienia i znowu znaleźli się na drodze nad rzeką. Kilka minut później samochód wjechał na płaskowyż, a przed nimi ukazało się jezioro Periyar, błękitne i emanujące spokojem.

Kierowca wysadził Michaela przy hotelu Aranya Nivas, sto jardów od brzegu. Poprosił o kolejną paczkę papierosów, na co Michael odparł, żeby się wypchał. Miał już dość młodych szczwanych lisków, niezależnie od kraju, w którym mieszkali, i to mu zresztą powiedział. Dotychczas zachowywał się zbyt biernie, zbyt był przejęty poszukiwaniem Gali, żeby myśleć o takich głupstwach. Widząc gniew na twarzy Michaela, kierowca pośpiesznie zrezygnował, wzruszając ramionami. Wycofał samochód i odjechał.

Michael wszedł do hotelu. Czuł się brudny i zmęczony. Kobieta w recepcji wyglądała jak z obrazka, miała turkusowe sari i twarz, z którą w Stanach zrobiłaby karierę w reklamie. Była grzeczna i rzeczowa, co Michael przyjął z dużą ulgą. Zapytał o Pałac na Wodzie. Wyjaśniła, że to dawny myśliwski domek maharadży; mają tam zaledwie sześć pokoi dla gości, a zarezerwować je można właśnie tu, w Aranya Nivas. Kiedy przerzucała kartki książki gości, Michael przyglądał się zdjęciu, które wisiało za nią na ścianie. Było to nieco wyblakłe, ale wciąż piękne ujęcie tygrysa wynurzającego się z trawy w mglisty poranek. Pod zdjęciem widniał podpis: Robert Kincaid.

Urzędniczka oznajmiła, że jest wolny pokój na najbliższe cztery noce. Na następny tydzień wszystko było już zamówione. W cenę wliczono trzy posiłki dziennie - kuchnia kontynentalna.

Obracał w myślach pytanie. Musiał je zadać.

- Mam się spotkać z pewną kobietą w hotelu na wyspie. Ciekaw jestem, czy już przyjechała. Ma na imię Gala. Wydaje mi się, że występuje pod nazwiskiem Velayudum, chociaż mogła się również wpisać jako Markham lub Braden. -Wszystko to brzmiało dość podejrzanie, tajemniczo, ale uznał, że nie będzie się bardziej odkrywał.

- W tej chwili zajęte są tylko trzy pokoje. - Recepcjonistka podniosła na niego wzrok. - I mówi pan, że ktoś tam pana oczekuje?

- Tak. Tyle tylko, że nie byłem pewien daty mojego przyjazdu.

- Mam na liście nazwisko Yelayudum. Są pod nim zameldowane dwie osoby.

Michael poczuł się, jakby ktoś uderzył go mocno w żołądek. Wszystkie te miesiące i przebyte mile, i marzenia. Miał czterdzieści trzy lata i stał spoglądając przed siebie głupawo, a Gala zajmowała tu pokój pod nazwiskiem Yelayudum. Mieszkała z kimś, najprawdopodobniej z mężczyzną, z którym związała się podczas swego poprzedniego pobytu w Indiach. Gala - i wszystkie sprawy, o których nic nie wiedział.

Michael zawsze będzie pamiętał poczucie osamotnienia, jakie go w tym momencie ogarnęło. Poczuł się opuszczony i porzucony. Coś z tego musiało się odbić na jego twarzy, bo kobieta zapytała:

- Proszę pana, czy chce pan ten pokój?

Mógł wrócić do Madurai, polecieć do Madrasu, gdzie by się przesiadł na samolot prosto do domu. Ale nagle pomyślał: to tylko zwykła męska zazdrość. Nie potrafisz jasno myśleć, bo boisz się tego, co może cię spotkać na wyspie. Pojedziesz prosto do tego hotelu, nie gdzie indziej, tylko właśnie tam. Cokolwiek z tego wyniknie, dotrzesz do samego końca tak szybko, jak tylko się da.

- Proszę zarezerwować dla mnie pokój na jedną noc. Hotel położony jest na wyspie, prawda?

- Tak to nazywamy. Ale cienki pasek bagien łączy ją z lądem. Łodzią dopłynię pan w pół godziny.

- Gdzie cumują łodzie?

- Proszę wyjść na zewnątrz, skrócić w prawo i pójść ścieżką. Zobaczy pan niewielki budynek z napisem: „Sanktuarium Dzikiego Życia w Periyar”. Tam kupi pan bilet na przeprawę. Ta wyspa to jeden z najszlenniejszych rezerwatów tygrysów w Indiach, więc musi pan również kupić bilet uprawniający do przebywania na jego terenie. Jeśli chce się pan udać na safari do dżungli, może się pan umówić z kasjerem. Bez przewodnika nie wolno wychodzić poza teren hotelu, ponieważ żyją tam na swobodzie duże drapieżniki, które potrafią być bardzo niebezpieczne.

Michael już odwracał się do wyjścia, ale jeszcze zapytał:

- Czy ta fotografia za panią została właśnie tam zrobiona?

- Tak, na wyspie, gdzie stoi hotel. Mówiono mi, że fotograf, który je zrobił, przyjeżdżał tu przez kilka lat z rządu.

Poszedł ścieżką do biura. Na molo tłoczyli się turyści, a kilka wycieczkowych statków kołysało się na wodzie. Michael wręczył rezerwację hotelową kasjerowi, ten dał mu bilet, informując, że Michael powinien pokazać rezerwację pilotowi Miss Lake Periyar, a ten wysadzi go przy hotelu.

Wszędzie panował straszliwy rozgardiasz. Podróżowanie w Indiach nigdy nie jest łatwe, a tym razem wydawało się wyjątkowo skomplikowane. Przy nabrzeżu cumowały trzy statki, na dwa właśnie wsiadano, jeden pełen już był turystów. Dwie setki oczekujących, bagażowi i inni pomocnicy tłoczyli się na molo. Statek, na który właśnie wsiadali ludzie, miał na burcie wypisaną nazwę Miss Lake Periyar. Michael przepchnął się przez tłum, dotarł do trapu i pokazał komuś z obsługi rezerwację hotelową. Mężczyzna nie wydawał się specjalnie zainteresowany, ale ruchem głowy pokazał Michaelowi, żeby wszedł na pokład. Dominującym uczuciem związanym z podróżowaniem po Indiach jest nie-

pewność; Michael poważnie powątpiewał, czy pilot zapamiętał, że ma go wysadzić przy hotelu.

Statek miał dwa pokłady, oszklony na dole i otwarty na górze. Nie było żadnego wolnego miejsca, a zewsząd rozlegały się krzyki i śmiechy skierowane do tych, którzy pozostali na molo. Panował nieopisany zgiełk. Dzieci biegały z pokładu na pokład, ludzie wysiadali, by zamienić jeszcze kilka słów z tymi, których zostawili na brzegu, a po chwili znów wracali. Marynarz, z którym rozmawiał Michael, starał się jakoś zapanować nad tłumem, ale skapitulował, pokonany przez tłuszcę. Czy to możliwe, zastanawiał się Michael, żeby przy takim zgiełku pokazało się na brzegu jakieś zwierzę, co przecież miało być największą atrakcją wycieczki. Hałas, jaki panował na łodzi, mogłaby robić tylko armia faraona. Kiedy sternik zapuścił silnik, kapitan statku przestał się patyczkować z pasażerami. Poleciał, by zajęli miejsca, a oni go usłuchali. Michael sprawdził jeszcze raz, ale wszystkie miejsca siedzące były zajęte, więc przykucnął na drabince prowadzącej na górny pokład. Na stopniu poniżej usiadł mały chłopiec, z ciekawością przyglądając się zapatrzonemu w wodę Michaelowi.

Statek odbił od brzegu i sunął powoli przez wielkie podłużne jezioro, ciągnące się całymi milami poza tamę Periyar, zbudowaną przez Brytyjczyków w 1895 roku. Z niewielkich głośników rozmieszczonych w różnych miejscach pokładu rozlegał się głos przewodnika: czasami podawał informacje po angielsku, to znowu przerzucał się na jeden z języków używanych w Indiach. Pasażerowie mogli się w ten sposób dowiedzieć, że najprawdopodobniej uda im się zobaczyć różne zwierzęta, od lampartów poprzez tygrysy i słonie po dzikie świnie. Michael pomyślał, że jeśli zobaczą w ogóle jakieś zwierzęta, będą się one tarzać ze śmiechu na widok dziwnych ssaków na dziwnym wynalazku, który powinien był zatonać dwadzieścia lat temu.

Było późne popołudnie i słońce wisiało tuż nad horyzontem. Statek, na którym był Michael, i jeszcze dwa płynące tuż za nim były ostatnimi kursami tego dnia. Zbliżali się do wyspy. Jej brzegi porastała gęsta dżungla, tylko w kilku miejscach widniały niewielkie spłachetki ziemi schodzące do wody. Michael podniósł się na chwilę i wtedy zobaczył wysokie wzgórze porośnięte drzewami, najwyraźniej znajdujące się dokładnie na ich kursie.

Dziesięć minut później przewoźnik klepnął Michaela w kolano i oznajmił: Pałac na Wodzie. Michael był tak spięty, że nie mógł złapać tchu, jakby właśnie ukończył bieg długodystansowy, co właściwie dobrze oddawało sytuację. Po ozłoconej słońcem wodzie w indyjskie grudniowe popołudnie Michael Tillman zbliżał się, pełen lęku, ku swemu przeznaczeniu.

W jezioro wcinało się drewniane molo, dalej można było dostrzec szerokie kamienne stopnie, ginące gdzieś w lesie. W prześwicie zieleni widniał kawałek czerwonego dachu. Na pomoście stał hinduski chłopak, mniej więcej piętnastoletni. Urzędniczka z Aranya Nivas przesłała drogą radiową wiadomość, że mają się spodziewać gościa, który przyplynie na Miss Lake Periyar.

Pilot z wprawą przycumował i Michael wyskoczył na deski pomostu. Chłopiec wskazał plecak zwisający z ramienia gościa i Michael oddał mu swój niewielki bagaż. Rozpoczęli długą, mozolną wspinaczkę po kamiennych schodach ku budowli, która wznosiła się sto pięćdziesiąt stóp ponad nimi. W połowie drogi Michael dotknął lekko ramienia chłopca, dając mu do zrozumienia, że chciałby się na chwilę zatrzymać.

Usiadł na drewnianej ławce, wsparł głowę na dłoniach i pogrążył się w myślach, wyobrażając sobie, co ujrzy na szczycie schodów, i zastanawiając się, jak powinien się zachować. Chłopiec stał cierpliwie, wpatrując się w dżunglę.

Po jakiejś minucie czy dwóch Michael podniósł się i ruszyli dalej. Schody kończyły się na płaskowyżu, ziemia była

tu całkiem czerwona, a drzewa wykarczowane. Pośrodku stał dość duży bungalow. Na werandzie piła herbatę para Hindusów. Obrzucili przybysza zaciekawionym spojrzeniem. W drzwiach pojawił się kierownik z kluczem do pokoju w ręce, on też zlustrował uważnie Michaela, po czym poinformował go, że kolacja będzie podana o siódmej, dodając, że strój wieczorowy nie jest wymagany. Michael zamówił dwa piwa kingfisher i ruszył za chłopcem na werandę.

Pokój okazał się przestronny, z podwójnym łóżkiem i łazienką.

Pomalowane na biało ratanowe meble były tylko nieco zniszczone. Dwa duże okna, zasłonięte ciężkimi drewnianymi żaluzjami, wychodziły na werandę. Pod sufitem obracał się niezbyt szybko wentylator. Mniejsze okno w łazience również miało grube żaluzje. Chłopiec położył plecak Michaela na łóżku i pokręcił się po pokoju, zapalając lampy. Kiedy dostał napiwek, zniknął.

Michael spojrział na zegarek. Do kolacji zostały jeszcze trzy godziny.

Wziął prysznic i ubrał się w czystą koszulę khaki i dżinsy, zamienił buty na sandały, wypił kingfishera i przygotował się psychicznie na to, co miało nadejść. Jeśli w ogóle można się było przygotować na to, czego się spodziewał, to on był gotów. Ponieważ nie mógł już znaleźć żadnego pretekstu, by pozostawać dłużej w pokoju, wyszedł na obiegającą wokół cały budynek werandę.

Polanę, na której stał hotel, dzielił od dżungli głęboki rów szerokości trzech stóp. Michael był prawie pewny, że ma on na celu powstrzymanie nie budzących zaufania stworzeń przed przydreptaniem lub przypełznięciem na teren zajęty przez ludzi.

Para Hindusów, których widział już wcześniej, stała w pobliżu wejścia do bungalowu. Spoglądali przez lornetkę na drugą stronę jeziora. Zawołali boya i zaczęli go wypytywać.

- To dzikie świnie - poinformował ich.

Z dachu zwieszały się fioletowe kwiaty. Gdzieś od wody doszedł dźwięk, który Michael rozpoznał dopiero po chwili: słoń. W tle słychać było odległy pomruk motoru statku wy-

cieczkowego. Michael usiadł na południowym skraju werandy, zapalił papierosa i otworzył drugie piwo, czując się jak wojownik tuż przed bitwą.

Usłyszał za sobą otwieranie drzwi i głosy. Jeden należał do Gali, tak przynajmniej mu się wydawało. Poczul w żyłach uderzenie adrenaliny dużo silniejsze nawet niż to, które napędzało go w czasach, gdy grał w koszykówkę, a prawdę mówiąc dużo silniejsze niż kiedykolwiek.

Wojownik przybył, by zdobyć swoją kobietę, jego ciało przygotowywało się do walki.

Teraz nadszedł ten moment. No - do dzieła, Tillman. Miej to już za sobą, załatw swoje sprawy, i to tutaj, w dżungli. Bo gdzie prawdziwy mężczyzna powinien rozwiązywać swe problemy? Odwrócił się i zobaczył młodą Hinduskę, piętnasto- lub szesnastolatkę, która wychodziła właśnie przez otwarte drzwi. Czarne lśniące włosy miała splecione w długi warkocz i była ubrana w sari w intensywnym kolorze pomarańczy. Na ramionach i na jednej kostce nosiła bransolety, na palcach nóg miała srebrne pierścionki, a na nogach sandały z barwionej trawy.

Gala Markham/Braden/Velayudum, czy kimkolwiek teraz była, szła tuż za nią, spoglądając w stronę dżungli.

Michael usłyszał, jak mówi:

- Co za cudowny wieczór, Jaya. - Gala przeniosła wzrok na werandę, obojętne szare oczy dotarły do siedzącego tam mężczyzny.

- Wspaniały - potwierdziła młoda dziewczyna. - A to jest najpiękniejsze miejsce, jakie znam. Po upale na nizinach tutaj powietrze wydaje się takie czyste i chłodne. Zawsze... - zamilkła widząc zmianę w twarzy Gali, i spojrzała w tym samym kierunku, co ona. Obie przez chwilę wpatrywały się w Michaela, po czym młoda Hinduska znowu przeniosła wzrok na Galę, która nie odrywała spojrzenia od Michaela. A on wciąż czekał, aż zjawi się mężczyzna o nazwisku Velay-udum, który stanie w drzwiach i obejmie ją ramieniem, lecz nikt taki się nie pojawił.

Gala stała jak zamieniona w słup soli. Michael wpatrywał się w nią równie nieporuszony. Miała na sobie tradycyjny strój Hindusek zwany *sdlwar kameese* - długą tunikę i luźne szarawary zebrane tuż nad sandałami, wszystko w najjaśniejszym odcieniu lawendy. Wokół szyi owinęła czerwony szal, którego końce spływały jej na plecy. Podobnie jak jej młodsza towarzyszka miała bransoletki na kostkach i pierścionki na palcach nóg. Jej włosy lśniły w wieczornym świetle, luźno rozpuszczone, tak jak je nosiła w Cedrowym Zakątku, czasami tylko wciskając pod tweedowy kapelusik.

Cedrowy Zakątek? Gdzież to u diabła jest? Czy jeszcze w ogóle istnieje? I czy istniał kiedykolwiek? Może... może gdzieś w innym czasie, gdzieś w innym ogniwie łańcucha życia, kochania i pracy, kiedyś to miejsce istniało. Daleko, w tym samym zapomnianym starożytnym świecie co Custer w Południowej Dakocie, gdzie pewien chłopiec wieczorami rzucał piłkę do kosza i reperował stare angielskie motocykle, które miały go ponieść drogą życia, najpierw samego, a wreszcie z kobietą imieniem Gala, przytuloną do jego pleców.

A teraz ona wzięła dziewczynę za rękę i podeszły do niego. Podniósł się w milczeniu. Patrzył jej w oczy, ona też nie spuszczała z niego wzroku. Wreszcie puściła rękę dziewczyny, objęła go w pasie i położyła głowę na jego piersi. Dotknął jej włosów. Uniosła twarz i pocałowała go.

Odwróciła się do dziewczyny:

- Jaya, to jest Michael Tillman, mężczyzna, o którym ci opowiadałam. - Jej wzrok powrócił znowu do twarzy Michaela. - Michaelu, to jest moja córka, Jaya Yelayudum.



## *Rozdział dwunasty*

Dhiren Velayudum: rewolucjonista, członek separatystycznej radykalnej grupy, która walczyła ze wszystkimi i wszystkim, co miało związek z centralnym rządem w Indiach. I Gala Markham, młoda idealistka, która zjawiała się w połowie lat sześćdziesiątych, żeby napisać w Indiach dyplom. Zupełnie jak z filmu: tamilski poeta-wojownik spotyka Amerykankę, która ma własne marzenia, jak powinien wyglądać świat. Naga prawda zaś wyglądała tak: Dhiren Yelayudum był terrorystą, a Gala stała się jego kochanką i powiernicą. Tyle tylko, że podczas nocy wypełnionych miłością i podczas dni wypełnionych wizjami o rewolucji, której nikt nie zdoła powstrzymać, to wcale nie wyglądało na terroryzm. Poślubiła Dhirena zgodnie z tradycją hinduską. Kiedy jej rodzice dowiedzieli się o tym, ich krzyk rozpaczony doszedł z Syracuse aż do Indii. Potem nastroje wobec radykałów stały się zdecydowanie wrogie, przez kilka szalonych miesięcy Gala uciekała z Dhi-rem, ukrywając się po wioskach i miastach. Aż wreszcie nadeszło to popołudnie na drodze prowadzącej do Ghat Zachodnich, na tej samej drodze, którą kilka lat później podróżował Michael. Samochód, którym jechał Dhiren z Galą, wspinał się powoli zygzakami zakrętów. Nagle Dhiren odepchnął Galę, krzycząc, żeby wyskakiwała z samochodu i kryła się. Usłuchała go, zabierając ze sobą Jayę. Dhiren wyskoczył z drugiej strony i biegł przez

drogę w stronę drzew, trzymając w dłoni dziewięćmili-metrowy rosyjski pistolet. Nagle rozległa się seria z broni automatycznej. Naboje skakały po drodze jak zwierzę o tysiącu szczęk, które dogoniło go i wgrzyło się w jego ciało. Dhiren przyspieszył, potknął się i upadł na skraju lasu.

Tej nocy w Pałacu na Wodzie Gala i Michael siedzieli na werandzie jeszcze dwie godziny po odejściu Jayi. Gala opowiedziała mu całą swoją historię, nie przemilczając niczego. Mówiła o tym, co czuła do Dhirena, o tym, jak go do dziś wspomina. Jak po śmierci Dhirena niosła swoje dziecko nocnymi drogami Indii. Szła tak do świtu, aż wreszcie dotarła do Thekkady, gdzie było sporo sympatyków radykalnych grup. I o tym, jak rząd indyjski ją ukarał, odmawiając wydania Jayi wizy, by Gala nie mogła jej zabrać do Stanów.

Opowiedziała mu o tym, jak przyjechał po nią ojciec i powiedział: „Wróć do domu. Znajdziemy sposób, by sprowadzić dziecko do Ameryki”.

Zapatrzyła się w noc.

- To zadziwiające, ile rodzice potrafią wybaczyć dzieciom. Przez całe lata walczyła, by dostać wizę dla Jayi, ale nie udało jej się. Ojciec wspomagał ją w tym, kołacząc do wszystkich możliwych urzędów w Waszyngtonie i New Delhi. Ale Indie odpowiadały milczeniem, pokazywały im oblicze bez wyrazu i nic się nie działo.

Gala siedziała obejmując rękami kolana podciągnięte pod brodę i mówiła:  
- Padma zajmowała się wszystkim tutaj na miejscu, ale wciąż pisała, że nie sposób uzyskać dla Jayi papierów, które by umożliwiły jej wyjazd. Ja próbowałam wrócić, lecz rząd Indii odmawiał mi wizy wjazdowej. Czy potrafisz sobie wyobrazić moją rozpacz, Michaelu? Nie dawałam jednak za wygraną i pewnego dnia zupełnie nieoczekiwanie dostałam wizę. Po prostu wreszcie uznali, że nie jestem nikim ważnym. Mogłam zrezygnować z obywatelstwa amerykańskiego i być może starać się o obywatelstwo tutejsze, ale na to jeszcze nie byłam gotowa i wcale nie jestem pewna, czy Indie

by mnie przyjęły. Wciąż wierzyłam, że uda mi się zabrać Ja-ve z tego kraju. Nawet zastanawiałam się nad przesnurowaniem jej przez granicę, ale przyjaciele twierdzili, że to zbyt ryzykowne; mogłoby skończyć się wieloletnim więzieniem i wtedy Jaya w ogóle nie miałaby matki. Michael z powagą pokiwał głową. Kiedy rozmowa dotyczyła czegoś ważnego, potrafił być znakomitym słuchaczem. I teraz tak właśnie słuchał Gali. Zmrużył oczy, po czym przetarł je dłonią. Układał sobie wszystko, co mu opowiedziała, spodziewał się przecież zupełnie innej historii. Poczłł nieprzyjemny ból w dole brzucha: me docenił Ga i. Nie była tylko błyskotliwą, piękną kobietą, żoną jego kolegi z wydziału. Jej życie miało drugie oblicze którego nawet sobie nie wyobrażał. Była o wiele bardziej dorosła mż myślał, znacznie bardziej doświadczona. Opowiadała mu o innej sobie, która żyła kiedyś, o kobiecie, której me zdołałby zrozumieć, choćby nie wiadomo ile mu o niej mówiła. Jezu, broń automatyczna i górskie drogi, mężczyzna, który obdarzył ją dzieckiem między potyczką a ideologiczną dyskusją. Z tym mężczyzną śmiała się i płakała, kochała go szaleńczo, zgadzając się na wszystko, czego od niej żadał i uciekała wraz z nim, niosąc swoją córkę. Poczłł dziwną mieszaninę żalu nad nią i zazdrości o Dhirena Velayuduma który znał Galę taką, jakiej on, Michael, nigdy nie pozna. To zakrawa na jakiś głupi żart, pomyślał, widząc ich związek w zupełnie innej perspektywie. Przez ten ostatni rok czuł się rywalem Jimmy'ego Bradena, a nie mężczyzny o sile i duchu Dhirena Yelayuduma, mężczyzny, który żył akurat tak długo, jak trzeba, i zmarł u szczytu swoich możliwości. Z jego obrazem nikt nie mógł się zmierzyć, ponieważ jej bohater nigdy nie zniżył się do codziennej, zwykłej egzystencji. Michael westchnął głęboko, a Gala podjęła opowieść

Przez ten czas Jaya wyrastała na młodą Hinduskę. Zdecydowałam, że najlepiej będzie, jeśli wychowa się w tutejszej kulturze. To wydawało się najrozsądniejsze. Decyzja została podjęta: Jaya zamieszka z Sudhanami do czasu poj-

ścia do szkoły, a ja będę ją odwiedzać tak często, jak tylko zdołam. Przez te wszystkie lata słałam pieniądze i byłam bardzo nieszczęśliwa, że nie jestem z moją małą dziewczynką. I nie wiem, czy inne rozwiązanie okazałoby się lepsze. Jaya wyrosła na wspaniałą młodą kobietę. Widujemy się co rok i zawsze przyjeżdżamy tutaj, do Pałacu na Wodzie. I chyba wreszcie poznała swoją prawdziwą matkę całkiem dobrze, chociaż nasz związek jest bardziej siostrzany niż taki, jaki łączy zazwyczaj matkę z córką. Kiedy spotkałam Jimmy'ego Bradena i poślubiłam go, powiedziałam mu tylko, że miałam romans z Hindusem, który umarł, i że moi przyjaciele w Indiach potrzebują pomocy pieniężnej. Kłamstwem było tylko to, czego nie powiedziałam. Uprzedziłam go też, że będę tu przyjeżdżać każdego roku. Myślę, że Jimmy zgodziłby się na wszystko, bylebym tylko za niego wyszła; wiem, że to brzmi okropnie, ale taka jest prawda; więc powiedział, że nie ma sprawy. Nigdy nie skarżył się na moje wycieczki do Indii i nigdy nie pytał, co tutaj robię. Jak już mówiłam wcześniej, Jimmy ma swoje zalety.

Michael podniósł się, stanął za jej krzesłem, objął ją i pocałował we włosy. Gała Braden wpatrywała się w noc. Pomiedzy drzewami biegło coś wielkiego.

Podniosła się i ujęła jego twarz w dłoń.

- Michaelu, Dhiren był bardzo podobny do ciebie, ale nie chcę, byś myślał, że jesteś jakas jego namiastką. To nieprawda, musisz mi wierzyć. Uśmiechnął się.

- Wierzę ci, Galu. - Ale chociaż jego głos brzmiał pewnie, w duszy aż tyle pewności nie było.

- Tym razem przyjechałam do Indii, bo musiałam się zastanowić i porozmawiać z Jayą o nas. Chciałam się upewnić co do swoich uczuć, chciałam też, by ona je zrozumiała. Kiedy pojawiłeś się dzisiaj wieczoru, byłam już gotowa wracać do domu. Do ciebie, Michaelu. Położył ją na łóżku w swoim pokoju, a potem całował te wszystkie miejsca, w które lubiła być całowana. Jakiś czas

później usłyszeli silne drapanie w drzwi, o które ocierało się coś potężnego. Michael usiadł.

- Co to u diabła jest? Niedźwiedź?

- Chyba tak. To samo słyszałam ubiegłej nocy.

- Kiedyś na Czarnych Wzgórzach też było ich bardzo dużo. Tam również podchodziły pod chaty. Mam w plecaku owoce i niedźwiedź prawdopodobnie je wyczuł. Zaraz sobie pójdzie.

Niedźwiedź odszedł, za to po chwili usłyszeli szybkie kroki hałasujące po dachówkach. Michael i Gala leżeli razem w ciemnościach.

- To Indie - wyszeptał jej do ucha.

Gala wróciła do swego pokoju na godzinę przed świtem. Michael leżał rozbudzony myśląc o wszystkim, co mu powiedziała. Dwadzieścia minut przed pierwszym brzaskiem ubrał się i wyszedł w nieprzeniknioną, głęboką mgłę otulającą budynek, zamieniającą otwartą przestrzeń w zamkniętą niczym szary kamuflaż. Po drugiej stronie jeziora małpy krzyczały, jakby czuły się osamotnione. Klasyczne dźwięki dżungli z filmów o Tarzanie. Potem zaczęły porykiwać słonie, tym razem nieco bliżej. Małpy przyłączyły się do nich raz jeszcze, a wreszcie odezwały się ptaki.

Oświetlając sobie drogę latarką, zszedł po kamiennych stopniach do wody. Sam nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Miało to coś wspólnego z jego miłością do Gali i świadomością, że znalazł miejsce w jej życiu - mała poranna uroczystość, czas na uporządkowanie sobie obrazu, który wynurzył się z nocnej opowieści. Usiadł na pomoście, patrzył na odległy drugi brzeg jeziora. Siedział i czekał, nasłuchując uderzeń drobnych fal. Pierwszy brzask przebijał się przez mgłę.

Wpatrywał się przed siebie i myślał o Gali i Jayi, które spały w domu wysoko nad nim. Pozwolił myślom błądzić bez celu. Mgłę rozwiewaną przez poranny wietrzyk złociło słońce wynurzające się zza wzgórz na wschodzie.

Tygrys dostrzegł Michaela, zanim on go zobaczył. Wielki kot siedział trzydzieści kroków niżej, krople wody lśniły mu na wąsach, kiedy podnosił łeb znad jeziora. Trwał nieruchomo spoglądając na Michaela, z ciałem wciąż pochylonym nad taflą wody. Ukazał się długi czerwony jęzor, który zlizwał krople z białej brody.

Michael gorączkowo próbował coś wymyślić. Ależ jesteś idiotą, obwiniął się w myślach. Hotel znajdował się o czterdzieści dwie sekundy sprintu po stopniach w górę albo dłuższą drogą przez dżunglę, a tygrys bengalski potrafi pokonać sto jardów w cztery sekundy. Gdyby chciał go dopaść, Michael nie mógłby nic zdziałać. Ucieczka była bezsensowna. I rozpaczliwa.

Ale nie wiadomo czemu, Michael wcale się nie bał. Kiedy potem wracał myślą do tej chwili, nie potrafił zrozumieć dlaczego. Po prostu się nie bał. Prawdę mówiąc przez cały czas nie opuszczała go myśl, co by oddali podglądacze dzikiej przyrody za taką chwilę jak ta. Za coś takiego dostawało się najwyższą odznakę. Wiele osób przyjeżdżało tutaj specjalnie po to, żeby uprawiać coś na kształt wzrokowych łowów i płakało gorzko, gdy nie trafiło im się coś nadzwyczajnego. Takiego właśnie jak to, co zdarzyło się teraz o świcie, we mgle.

Michael zaczął odczuwać przyjemność odpowiadając po prostu spojrzeniem tygrysowi. Była to kontemplacja bytu w czystej postaci, z odrzuceniem balastu cywilizacji. Było coś dobrego i radosnego w myśli, że stworzenia, które podpełzały do okopu, ocierały się o żaluzje po zapadnięciu ciemności lub wpatrywały się w ciebie siedząc otulone we mgłę na brzegu jeziora, istnieją naprawdę i nie interesują ich wcale twoje przemijające radości i smutki, i że mogą wrócić do dżungli, kiedy tylko zechcą.

Tygrys pochylił głowę, liznął wodę, spojrzął jeszcze raz na Michaela, a potem zaczął się oddalać brzegiem. Po pięćdziesięciu jardach odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Michaela, i patrzył tak przez długą chwilę. Potem zniknął

w dżungli. Wielka żółta tarcza słońca wędrowała w górę po niebie, rozpraszając mgłę.

- Dzień dobry, Michaelu.

To były Gala i Jaya z kubkami gorącej herbaty dla siebie i dużą filiżanką kawy dla eksperta od tygrysów. Michael nie powiedział im o swoim spotkaniu, gdyż mogłyby żałować, że je to ominęło, i w ten sposób zepsułyby im cudowny wschód słońca. Kiedy opowiedział tę historię dużo później, rzeczywiście żałowały, ale też były zadowolone. Żałowały, że ominęło je takie spotkanie, a jednocześnie cieszyły się, że z nim wtedy nie były.

- Michaelu - szare oczy Gali były pełne miłości - nie rozmawialiśmy wcale o planach na najbliższą przyszłość. Mamy z Jayą zarezerwowany tutaj pokój jeszcze na trzy noce. Możesz z nami zostać?

Zostać? Pozwoliłyby zniknąć wspomnieniu o tygrysie dla tego przywileju.

- Galu, jestem wolny do połowy stycznia. Zarezerwowałem samolot na dwunastego. Jaki jest twój program, jak to mówią w Indiach?

Jaya uśmiechnęła się.

-No cóż... - Gala zawahała się, domyślił się, że chodzi o pieniądze.

- Pozwól, że coś ci podsunę. Patrzysz na faceta, który mieszka w tanich pokojach, jeździ na trzydziestoletnim motocyklu, ale zarabia całkiem przyzwoicie. Jeśli macie obie na to ochotę, możemy pojeździć tu i ówdzie. Popływać łodzią po rzekach Kerali, powylegiwać się przez chwilę na wybrzeżu Goa, dotrzeć parowcem do Bombaju i tam zatrzymać się w hotelu Taj. Zapraszam was.

- To będzie mnóstwo kosztowało. - Pochyliła się i pocałowała go na dzień dobry.

- Możemy to odpracować na kuchennym stole w Cedrowym Zakątku. Przewróciła oczami.

- Rozumiem już, jaki ma być mój nowy zawód - roze-

śmiała się, a Jaya jej zawtórowała, chociaż najwyraźniej nie bardzo wiedziała, z czego się śmieje. Ale Michael pomyślał, że wie - dziewczyna wtórowała radości swojej matki, ponieważ jej matka była szczęśliwa i zakochana, i nie próbowała tego przed nią ukryć. Za jakiś czas to zrozumie.

Zrobili tak, jak powiedział: podróżowali. W Pałacu na Wodzie pozostali jeszcze trzy dni, a potem jeździli po Kera-li, żeby zobaczyć słynne chińskie sieci rybackie, zatrzymali się w Małabar Hotel, pływali w basenie i jedli późnymi wieczorami kolacje podawane na najbielszych obrusach. Dotarli do Goa i wylegiwali się na plaży, wsiedli na parowiec i popłynęli do Bombaju, gdzie na pięć dni zatrzymali się w Taj Hotel. Poleciali do Dżajpuru, żeby obejrzeć Różowe Miasto, a potem na wielbłądach pojechali na pustynię Radżasthan.

Piątego stycznia wsadzili Jayę do samolotu, który zawiózł ją do Cochin, do szkoły, i teraz mieli tydzień tylko dla siebie. Spędzili go w Pondicherry, gdzie zatrzymali się w zajeździe Maigrita.

- Och, monsieur, znalazł ją pan, jak widzę. Proszę wybaczyć śmiałość, ale warta była poszukiwań.

Chodzili na kolacje do małych knajpek. Pewnego popołudnia zawędrowali daleko plażą i tam się kochali, a potem pływali nago w Zatoce Bengalskiej, jeszcze raz kochając się w wodzie. A Michael wygłosił kilka wykładów na tamtejszym uniwersytecie, spłacając swój dług doktorowi Ramanemu.

Gala była bardzo poruszona tym, że Michael zarezerwował sobie lot na dwunastego stycznia, co oznaczało, że gotów był szukać jej ponad siedem tygodni.

- Gdybym nie znalazł cię w tym czasie, zadzwoniłbym do domu, żeby wzięli zastępstwo na wiosenny semestr - powiedział. I tak rzeczywiście by zrobił. - Galu, chcę, żebyś mi uwierzyła, naprawdę byłem gotów szukać cię aż do skutku, nieważne, ile czasu by to zabrało.

Dwunastego stycznia przylecieli na Heathrow. W samolocie trzymali się za ręce, śmiali się, czytali wspólnie książki.



Potem spowaźnieli; przyszedł czas, by stanąć przed Jimmym.

Między Londynem a Chicago, gdzieś nad lodową czapą Grenlandii, Gala położyła głowę na ramieniu Michaela. Spojrzał w jej szare oczy i ujrzał w nich melancholię.

- Co się dzieje?

- Coś mi przyszło do głowy. Ludzie nazywali Dhirena Porannym Tygrysem.

Wciąż oparta o niego zapadła w sen. Delikatnie, by jej nie przeszkodzić, wyciągnął z kieszeni notes i zapisał: „Poranny Tygrys żyje wiecznie”.

## *Rozdział trzynasty*

James Lee Braden był twardo stojącym na ziemi racjonalistą. To, czego nie mógł sprawdzić empirycznie, nie istniało dla niego. Poza Bogiem, który otrzymał dyspensę od empirycznych sposobów sprawdzania i z którym Jimmy obcował co niedziela w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim.

Obrót klucza, szcęk zamka w drzwiach. Jimmy podniósł wzrok znad czytanej właśnie biografii Johna Maynarda Keynesa. W progu stała jego żona, a za nią Michael Tillman.

Tym razem Jimmy nie płakał. I nawet nie był zdziwiony. Zauważył zbieżność zdarzeń: zniknięcie Gali, a kilka dni później - Michaela. Przypomniawszy sobie, jak się razem huścili na pikniku, potem żona któregoś z pracowników wydziału przyznała się, że widziała Galę wychodzącą z Michaeliem z Ramady; dochodziły do niego różne plotki biurowe. Z początku nikt na to nie zwracał specjalnej uwagi, ale gdy drobne fakty poskładano w całość, to choć każdy z osobna był bez znaczenia, razem coś jednak znaczyły. A z wnioskowania już prosta droga do konkluzji: może Gala Braden i Michael Tillman byli dla siebie czymś więcej niż tylko przyjaciółmi.

W ten styczniowy wieczór 1982 roku wnioski Jimmy'ego tylko się potwierdziły. Powiedział, że potrafi zrozumieć wzajemne zauroczenie Gali i Michaela. Najbardziej interesowało go, zgodnie z jego własnymi słowami, „jak to załatwimy”. Czuł chyba przede wszystkim ulgę, martwił go bardziej sposób, w jaki się sprawy potoczyły, niż ich przyczyna.

Gala traktowała rozstanie znacznie mniej racjonalnie, a w porównaniu ze swym mężem kompletnie bez stylu. Była żoną Jimmy'ego Bradena od jedenastu lat, to się przecież liczyło. Bardzo się starała wytłumaczyć, jak jest jej przykro, i że nie miała prawa zrobić tego, co zrobiła. Jimmy wreszcie przerwał jej mówiąc:

- Nasza decyzja, by się pobrać, zapewne była wtedy słuszna, ale ludzie się zmieniają. Nie ma powodu, by nadal kierować się w życiu wyborami ludzi, jakimi byliśmy przed jedenastu laty, ludzi innych niż jesteśmy dzisiaj.

Gala spakowała swoje rzeczy i przeprowadziła się do Michaela.

Pomalowali jego mieszkanie i stopniowo zamienili je w coś, co oboje mogli tolerować. Cień pozostał w salonie. O tym w ogóle nie dyskutowali i w tej sprawie nie było kompromisu. Gala zaproponowała tylko, żeby podłożyć pod niego dywanik dla ochrony pięknej dębowej posadzki przed brudnymi od smaru narzędziami. Michael uśmiechnął się i stwierdził, że to ogromne ustępstwo z jego strony, ale się zgodził.

Znowu zajął się nauczaniem, położył uszy po sobie, starając się nie dostrzegać pełnych potępienia spojrzeń i nie słyszeć plotek, które po jakimś czasie stały się drobnym wątkiem w uniwersyteckiej sadze. Gala powróciła do swego panińskiego nazwiska, obroniła pracę magisterską i otworzyła przewód doktorski na wydziale antropologii. A Jimmy?

Wyjechał. Arthur Wilcox znalazł mu stanowisko prodziekana na prywatnej uczelni w Northeast, niedaleko miejsca, gdzie mieszkali rodzice Jimmy'ego. Wszyscy byli zadowoleni.

No, jednak nie wszyscy. Eleanor Markham była wręcz przerażona i dla niej Michael już na zawsze miał pozostać osobnikiem nieprzystosowanym społecznie i niszczycielem domowego ogniska.

Najbardziej zatrząsał ją sposób podróżowania Michaela, szczególnie od chwili, gdy zobaczyła wyglądając akurat przez okno swego domu w Syracuse, jak Czarny Cień wjeżdża na jej podjazd. Motocykl przestał w tym momencie być zabawnym abstrakcyjnym przedmio-

tem, stojącym w salonie zwariowanego profesora. Teraz stał się czymś realnym, a co gorsza jej czterdziestoczteroletnia córka siedziała za tym szaleńcem. Panią Markham najprawdopodobniej dobiła czarna skórzana kurtka Gali, wysokie czarne buty i odblaskowe okulary. Przeżyła już wiele lat i uważała, że należy jej się coś lepszego.

Michael i ojciec Gali wymykali się na wspólne wyprawy na pstrągi.

Leonard Markham, który nigdy w życiu nie powiedział o nikim złego słowa, Jimmy'ego tylko raz wspomniał w towarzystwie Michaela.

Zakładał muchę na haczyk i był po dobrych paru piwach. Mucha wylądowała właśnie elegancko na wodzie tuż pod skałami, gdzie tworzył się wir, a on pyknął fajkę, szarpnął żyłkę i powiedział:

- Jim Braden bał się wody. Możesz to sobie wyobrazić, Michaelu? -

Michael nie odpowiedział. Leonard już miał ściągnąć żyłkę, ale po zastanowieniu zostawił ją, podobnie jak temat Jimmy'ego Bradena, i nigdy już do niego nie wrócił.

Gala i Michael co roku jeździli do Indii. W 1984 przywieźli Jayę, żeby poznała swoich dziadków. Następnie we troje wybrali się w odwiedziny do matki Michaela, która mieszkała w domu opieki w Rapid City. Była już bardzo stara i trzęsąca się, ale przez większość czasu pozostawała przytomna. Ruth Tillman ujęła dłoń Jayi i trzymała ją przez długi czas z uśmiechem. To było najlepsze, co Michael mógł zrobić w sprawie wnuków i w jakiś dziwny sposób dla Ruth okazało się wystarczające.

I tak to szło. Nie zawsze spokojnie, ale przez większość czasu do zniesienia, przez zdecydowaną większość. Michael Tillman był samotnikiem, czasami nawet pustelnikiem, zawsze taki był i na zawsze taki miał pozostać. Zdarzało się, że uciekał od Gali, niekiedy na Cieniu, kiedy indziej tylko myślami. A to ją gniewało.

- Ludzie to nie motocykle, Michaelu. Nie możesz po prostu zdjąć łańcucha i odwiesić go na krzesło aż do chwili, kiedy będziesz miał znowu ochotę dosiąść swego Cienia.

Uśmiechał się do niej.

- Masz rację. W tych sprawach zawsze masz rację. Kobiety są znacznie mądrzejsze od mężczyzn. Jezu, co za pseudo-psychologiczne ple-ple... stosunki międzypłciowe. Za chwilę się dowiem, że jestem czynnikiem niezgody międzypłciowej. Czytałem niedawno coś na ten temat.

Otwierają się przede mną fascynujące możliwości zawodowe, o jakich nawet nie śniłem.

Stawała wtedy przed nim z rękami opartymi na biodrach i mówiła:

- Myślę, że wcale nie jesteś zainteresowany zgodą międzypłciową, ani w tym domu, ani gdziekolwiek.

- Znowu masz rację, to znaczy, jeśli chodzi o gdziekolwiek, bo w naszym domu na pewno tak. Pod wieloma względami jestem bardzo staroświecki. Nadia Kosłowski miała pewne sukcesy w obłaskawianiu chromosomu Y, ale odeszła, zanim robota została skończona. Jeśli podejmiesz jej pracę, Galu, dowiesz się, że można mnie edukować tylko w minimalnym zakresie. Jestem zainteresowany pokojową koegzystencją, ale interesuje mnie również moja praca, łowienie ryb i włączanie się tu i tam na jednośladach. Moja uwaga przenosi się od jednego do drugiego, chybcze się jak orbita Merkurego. Postaram się poprawić, naprawdę będę czynił starania, ale prawdopodobnie nie bardzo mi się to uda. I w gruncie rzeczy wcale nie jestem pewien, czy ty chcesz, żebym się naprawdę zmienił. Mogłabyś wreszcie wylądować z płaszczącym się słabeuszem, z którym nie wiedziałabyś co zrobić.

- Michaelu, czasami mam ochotę zalać cię plastikiem, żeby zachować cię dokładnie takim, jaki jesteś. Mogłabym cię oddać do muzeum, gdzie stałbyś z wywieszką Homo Beznadziej us, żeby przyszłe i bardziej oświecone pokolenia mogły cię oglądać.

Podniósł dłonie w geście poddania.

- Moja wina. Odkryłem właśnie, że najlepiej jest przyznać się do wszystkiego. To kończy wszelkie kłótnie. Chociaż

nie podzielałam twojej wiary w mądrość przyszłych pokoleń, podoba mi się pomysł z wystawieniem mnie na pokaz. Tylko proszę, posadź mnie na Cieniu i włóż mi w rękę wędkę. A poza tym upewnij się, że pamiętasz Dhirena i jak bardzo byłaś szczęśliwa z nim, a nieszczęśliwa z Jimmym Bradenem. Powiedziałaś kiedyś, że Jimmy godził się na wszystko, czego sobie zażyczyłaś, a ty myślałaś, że zwariujesz. Jesteś silną kobietą, Galu Markham, ale lubisz, by twoi mężczyźni byli nieco nieokrzesani. Mimo to składam, całkowicie świadom moich uczuć i tego, że nie jestem ciebie wart, moją cotygodniową propozycję małżeństwa.

Zamyśliła się, wpatrzona w swoje buty. W pewnym sensie miał rację. Nigdy nie liczyła tych wszystkich za i przeciw. Mężczyźni, na których jej naprawdę zależało, czasami ją uszczęśliwiali, czasami uńieszczęśliwiali. Ciągłe wpatrując się w swoje buty, stwierdziła:

- Tak jak już kiedyś powiedziałam, dwa razy być mężatką to dość. Trzy wydaje mi się z jakichś powodów zbyt wiele. - Ochłonęła i uśmiechnęła się do Michaela. - Ale dziękuję za propozycję. Za każdym razem ją doceniam. Może pewnego razu zaskoczę cię i powiem: „tak”.

-Propozycja pozostaje otwarta. Co byś powiedziała na odrobinę Jacka Daniela, kąpiel, a potem ten rodzaj pojednania międzypłciowego, który uważam za najlepszy? Czyńmy pokój, czyńmy miłość.

- Trzeba uzupełnić zapasy w lodówce. Zawsze po tym jesteś strasznie głodny.

Z uśmiechem wciągnął skórzaną kurtkę.

- Ty też. Za moje liczne grzechy pojedę do sklepu. Masz listę?

- Nie, a ty?

- Nie. Kupię piwo, ziemniaki i co mi tam jeszcze po drodze przyjdzie do głowy.

Godzinę później siedzieli razem w niewielkiej wannie zanurzeni w pieniającej się, gorącej wodzie. Gala oparła stopy na ramionach Michaela, on przesuwając dłońmi po jej udach

i powtarzał jej po raz tysięczny, że ma najwspanialsze piersi w całym wszechświecie. Spojrzała na niego ponad okularami i zaczęła się śmiać.

- O co ci chodzi, twoje piersi to bardzo poważna sprawa.

- O nic. Po prostu jeszcze raz pomyślałam o plastiku.... Myślę, że zrobię to w momencie, kiedy będziesz najbardziej bezbronny.

- Nie mam nic przeciwko temu. Możesz obok mnie posadzić Arthura Wilcoxa... Włóż mu w rękę plany. - Oparł się o brzeg wanny. - Pozwól, że zmienię temat. Pamiętasz Kanion Białego Niedźwiedzia na terenie Czarnych Wzgórz, pokazywałem ci go kiedyś?

- Tak.

- Przenieśmy się tam, jak zrobisz doktorat. Ja porzucę uczelnię, pójdę na wczesną emeryturę i będę dorabiał pisaniem. Niedaleko jest niewielka uczelnia Spearfish State. Z pewnością dostałabyś tam pracę.

-To możliwe, zastanowię się nad tym później. - Objęła go nogami i podciągnęła się bliżej. - W tej chwili o wiele bardziej interesują mnie przenosiny do sypialni. - Odchyliła głowę do tyłu i wykrzyknęła: - Mężczyźni! Jesteście wszyscy zwariowani!

Michael całował długo i z miłością jej usta, potem piersi i szyję.

- Nie wszyscy jesteśmy zwariowani... tylko ci, których lubisz.

Gala obroniła doktorat w 1987 roku. Michaelowi pozwolono wziąć udział w ceremonii w całym splendorze akademika, chociaż jego toga i biret, które leżały nie używane od lat, potrzebowały dwukrotnego czyszczenia w pralni, zanim można je było publicznie pokazać. Kiedy Gala weszła na podium i odebrała dyplom, o mało nie zemdłał z dumy, wiedząc, jak wiele to dla niej znaczy. Potem wyprawił małe przyjęcie na jej cześć. Sam wypił całą butelkę szampana, siedział na Cieniu i uśmiechał się szeroko, obserwując wy-

raz jej twarzy, kiedy ludzie przychodzili z gratulacjami. Gala Markham spełniła się wreszcie, przynajmniej zawodowo.

Później tego samego popołudnia, kiedy już wszyscy poszli tam, dokąd idzie się po wyjściu z przyjęcia, wyszła z łazienki w todzie i czapce uniwersyteckiej. Michael ciągle siedział na Cieniu, bosy, w podkoszulku i dzinsach, z butelką szampana na baku.

- Doktor Markham, jak sądzę - powiedział.

Obdarzyła go swoim znaczącym zmysłowym uśmiechem, tym który pojawiał się na jej twarzy, ilekroć miały mieć miejsce poważne sprawy ciała, potem rozchyliła togę, pokazując, że pod spodem nic nie ma.

- Dr Markham jest gotowa odebrać swój prezent, jeśli dr Tillman jest gotów jej go wręczyć.

Był gotów, więc wieczór zakończył się wspaniale, Michael dosiadał Cienia, a Gala dosiadała Michaela. Gryzła go w ucho szepcząc: „Wrrrum, wruum” i poruszając się powoli w górę i w dół z cichą, cudowną intensywnością.

Matka Michaela zmarła w 1988 roku. Osiem miesięcy później zadzwonił pośrednik sprzedaży nieruchomości mówiąc, że ma kupca na jej mały domek w Custer. Zajęcia zaczynały się za tydzień, więc Michael wskoczył na Cień i pojechał.

Wszystko poszło gładko. Do Cedrowego Zakątka wracał okrężną drogą przez Czarne Wzgórza, cały czas trzymając się bocznych dróg. Kiedy znalazł się na wschód od rzeki Missouri, złapała go ulewa, ale ponieważ był trochę spóźniony, jechał dalej, tylko włożył na siebie żółty sztormiak. Noc złapała go na granicy z Iową.

Popatrzył na starego przyjaciela, poklepał bak. Silnik umieszczony był bezpośrednio na ramie, więc odczuwał wibracje każdą cząstką ciała.

- No, stary, daj z siebie wszystko. Zobaczmy, co potrafisz, ostatecznie dziś obchodzisz swoje trzydzieste siódme urodziny.

Cień ruszył mokrą szosą jak czarny kot, światło migało po ścianie lasu, kiedy brał zakręty.



To zdarzyło się na wzgórzach na wschód od Sioux City. Szybka kasku Michaela była nieco zamglona, a jego wzrok, szczególnie w nocy, stracił swoją dawną ostrość. Zamrugał raz, potem jeszcze parę razy. Jadąca z przeciwka ciężarówka pruła jak oszalała, prowadzona rękami zaspanego kierowcy, który wiozł osiemdziesiąt tysięcy funtów części do traktorów. Kierowca oprzytomniał, kiedy ciężarówka zaczęła wpadać w poślizg, walczył o odzyskanie kontroli i w tej samej chwili zobaczył żółte światelko sto metrów przed sobą.

Michaela oślepiły reflektory, ciężarówka była coraz bliżej i nie miał gdzie uciec. Pomyślał o Gali i tygrysach. Z jakiegoś powodu pomyślał o Gali i tygrysach właśnie w tym momencie i nagle skręcił z szosy, wpadając między drzewa z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Ruszył szalonym labiryntem, widział w żółtym świetle lamp Galę i tygrysy, ona patrzyła na niego jak w najintymniejszych momentach, wstrzymywała oddech, miała szeroko otwarte oczy, a jej piersi i brzuch zbliżały się, by spotkać się z nim i z tygrysem, i już uwierzył, że mu się udało, ale po chwili nie było już nic.

W chwilach gdy odzyskiwał przytomność, Michael słyszał szum aparatury podtrzymującej życie, do której był podłączony. Stały hałas w tle. Czasami jedno z urządzeń zaczynało pracować intensywniej i wtedy hałas stawał się wyraźniejszy, co mu się nie podobało, ale nic nie mógł na to poradzić.

Był strasznie poharatany. Lekarz powiedział mu to wprost i bez owijania w bawełnę: pęknięta miednica, dwie złamane kości ramienia, złamanie z przemieszczeniem kości udowej, obrażenia wewnętrzne. Myślał, że umiera, lekarze zresztą uważali podobnie. Usiłował pogodzić się z tym faktem, czekając tylko, żeby Gala do niego przyszła, chciał zobaczyć ją jeszcze raz. Skoncentrował się na jej twarzy, oczyścił umysł z innych myśli, zmuszając ją, by uśmiechnęła się do niego, i rano okazało się, że jeszcze żyje.

Zza drzwi pokoju, gdzie siedziała pielęgniarka pilnująca aparatury do podtrzymywania życia, doszedł go pełen paniki głos:

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Michael Tillman, jestem jego żoną. Jego żona; nigdy nie myślał o Gali w ten sposób. Pochyliła się nad nim.

-Och Michaelu... Michaelu. Przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam. Michaelu, błagam, wyzdrowiej, będę się tobą opiekowała. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Galu, dotknij mojej twarzy.

W gardle miał rurkę i nie mógł wydobyć z siebie nic poza szeptem, na dodatek ochryplym, ale usłyszała go i dotknęła jego policzka. Poczul łyzy, wielkie krople spływające mu z oczu. To nie był żal nad sobą... a może. Nie wiedział tego i nie dbał o to. Czuł jej dłoń na swojej twarzy, myślał o tym, jak bardzo ją kocha i że już nigdy nie będą się cieszyć miłością, i że nie zabierze jej na tylnym siodełku Cienia nad jezioro Heron ani nie staną razem na werandzie Pałacu na Wodzie wypatrując tygrysów, o których wiedział na pewno, że tam są, ponieważ widział jednego o mglistym poranku, kiedy świat okazał się dla niego łaskawy.

Gala płakała, ale starała się to przed nim ukryć. Przez całe dni przebywał gdzieś na granicy przytomności, ale wreszcie jego stare ciało uznało, że da mu jeszcze jedną szansę. Otworzył w zdumieniu oczy i był to czwartkowy deszczowy poranek. Siedziała przy jego łóżku i przyglądała mu się z uśmiechem.

- Witaj z powrotem, Michaelu.

*Po* kilku tygodniach Michael był już na nogach, poruszał się z pomocą Gali jak niezgrabny bałwan. Nie należał do najcierpliwszych pacjentów: chociaż jego ciało wymagało odpoczynku, umysł wołał o ruch. Od razu po zdjęciu gipsu próbował robić pompki i inne ćwiczenia, by doprowadzić się do formy sprzed wypadku. Gala złościła się, zastając go na

tym, kiedy wracała z uniwersytetu, gdzie dostała czasowo pracę jako wykładowca.

- Na litość boską, Michaelu, robię wszystko, żebyśmy jakoś przez to przebrnęli, ale ty nic a nic mi nie pomagasz. Mam zajęcia, zakupy i ciebie, a to wcale nie jest mało. Musisz choć trochę współpracować, słuchaj lekarza, nie przyspieszaj kuracji. I nie patrz na mnie jak rozpieszczony chłopczyk. Nie mam czasu na takie bzdury.

- Czuję się niepełnowartościowy, to wszystko. Jestem niedołączny, leżę tu jak kłoda i żyję z renty.

-Traktuj to, jakbyś ćwiczył rzuty do kosza, Michaelu. Teraz inwestuj, profity przyjdą później.

- Zbyt logiczne, siostrze Galu, zbyt logiczne.

- To ty jesteś logikiem, Michaelu, oczywiście, kiedy nie dotyczy to ciebie.

- To stawia mnie na równi z innymi, prawda? Choć wcale mi to nie odpowiada.

- No cóż, bez względu na twoje samopoczucie ja wybieram się do biblioteki. Muszę się przygotować do sześciu zajęć z metrologii. Włożyła płaszcz i wybiegła. Dwie godziny później zadzwoniła z publicznego telefonu.

- W porządku?

- Tak. Mały chłopiec jest już grzeczny i obiecuje poprawę. Przepraszam za pośpiech. Chryste, sam to przecież sobie zrobiłem, a teraz wyżywam się na tobie za moją własną głupotę.

- Michaelu, kocham cię, naprawdę. Ale czasami nie jest to łatwe.

Rozumiesz, prawda?

- Jeszcze raz tak. Naprawdę musisz się przygotować do sześciu zajęć?

- Nie. Po prostu chciałam na chwilę się urwać pewnemu ozdrowieńcowi z ulicy Orzechowej. Myślę, że wrócę do domu i przygotuję nam coś do jedzenia.

- Mylisz się, to ja zrobię zupę albo coś w tym stylu. Kiedy przyjdiesz, będzie już gotowa.

Wreszcie Michael mógł już się wziąć do pisania. Głowę miał pełną pomysłów, więc ekran komputera całymi wieczorami lśnił na niebiesko. Trzy miesiące później potrafił już wyjść o własnych siłach, a po dalszych pięciu tygodniach rozpoczął krótkie przebieżki. Znowu w ich domu rozbrzmiewał śmiech, znowu się kochali.

Ale życie z Michealem, który cały emanował energią, nie było łatwe. Gala poznała to przed wypadkiem, a teraz, gdy wracał do zdrowia, ta energia stała się jeszcze potężniejsza. To było nieustanne pokonywanie granic ducha i umysłu, granic, które przesuwał, kiedy tylko do nich dotarł, tak, by walka mogła trwać nadal. Michael zmagał się z niemożliwym, a Gala pomagała mu zmagać się ze światem, ponieważ jego umysł, zawsze czymś zajęty, nigdy nie skupiał się na takich drobiazgach, jak to, gdzie położył kluczyki albo czek czy ostatnią wersję artykułu.

- Michaelu, ty wcale nie szukasz. Rzucasz tylko okiem, potem przekładasz kilka rzeczy z miejsca na miejsce i już krzyczysz: „Galu, nie widziałaś?...”

- Przy poszukiwaniu rzeczy stosuję metodę zagubionego konia. - Jadł jabłko i właśnie przed chwilą jęczał, że nie może znaleźć miesięcznego czeku z wypłatą, który miał zamiar zanieść do banku zaraz po tym, jak znajdzie kluczyki do samochodu i rękawiczki.

- Co to za metoda?

Trzymał w ustach jabłko, przekładał rzeczy na lodówce i jednocześnie mówił. Brzmiało to tak, jakby miał wadę wymowy.

- Jeśli zgubisz konia, idź tam, gdzie widziałaś go po raz ostatni, i zacznij od tego miejsca.

- A co się dzieje, gdy zaprowadziłeś gdzieś konia, a potem zupełnie wyleciało ci z głowy gdzie? Czy wtedy twoja metoda nie działa?

- Moje metody zawsze są chybione. - Uśmiechnął się, rzucając w połowie zjedzone jabłko przez ramię i łapiąc je drugą ręką. - Pomóż mi znaleźć ten cholerny czek, Galu,

wtedy zacznę szukać swoich cholernych kluczy, po czym będę mógł rozpocząć poszukiwanie moich po trzykroć cholernych rękawiczek. Gala, proszę. Masz przed sobą kalekiego poszukiwacza. Wszyscy mężczyźni są takimi kalekami, to jedno z nieprzyjemnych upośledzeń, które niesie ze sobą chromosom Y.

Gala wciąż wykładała na uniwersytecie i lubiła to zajęcie. Michaela coraz bardziej denerwowała biurokracja akademii, która służyła wyłącznie własnym korzyściom, własnemu trwaniu i niczemu innemu. Gala nie zwracała na to uwagi, ciesząc się kontaktem ze studentami i własną pracą badawczą. Dla niej było to nowe terytorium. Michael siedział w tym od kilkudziesięciu lat.

W 1990 roku po długich dyskusjach przenieśli się do Kanionu Białego Niedźwiedzia. Gala zrobiła to bez przekonania, twierdząc, że poświęca dla Michaela własne życie zawodowe. Ale on czuł się nieszczęśliwy na uniwersytecie, a ona mogła znaleźć pracę na uczelni w Spearfish Stale. Życie w kanionie było miłe i spokojne, ale Gala się niecierpliwiła.

Michael mógł pracować w samotności, ona potrzebowała organizacji, miejsca, gdzie mogłaby wykładać, jej dziedzina wymagała laboratorium i współpracy z ludźmi.

*Rok później* Gala pojechała sama do Indii. Jaya miała kłopoty z urodzeniem drugiego dziecka i potrzebowała potem pomocy. Matka została z nią dłużej niż pierwotnie zamierzała. Dwa miesiące, trzy miesiące. Indie znowu zaczęły ją wciągać, odezwały się geny Elzy Markham, sprzeciwiające się mieszkaniu z daleka od ludzi z trudnym mężczyzną. Francuski architekt z Auroville zaprosił ją na kolację. Był przystojny, światowy. Poszła z nim raz do Alliance Française, ale kiedy zaprosił ją na następny wspólny wieczór, odmówiła. Czowała się nie w porządku wobec Michaela. Architekt wciąż do niej wydzwaniał. Przesyłał kwiaty, zostawiał liściki wsunięte w drzwi.

Zadzwoił Michael, który nic nie wiedział o Francuzie.

- Kiedy wracasz? - W jego głosie czaiła się melancholia.

- Nie wiem - odpowiedziała obojętnie.

- Mają dla ciebie pracę w Spearfish State od jesieni. Dzwonili dwa dni temu.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Spearfish State kontra światowe życie w Pondicherry. Kolacje w Alliance Française, grzecznie i niestrudzenie zabiegający o nią przystojny

Francuz, który najwyraźniej rozumiał kobiety. Spotkała się z nim jeszcze raz. Chciał ją zabrać do Paryża i pokazać jej to miasto. Życie z nim byłoby

proste. Bez problemów. Mieszkałaby w pobliżu Jayi i wnuków, przy

których mogła odpokutować, że nigdy nie była matką. Uniwersytet w Pondicherry zaproponował jej część etatu i o mało nie poszła do łóżka z

Francuzem pewnej nocy, kiedy pachniało jaśminem przywiewanym

wiatrem od Zatoki Bengalskiej, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Wiedziała, że jeśli to zrobi, odetnie sobie drogę powrotu.

Michael zadzwonił znowu. Jego głos brzmiał chłodniej niż zwykle.

Dawniej prowadził życie samotnika, wiedziała że potrafiłby do tego

wrócić. Już raz pojechał za nią do Indu, drugi raz tego nie zrobi. Kiedy się żegnali, jego głos się zmienił, stał się łagodniejszy i smutny.

- Tęsknię za tobą, Galu.

Potem płakała, chociaż nie bardzo wiedziała czemu.

W białym świetle indyjskiego poranka tama w Pondicherry wyglądała jak zakrzywiona, niby brzeg Morza Śródziemnego. Wieczorami wszyscy

wychodzili tutaj na spacer, podczas gdy miasto oddawało ciepło dnia. Po

rozmowie z Michaelem Gala poszła na tamę i siedziała tam przez długi

czas. Nisko nad horyzontem wisiał obwarzanek pomarańczowego

księżycy.

Po powrocie do domu Gala sięgnęła po lustro i przyjrzała się sobie.

Pięćdziesiąt jeden lat. Francuz twierdził, że nie wy-

gląda na więcej niż czterdzieści. Mężczyźni wciąż jeszcze spoglądali za nią, kiedy przechodziła, i to chyba było miłe. Wyszczotkowała swe czarne włosy i znowu spojrzała w lustro. Wyszepiała: „Galu Markham... Galu... twoja pieśń się prawie kończy. Co u licha tu robisz, skoro jedyny mężczyzna, na którym ci naprawdę zależy, jest na drugim końcu świata?” Dwa dni później szła wolno drogą koło Thekkady. Wspomnienie Dhirena odpłynęło gdzieś daleko. Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, gdy w kurzu, który teraz osiadał na jej nogach, ujrzała krew. Usiadła na skraju drogi, przywołując na pamięć wojownika-poetę, popołudniowy wiatr rozwiewał jej włosy, a ona przypominała sobie, jak jej dotykał i jak uciekał między drzewa. Tego wieczoru odwiedziła starą kobietę nazwiskiem Sudhana. Zjadły prosty posiłek i rozmawiały o odległych czasach.

Padma Dhavale pojechała z Galą na lotnisko do Madrasu.

- Będzie mi ciebie brakowało, Galu, ale cieszę się, że wracasz. Dobrze robisz.

- Miałam dziwne, pełne zamieszania życie. I na dodatek byłam nieodpowiedzialna. - Gala miała łzy w oczach.

Padma objęła ją ramionami.

- Tak... dziwne i niespokojne... i, chyba masz rację, niekiedy bywałam nieodpowiedzialna. To prawda... ale miałaś także wspaniałe przeżycia, pomyśl tylko, wszystko zależy od tego, kto robi podsumowanie i według jakich kategorii. A ty przynajmniej wiesz, jak to jest zajaśnić pełnymi barwami i poczuć wiatr w żaglach. Większość z nas nigdy nie pozna tego uczucia. Szczęśliwcem jest ten, kto przeżyje jedną wielką miłość w życiu, a tobie zdarzyło się to dwukrotnie. Za pierwszym razem byłaś młodą dziewczyną, za drugim dojrzałą kobietą.

Gala uśmiechnęła się.

- I jeden był wojownikiem-poetą, a drugi mężczyzną na motocyklu. Boże, dopomóż nam wszystkim. - Śmiały się i ocierały łzy, a czterdzieści minut później samolot Air India był już w powietrzu. Padma Dhavale oglądała wschód słoń-

ca odbijający się w skrzydłach boeinga 747, który płynął w stronę Południowej Dakoty.

Crała nie zawiadomiła Michaela, że wraca, tylko wynajęła limuzynę na lotnisku. Przed werandą domu w Kanionie Białego Niedźwiedzia leżał zdemontowany motocykl, Cień II. Michael natrafił na niego sześć miesięcy wcześniej na zjeździe miłośników dwóch kółek i teraz składał go do kupy. Oczywiście ten motor nie mógł nigdy zająć miejsca starego Cienia, który został zniszczony w czasie wypadku, to wiedział. Oryginał był symbolem jego młodości i wraz z nim odeszło wszystko, co w Michaelu było jeszcze z chłopca. Odczuwał boleśnie rozstanie i z jednym, i z drugim.

W domu nie było nikogo, ale Gala czuła zapach fajki. W pokoju gościnnym leżała torba jej ojca. Michael mówił przez telefon, że Leonard zamierza przyjechać do niego na pstrągi. Na kuchennym stole leżały wędki, a obok butelka Jacka Daniela i zniszczona czapka Michaela z napisem „Prawdziwi mężczyźni nie wiążą się”. Podarowała mu tę czapkę wkrótce po wypadku. Wręczając prezent, powiedziała: „Tylko nie pomyśl, że to z mojej strony jakaś kapitulacja. Po prostu myślałam, że ci się spodoba”.

Stała spokojnie, rozglądając się dokoła. Czuła się nieco dziwnie, ale wszystko było takie znajome. Casserole zajmowała pół biurka Michaela; była stara, ale jeszcze w dobrej formie. Gala podeszła i pogłaskała ją. Kotka przeciągnęła się i ziewnęła. Gdzieś za domem rozległo się szczekanie Malachiego.

Obok kotki leżała pierwsza książka Michaela „Podróże z Pitagorasem”. Przedstawił greckiego matematyka i filozofa widzianego oczyma matki, która - jak głosiła legenda -towarzyszyła synowi w podróżach do Egiptu i Babilonii. Jak na pierwszą książkę „Podróże...” osiągnęły dość dużą popularność, sprzedano trzydzieści tysięcy egzemplarzy. Gala sięgnęła po nią i przeczytała dedykację na stronie tytułowej: „Leonardowi Markhamowi, za to, że dał mi kobietę,



którą kocham". Obok leżało kolejne dzieło Michaela, filozoficzne eseje dotyczące matematyki stosowanej „Algebra iluzji”.

Pod spodem dostrzegła maszynopis. Zdjęła „Algebrę...”, by spojrzeć na stronę tytułową - „Tygrys o poranku”. Michael uważał, że nie może jej zastąpić Dhirena i bolał nad tym. Może książka pomoże mu z tym jakoś sobie poradzić. Nie ruszyła wydruku. Wiedziała, że Michael opowie o nowej książce, kiedy będzie gotowa.

Otworzyła drzwi prowadzące na podwórko i spojrzała poprzez drzewa w stronę strumienia z pstrągami, który przepływał o pięćdziesiąt kroków od domu. Jej ojciec pochylony nad wodą szamotał się ze sprzętem. Michael, w słonecznych okularach, z rękawami płóciennej koszuli podwiniętymi wyżej łokci, brodził w głębokiej wodzie zaciskając cygaro w zębach. Taki rodzaj masażu dobrze robił jego nodze. Miał pięćdziesiąt trzy lata i wiedział, że będzie mu ona dokuczać do końca życia. Gala o mało nie krzyknęła, kiedy się zachwiał, ale zdołał utrzymać równowagę przytrzymując się wielkiego kamienia.

Wyprostował się i zamachnął wędką. Gala Markham oparta o framugę drzwi przyglądała mu się, wspominając słowa Padmy o barwnym upierzeniu i wietrze w żaglach, o wojowniku-poecie i mężczyźnie na motocyklu. Po chwili zaczęła się cichutko śmiać do siebie.

- Niech nam Bóg dopomoże - wyszeptała.

Przebrała się, zdjęła swe hinduskie ubranie i zeszła nad strumień w starym swetrze, dzinsach i gumiakach. Malachi pierwszy ją zauważył i podbiegł ze szczekaniem, machając ogonem. Leonard Markham podniósł wzrok, by zobaczyć, co jest powodem ożywienia psa, i pomachał do niej ręką. Za nim pył wodny migotał jak klejnoty, a na jego tle Michael Tillman zarzucał wędkę w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

KONIEC